

REALPOLITIK PO AMERYKAŃSKU

USA porzuciły Polskę
w sprawie Nord Stream 2



TYGODNIK LISICKIEGO

DO

CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT)

NR 22/427 31 MAJA-6 CZERWCA 2021

WIECZY

Czy w kwestii aborcji
Polska podąży drogą
Hiszpanii?



**CEJROWSKI
STANOWCZO ZA
PALENIEM
W POLSCE WĘGLEM.
CZYSTYM,
POLSKIM WĘGLEM**

Nowy Ład prezydenta
Roosevelta a Polski Ład

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 268829
9 772299 850000
Nakład: 57,2 tys. egzemplarzy

KIEDY POPULARNOŚĆ UDERZA DO GŁOWY

**Zadziwiająca historia
o. Adama Szustaka**

informacyjne radio rmf24.pl

**RZECZOWE ROZMOWY!
NIE POGOŃ ZA SENSACJĄ!**

www.radio.rmf24.pl



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Przyszłościowe układanki

Czy to z powodu swojej dawnej, powiedzmy to tak, proveniencji, czy też z racji innych, mniej uchwytnych powodów Szymon Hołownia stał się żywym i prawdziwym dowodem ewangelicznej (prawie) frazy: „Ani sieje, ani orze, a wszystko mu się rodzi”. Przynajmniej na razie tak to wygląda. Przeglądam się bowiem kolejnym sondażom i ze zdumieniem dostrzegam największy pewnie fenomen polskiej polityki: stały i niezmienny wzrost zaufania do Hołowni i jego ruchu. Polska 2050 regularnie już notuje poparcie powyżej 20 proc. Dawno przegoniła Platformę Obywatelską i zbliża się coraz wyraźniej do wciąż zajmującej pierwsze miejsce w sondażach Zjednoczonej Prawicy. I to mimo że – jak mogło się wydawać – ogłoszenie przez PiS Polskiego Ładu powinno być ciosem iście morderczym. Cóż, faktycznie, idealnie trafił on w Borysa Budkę i PO, natomiast wygląda na to, że nie spowodował kłopotów dla lidera Polski 2050.

Nie jest łatwo wyjaśnić, skąd się biorą te sondażowe (na razie) sukcesy. Były celebryta TVN ma w Sejmie raptem kilku posłów. Stanowią oni zresztą osobliwą zbieraninę od Sasa do Lasa – nie wiadomo, co, poza niechęcią do wcześniejszych swoich ugrupo-

wań i przywiązaniem do lidera, ich łączy. Nie mają spójnego programu – w ogóle nie mają żadnego. Sam zresztą Szymon Hołownia, pamiętam z czasów serii wywiadów z zeszlórocznej kampanii prezydenckiej, programowo głosi antyprogramowość i dowodzi, że w sytuacjach kontrolnych będzie... słuchał ludzi. Wszystkie te zabiegi mają przykryć rzecz oczywistą – Polska 2050 funkcjonalnie jest kolejną szalupą ratunkową dla elit III RP, sprawniejszą i marketingowo lepiej opakowaną wersją Platformy. Ale to najwyraźniej wystarczy. Może jeszcze nie do zwycięstwa z PiS, ale do stopniowego przejmowania elektoratu antypisowskiego.

Innym ciekawym wnioskiem, który płynie z sondaży, jest to, że połączenie sił Polski 2050 i PO może stworzyć ugrupowanie (koalicję) mogące wyprzedzić Zjednoczoną Prawicę. I, co jeszcze bardziej dla przyszłości istotne, obecnie istnieje swoista równowaga między tymi dwoma głównymi blokami wyborczymi, z niewielką przewagą tego drugiego. Wynika zatem z tego, że o tym, kto będzie w Polsce rządził po następnych wyborach (nawet jeśli doszłoby do nich wcześniej), będzie decydowało to, jak zachowają się pozostałe, mniejsze formacje. A tu sprawa wydaje się niejasna.

Teoretycznie najłatwiej byłoby sobie wyobrazić koalicję Zjednoczonej Prawicy z Konfederacją – tym, co przemawia za takim związkiem, jest pewne podobieństwo ideowe. Jednak ostatnie miesiące sprawiły, że takie rozwiązanie jest znacznie mniej prawdopodobne niż kilka lat temu. Po podpisaniu porozumienia w Brukseli i akceptacji mechanizmu „pieniądze za praworządność” oraz przyjęciu zasad Funduszu Odbudowy, po zwrocie w relacjach z UE, po coraz wyraź-

niejszych sygnałach, wskazujących na reinterpretację obecnie obowiązującego prawa dotyczącego aborcji (wywiady prezesa Jarosława Kaczyńskiego) Zjednoczona Prawica, a z pewnością PiS, podążyła bardzo wyraźnie ku centrum (a może po prostu w lewo?). Jeśli zatem partia rządząca sama nie wygra wyborów, to będzie musiała szukać innego sojusznika niż Konfederacja. Z góry można wykluczyć PO i zapewne Polskę 2050 Szymona Hołowni. Możliwym zatem koalicjantem byłaby Lewica.

Z drugiej strony również ewentualna koalicja Polski 2050 z PO nie zdobędzie – wszystko na to wskazuje – takiej liczby głosów, która pozwoliłaby na samodzielne rządy. Trudno sobie wyobrazić, żeby partnerem centrolewicowej koalicji została Konfederacja. Również zatem dla PO/Polski 2050 naturalnym partnerem byłaby Lewica.

Można zatem utrzymywać, że cała polska polityka zaczyna przesuwając się ku centrum i w lewo. Pozostaje tylko pytanie, jak szybko ta ewolucja będzie się dokonywać – czy będzie to zmiana powolna i ostrożna (wariant koalicji Prawica-Lewica), czy gwałtowna i szybka (KO/Szymon Hołownia-Lewica). Chyba że, jak to czasem bywa przy tego rodzaju manewrach, Zjednoczona Prawica jednak się rozpadnie i jej część, choćby Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry, będzie chciała budować nową siłę razem z Konfederacją. Dzisiaj wydaje się, że jest to rozwiązanie mniej prawdopodobne niż trwanie Zjednoczonej Prawicy, ale nie znaczy, że niemożliwe. Prezes Jarosław Kaczyński nieraz pokazał, że jest mistrzem gry politycznej i że potrafi godzić ogień z wodą, jednak nawet jemu trudno będzie utrzymać przy życiu formację suwerennościowo-federalistyczną i konserwatywno-lewicową. ©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

14 TOMASZ ROWIŃSKI
**CO WYNIKA Z RELIGII
O. ADAMA SZUSTAKA**
Kościół ma być prawdziwy, a nie „fajny”

KRAJ

18 KAMILA BARANOWSKA
MEDIALNE TOURNÉE PREZESA
PiS mobilizuje żelazny elektorat

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
LEWO-PIS?

22 ROZMOWA Z ADAMEM BIELANEM
**WNIOSKI
Z AMERYKAŃSKIEGO RESETU**

24 OLIVIER BAULT
**CO NAPRAWDĘ WIADOMO
O KSIĘDZU GODAWIE?**

26 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI”
KOLEDZY Z KONSPIRY

28 ŁUKASZ ZBORALSKI
PORNOEDUKACJA?

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ANIOŁY STROŻE PANDEMII

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
OKRUCHY PAMIĘCI
Film nagrodzony dwoma Oscarami

34 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
PINEZKI OD FILMOWCÓW

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

42 JAN FIEDORCZUK
TRZECI KRZYZYS POPIS-U
Hołownia na rozstaju dróg

44 MAŁGORZATA WOŁCZYK
JAK ZROBIĆ Z POLSKI HISZPANIĘ

HISTORIA



46 PIOTR ZYCHOWICZ
KOMUNISTKA W SOWIETACH
Wspomnienia z nieludzkiej ziemi

50 MAREK JUREK
CZYTAJĄC MAURRASA

52 RAFAŁ ŁATKA
O WIELE WIĘCEJ NIŻ JEDEN DONOS...

ŚWIAT

54 MACIEJ PIECZYŃSKI
**ŁUKASZENKA
ZAKŁADNIKIEM PUTINA**
Czarny scenariusz dla Polski

56 ŁUKASZ WARZECHA
ZMIANA BIDENA

58 PAWEŁ CHMIELEWSKI
POLITYKA PRZED DOKTRYNĄ

60 PIOTR WOŁCZYK
MARKS POD OCHRONĄ PENTAGONU?

EKONOMIA

64 ROZMOWA Z PROF. ŁUKASZEM HARDETEM
NIE LEKCEWAŻMY INFLACJI
Wyższe ceny zostaną z nami przez dłuższy czas

68 TOMASZ CUKIERNIK
**JAK NOWY ŁAD
PRZEDŁUŻYŁ KRZYZYS**

72 JAKUB WOZINSKI
TVN24 JAK CNN?

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (53), PRZYBYLSKI (62), GABRYEL, WARZECHA (74), KOMUDA (78), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda,
Ślawomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska,
Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński,
Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak,
Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torzański,
Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wokczyk,
Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata**
Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielski** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa**
Okładka: **Robert Woźniak/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829

Nakład 572 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodroży Czytelnicy,

W tym tygodniu zamiast
listów publikujemy
fragment opinii Rady
Etyki Mediów dotyczącej skarg
na jedną z naszych okładek.

Opinia REM na temat
prasowej grafiki politycznej

Okładka tygodnika „Do Rzeczy”
(nr 12/2021) wzbudziła oburzenie, które
znalazło wyraz w kilku skargach do Rady
Etyki Mediów.

Najdobitniej sformułował dotyczące jej
zastrzeżenia pan Jędrzej Jankowiak, który
koncentruje uwagę na zdjęciu „osoby czar-
noskórej z komputerowo wybieloną połową
twarzy na okładce. [...] Istotne jest, że słowo
»Murzyn«, użyte celowo w pejoratywnym
znaczeniu, przez wielu ludzi uważane jest za
obraźliwe, a zabieg wybielenia skóry w pro-
gramie komputerowym jest przejawem ra-
sizmu w najczystszej postaci”. Tak stwierdza
pan Jankowiak, wskazując, które z zasad
etyki dziennikarskiej zostały według niego
naruszone, i oczekując od REM podzielenia
jego opinii, iż winą za te naruszenia obciąża
redaktora naczelnego „Do Rzeczy”, Pawła
Lisickiego, oraz „osobę odpowiedzialną za
stworzenie okładki”.

Prasowa grafika polityczna, na zacho-
dzie Europy i w USA często drastycznie bu-
wersująca i brutalnie atakująca polityków
ad personam, jest w Polsce zwykle nieśmiała
i bojaźliwa. Gdy próbuje się wyzbyć tych
cech, spotyka się z ostrym sprzeciwem. Tak
było w przypadku okładki skupiającej uwa-
gę czytelników na „wilczych oczach Tuska”,
czy innej, na której Kwaśniewski, Balcero-
wicz i Wałęsa, ustawieni na wzór dawnych
portretów Marksa, Lenina i Stalina, mieli
pod hasłem: „Co spapraliśmy?” spowiadać
się z „błędów III RP”. Najostrzejsza reak-
cja dotyczyła jednak okładki tygodnika
„Newsweek” ukazującej Antoniego Maciere-
wicza jako talibę, niemal dokładnie dziewięć
lat temu. W skardze skierowanej do mnie
jako przewodniczącego REM pan Mariusz
Błaszczak, wówczas przewodniczący Klubu
Parlamentarnego PiS, przekonywał, że
okładka ta jest „niedopuszczalna ze względu
na standardy rzetelnego dziennikarstwa. [...] Fotomontaż, który przedstawia Antoniego
Macierewicza w turbanie, z długą brodą,
jednoznacznie stylizuje go na terrorystę.
Pod zdjęciem zamieszczony jest duży napis:
»Amok«. Takie działanie kierownictwa
redakcji jest niedopuszczalne. Fotomontaż



z okładki »Newsweeka« [...] jest niespotykaną manipulacją mającą wywołać zamierzony przez autorów efekt”.

Nie zgodziliśmy się wówczas z tymi zarzutami [...]. Zdaniem

REM okładka »Newsweeka« jest graficznym komentarzem odnoszącym się do działalności i radykalnych publicznych wypowiedzi krytykowanego w ten sposób polityka. Dziennikarz napisałby, iż polityk »postępuje jak talib«, co mogłoby rodzić wątpliwości – ale przecież nie zarzut złamania zasad etyki dziennikarskiej. REM nie widzi więc uzasadnienia dla tego zarzutu wobec ilustracji okładkowej, swoistej karykatury, która przekazuje tę samą myśl wyrażoną inaczej niż słowami” – napisaliśmy w kwietniu 2009 r. w odpowiedzi na skargę Mariusza Błaszczaka.

REM nadal kieruje się zasadą, w myśl której artysta grafik wyraża w swojej pracy myśl i przesłanie, jakie dziennikarz piszący wyraziłby w tekście swojej publikacji – i nie podziela podniesionych w skardze zarzutów wobec autora okładki i redaktora naczelnego tygodnika „Do Rzeczy”.

Autorowi kwestionowanej okładki udało się powiedzieć to, co w tekście dziennikarza wymagałoby wielu akapitów. Choć Rada Języka Polskiego uznała słowo „Murzyn” za obraźliwe, decyzja ta nie dla każdego jest oczywista. Słownik Doroszewskiego przypisuje znaczenie pejoratywne słowu „negr”, pochodnemu „zakazane słowa na n” w języku angielskim, ale nie słowu „Murzyn”. Jest przecież Murzynek Bambo („nasz koleżka”), jest godny współczucia, ale nie pogardy „Murzyn, który zrobił swoje”, a wycucie tych subtelności dane jest także mieszkającym w Polsce ludziom o czarnej skórze, gdy osiągną biegłość w języku tubylców. Zapewne po to, by tę biegłość ujawnić, czarnoskóry poseł Killion Munyama pozwolił sobie na z sympatią przyjęty żart, stwierdzając w 2011 r., podczas spotkania w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, że w dziedzinie będącej przedmiotem dyskusji „jesteśmy sto lat za Murzynami”.

Zdaniem REM to dobra ilustracja okładkowa, trafnie i przekonująco oddająca wątpliwości związane z tematem artykułu, na który zwraca uwagę czytelników. Jeśli mogą oni mieć jakieś zastrzeżenia wobec redakcji, to chyba o to tylko, że nie podała nazwiska grafika, któremu chcieliby przypisać tę zasługę.

W imieniu Rady Etyki Mediów
Ryszard Bańkiewicz, przewodniczący REM
Warszawa, 24 maja 2021 r.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Diabelski efekt amnestii

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956”:

Wybaczyć – to takie niesowieckie słowo”. Ta refleksja rosyjskiego antykomunisty Władimira Wołkowa ma głębokie uzasadnienie. Pojęcie wybaczenia, które ukonstytuowało chrześcijański świat wartości, Sowieci odrzucali jako burżuazyjny przesąd. Determinizm klasowy zakładał, że ludzie danej warstwy społecznej działają wskutek uwarunkowań wynikających z ich sytuacji ekonomicznej. Komisarze bolszewickiej Czecha zakładali, że wróg klasowy nie może wyzbyć się wrogości wobec władzy sowieckiej. Owszem, istnieli też zwolennicy teorii o możliwości reedukacji przez pracę, ale nie stosowano jej w wypadku najgroźniejszych wrogów. W warunkach wojennych ideałem była likwidacja fizyczna przeciwnika, a gdy wróg był z jakichś powodów potrzebny, musiła go obejmować

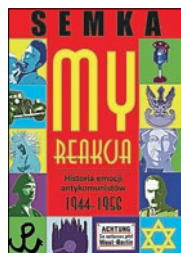
jak najdokładniejsza inwigilacja policyjna.

W powojennej Polsce Bieruta toczyła się wojna z wrogiem klasowym. Ubekom kształconym na kursach w Kujbyszewie wbijano do głowy, że wybaczenie jest naiwnością, a od zbyt dużego zaufania już tylko krok do utraty rewolucyjnej czujności. Wszelkie amnestie musiały służyć do zbierania informacji o przeciwniku i ustalania, kto nim jest, a nie do modus vivendi z wrogami klasowymi. To sowieckie założenie było na tyle nieludzkie i na tyle sprzeczne z zasadami naszej cywilizacji, że większość Polaków z trudem zakładała, że można tak myśleć. Jak zwykle najmniej złudzeń mieli Kresowiaczy, którzy zetknęli się z logiką NKWD w latach 1939–1941 i po 1944 roku. Ale już wielu AK-owców z centralnej Polski uwierzyło, że amnestie to wynik dobrej woli władzy. [...]

Pierwsze propozycje amnestyjne wysuwali Sowieci na Wileńszczyźnie. Czasami czynili to sami, a czasami wyręczał się wileńskim biurem Związku Patriotów Polskich. Te doświadczenia amnestyjne, które kończyły się potem ponownymi

aresztowaniami, z trudnością przedzierały się do świadomości Polaków za linią Curzona. [...]

Na tym polegał diabelski efekt amnestii. Koledzy z tego samego oddziału czy komórki konspiracyjnej nie wiedzieli, ile ich koledzy, którzy się ujawnili, opowiedzieli o tajemnicach wspólnej przeszłości. Amnestia dzieliła więc środowiska, a im więcej było ponownych aresztowań, tym częściej ich ofiarom przychodziło do głowy pytanie, w jakim stopniu jest to zasługa towarzyszy broni, którzy zgłosili się na UB. Na dodatek dla oficerów bezpieczeństwa nawet niewinny szczegółik wyciągnięty z rozmowy z amnestionowanym mógł potem pomóc złamać innego aresztanta, który dochodził do wniosku, że „oni i tak wiedzą wszystko”. W istocie bowiem amnestia była wynikiem głębokiego zaniepokojenia Sowietów skalą oporu polskiej partyzantki antykomunistycznej. Historyk Piotr Niwiński ocenia liczbę aktywnych grup zbrojnych walczących z nową władzą w połowie 1945 roku bez partyzantki na ok. 1,2 tys. oddziałów i 80–90 tys. osób w kręgu byłej konspiracji. ©



BRZEZINSKI AMBASADOREM?

Mark Brzezinski – syn Zbigniewa Brzezińskiego, byłego doradcy prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego – ma być kandydatem administracji Joe Bidena na nowego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce. Taką informację podała „New York Times”. Mark Brzezinski za prezydentury Baracka Obamy był ambasadorem USA w Szwecji. Jest prawnikiem, biegle włada językiem polskim. W 2007 r. został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. (luz) ©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zgermanizować Lewego

Najlepszym niemieckim piłkarzem wszech czasów okazał się Polak. I wiele reakcji na ten fakt wskazuje, że Niemcy – może bardziej ci z dawnych Prus niż ci z Monachium – mają z tym potężny ból... powiedzmy, pleców. Porównywalny chyba tylko z tym z 1938 r., kiedy to amerykański Murzyn Joe Louis znokautował w zaledwie 124 sekundy „dumę ludzkiej (tzn. białej) rasy” Maksa Schmelinga.

Żebyż przynajmniej „Lewy” miał w sobie coś z Róży Thun czy Janusza Lewandowskiego, ten gen rasowej i kulturowej niższości, tę uległość wobec wyższej „die Kultur” – można by mu, jak powieściowemu Franciszkowi Kłosowi, powiedzieć: „Twoja dzielność uczyniła cię Niemcem”.

Niestety, polski piłkarz nie tylko nie przejął się apelami Dietmara Hammana i innych komentatorów przestrzegających go, by nie ważył się bić rekordu Gerda Müllera, lecz także na dodatek otwarcie się do białego orła i do swej polskości przyznaje, a nawet – rzecz zupełnie już niesłychana – jest z niej dumny. To zresztą postawa typowa u większości polskich sportowców. Podczas gdy na salonach modne jest uważać, że polskość to obciach, nasi medaliści i mistrzowie mają do sprawy podejście dokładnie odwrotne. Pamiętają jeszcze państwo, jakich drgawek ze złości i wstrętu dostawał niejaki Kuczek, literat, pisujący w „Gazecie Wyborczej”, że Kamil Stoch zwykł publicznie się żegnać przed wykonaniem ważnego skoku?

Sądę, że ze strony Kuczeków, Wielińskich i Biedroniów nie od rzeczy byłby jakiś akt ekspiacji – list w duchu „nie wybaczymy Lewandowskiemu i prosimy o wybaczenie dla Polski” albo może rezolucja w PE? A może uniżona prośba, by jednak awansować go na Niemca, nawet jeśli on sam, będąc osobnikiem nieświadomym i zacofanym, nie wie, że powinien o to poprosić? W niemieckiej historiografii do dziś podtrzymywany jest mit, przypisujący tym polskim generałom, którzy w starciach z „rasą panów” wykazali się wyższością – jak Kleeberg czy Anders – niemieckie pochodzenie. A przecież sport w dzisiejszych czasach obsługuje podobne emocje jak dawniej wojna. ©©

OD POCZĄTKU

Narodowa jedność przeciwieństw



MAREK JUREK

Jarosław Kaczyński od październikowego wyroku unikał wypowiedzi wspierających antyeugeniczne orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego. Ograniczył się jedynie do stwierdzenia (w znanym internetowym przemówieniu z 27 października), że w świetle konstytucji stanowisko Trybunału nie mogło być inne. Wtedy to zabrzmiało trochę jak „nie chcę, ale muszę”. A dziś już widać, że Prezes ani szczególnie nie chce, ani w ogóle nie musi. W niedawnym wywiadzie stwierdził, iż „bzdurą jest twierdzenie, że aborcja jest zakazana”, jest bowiem „furtka w postaci zdrowia psychicznego” i „można z tego skorzystać”.

Poza tym każdy „może sobie aborcję za granicą załatwić, taniej lub drożej”. Rozważane (na wniosek Partii Piratów) zmiany w prawie czeskim, by umożliwić przyjazdy aborcyjne z Polski, „to jest ich decyzja”, tego „tutaj nie rozstrzygniemy”. Prezes skromnie mówi o „furtce”, ale doświadczenie innych krajów uczy, że „zdrowie psychiczne” to nie furtka, ale prawdziwa brama, szersza nawet niż „względy społeczne”. Praktycznie to zniesienie ochrony życia, forma aborcji na życzenie.

Jak widać, stale dokonuje się wielka narodowa synteza. Wokół partii, w której łonie urzeczywistniają się wola i jedność narodu (bo bez niej społeczeństwo byłoby

tylko bezwonną masą), mogą się skupiać gorliwie wierzący i religijnie obojętni, zdeterminowani zwolennicy Unii Europejskiej i jej przeciwnicy, rzecznicy wolnej przedsiębiorczości i państwa socjalnego. A teraz narodowa jedność przeciwieństw wspina się na szczyt: będziemy żyć w państwie jednocześnie „całkowitego zakazu aborcji” i jej całkowitej swobody. Tę ostatnią będą gwarantować już nie „względy społeczne”, ale „względy psychiczne”, no i oczywiście te najważniejsze – względy wyborcze.

Spyta ktoś: Po co ta ponura ironia? Po reakcjach polityków prawicy przekonamy się w najbliższym czasie, czy jeszcze cokolwiek innego nam pozostaje. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Oni i my

Dla błaznów, satyryków i komedianów, którzy żyją z wyśmiewania innych, przyszedł niewesołe czasy. Lista osób i grup społecznych, z których za sprawą fanatycznych bojówkarzy postępu śmiać się nie wolno, rośnie w tak przerażającym tempie, że już niedługo zawodowym śmieszkom przyjdzie się przebrnąć albo umrzeć z głodu.

Znana amerykańska artystka Demi Lovato właśnie ogłosiła się osobą niebinarną, czyli ani chłopem, ani babą. I zażądała, żeby się zwracać do niej zaimkiem „they”, czyli „oni”. Zgodnie z logiką kobieta powinna mówić o sobie „my”, czyli chłop i baba w jednym. W związku z tym znana włoska kabarecistka Michela Giraud porównała Lovato do znanej wszystkim Włochom postaci telewizyjnej maga Otelmy, który ogłosił się bóstwem i mówił o sobie majestatycznie „My”.

Rozpętało się piekło. Bojówki progresistów natarły na niewiastę w sieci i w mediach z całą mocą, używając nierzadko najgorszych wyzwisk. Naturalnie ci ludzie mają wypisaną na sztandarach walkę z językiem nienawiści do ostat-

niej kropli krwi. Oczywiście zaszczuta kobieta natychmiast się pokajała i przeprosiła wszystkich, z LGBT+ na czele.

W obronie Giraud stanął bardzo znany i ceniony dziennikarz telewizyjny Enrico Mentana: „W tym kraju istnieje wolność słowa. Nie można żądać ostracyzmu i dokonywać linczu medialnego na kimś, kto w sposób satyryczny traktuje kwestie społecznie wrażliwe”. I wyjaśnił, że gwarantowana przez konstytucję wolność słowa pozwala stroić sobie żarty ze wszystkich: prawicowców i lewicowców, Żydów, gejów i sędziów, dziennikarzy i feministek etc.

Nietrudno się domyślić, co się stało potem. Obso-baczyli Mentanę bezprzekładnie. Wszędzie. Szaleńcy oskarżyli go o podżeganie do LGBT+fobii, a na dodatek o dyskryminację i obrazę mniejszości seksualnych.

Z ostatniej chwili: wszystkie włoskie media odnotowały coming out 19-letniej piosenkarki Madame. Oświadczyła, że jednego dnia budzi się kobietą, a drugiego mężczyzną. Zastanawiam się, kogo to obchodzi. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



u t y j z t o r d a @ P r o p o l 2 0 2 0



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Antyempat

Antyempatem jest Twitter. Że nie ma takiego słowa? Może i nie było, ale jest taka emocja, a na mocy neologizmów emocje stwarzają słowa. A zatem narodziło się słowo „antyempat”, nówka lśniąca, zimna i niemiłosierna.

To, że TT nie wypracował stanowiska wobec dramatu Marty Lempart, to jedno, ale to, że jak klastyczny antyempat popisywał się brakiem współczucia – to drugie i niewybaczalne. Pani Marta wyznała „Gazecie Wyborczej”, że po okresie dynamicznej, ulicznej często walki jakby nawet chwilami wręcz: „Straciłam wszystko, finansowo i zawodowo. Dotychczasową pracę i firmę. Teoretycznie na własne życzenie. Jestem w fatalnej sytuacji finansowej. Mieszkam grzeszcząco u kogoś, kto jest poza Polską – i oczywiście jestem wdzięczna, bo to też pokazuje, ile mam szczęścia. Zarabiam teraz 20 proc. tego, co pięć lat temu. Oszczędności już dawno nie mam”. No i się zaczęło. Co prawda, pani Anna Maria Żukowska (Lewica) napisała na TT: „Powinniśmy, jako społeczeństwo, wreszcie przyjąć jako coś neutralnego, że aktywizm to zajęcie na pełen etat i powinno być opłacane. Kijowski chciał podtrzymać fikcję, że aktywista może normalnie zarabiać gdzie indziej, i wyszło bardzo źle. Marta Lempart powinna mieć pensję”, ale ten szlachetny głos okazał się odosobniony. Antyempat rzucił się i na panią Martę, i na panią Anię, że niech jedna drugiej płaci, a w ogóle to ja też chcę być aktywistą za 10 tys miesięcznie i za nowego komputra Maca. Były też głosy ekonomiczne, że ale co się stało z ponad milionem grubo peelenów wpłaconym na cele w formie zrzutek, ale pani Marta nie odpowiedziała na to zapytanie na TT. Pewnie się rozszedł na potrzeby bieżące, aktywiści mają dużo potrzeb, jak wiadomo. Przywoływano postać Kijowskiego, który po nieetacie na wodza rewolucji KOD został uczciwym fryzjerem. To znaczy ja tak słyszałem, że uczciwym. Bo jak łysy może oceniać fryzjera?

Stało na tym (jakże to u nas częste), że nie wiadomo, co to teraz będzie, i wszystko w jakimś takim stanie zawieszenia. Niemniej wywiad z panią Lempart w „GW” pokazał ją w świetle ciepłym jako osobę utrudzoną, dla nas i dla naszej wolności ponoszącą różnego rodzaju ofiary.

Niestety, Twitter nie stanął na wysokości zadania, chłoscząc bez opamiętania i współczucia. Antyempat. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

No i rymy: jeden się pomylił, jeden się przewrócił i wyszło, jak wyszło, czyli Eine Totalopposition nie przegłosowała w Senacie preambuły do europejskiego Funduszu Odbudowy. Czas na zmianę nazwy – z Koalicji Obywatelskiej na Objazdowy Cyrk Obywatelski. W skrócie OCO. Będzie można też przemianować Sok z Buraka na OCO.press. Zdezorientowanym wyborcom Eine Totalopposition podpowiadamy do skandowania nowe hasło: „OCO chodzi? OCO chodzi?”.

Wyjątkowo krótko trwała kariera Marka Konopczyńskiego jako kandydata Porozumienia na kandydata na rzecznika praw obywatelskich. Nie pierwszy raz. Mało kto wie, że kiedyś spore grono polityków PiS widziało w nim idealnego rzecznika, ale praw dziecka. Może dlatego, że wtedy tzw. Strajk Kobiet jeszcze nie istniał i nie wywalał na fejsika damskich piersi wpisanych w logo Polski Walczącej. Zatem prof. Konopczyński nie miał czego lajkować i szerować.

Wzwiązku z powyższym ziściła się zapowiedź szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego, który w wywiadach zapowiedział, że teraz czas na Lidę Staroń. Z tego, co słyszeliśmy, pewien senator Eine Totalopposition już jakiś czas temu obiecał senator Lidii swój głos. Znow więc będzie ciekawie.

Jarosław Gowin się wściekł. Co samo w sobie już brzmi zabawnie. No i po tym, jak PiS ustrzelił Konopczyńskiego za słowa, że Kościół stoi dziś tam, gdzie ZOMO, Gowin postanowił stanąć tam, gdzie ORMO, czyli Eine Totalopposition. Stąd wsparcie Porozumienia dla kandydatury opozycyjnego prof. Więcka. Sugestię, że to podziękowanie za opinię Więcka, iż to Gowin jest szefem Porozumienia, a nie Bielan, odrzucamy jako kalamnie i kolumny.

Zapytaliśmy ważną wiewiórkę z Nowogrodzkiej, skąd szampański humor, w którym ostatnio szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński udziela wywiadów. „Prezes wie to, co i ja wiem, ale nie mogę powiedzieć” – oświadczyła wiewiórka. Znacnie jednak nasz dar przekonywania. Kolejne zdanie wiewiórki brzmiało więc: „Już wkrótce

to będzie bardzo poszerzona i bardzo stabilna koalicja”.

Wszyscy mówią, że długo wyczekiwany kongres PiS odbędzie się 3 lipca. A my słyszeliśmy, że to jeszcze nie jest takie pewne. Pojawiła się bowiem propozycja, by urządzić go w rocznicę Grunwaldu, czyli 15 lipca. Powątpiewamy. Po pierwsze rocznica nie jest okrągła, po drugie wypada w czwartek. A kongresy zwyczajowo organizuje się w weekend.

Zanim dojdzie do kongresu PiS, w czerwcu odbędzie się kongres nowej partii Adama Bielana. Zatem prace nad „bardzo poszerzoną i bardzo stabilną koalicją” trwają. Ale spokojnie, ktoś tam w Porozumieniu jeszcze zostanie. Przynajmniej trzech. Jarosław, Gowin oraz Jarosław Gowin.

Zycia elit europejskich. Od trzech miesięcy sprawdzamy regularnie, jak postępuje akcja szczepień w najważniejszym miejscu kontynentu, znaczący w Parlamencie Europejskim. No więc nie postępuje. A dokładnie rozwiązano to tak: punkt, do którego można zgłosić się na szczepienia, jest czynny w poniedziałki i piątki. Problem w tym, że eurodeputowani przyjeżdżają zwykle w poniedziałek wieczorem, a wyjeżdżają w piątek rano. I to by było na tyle.

Nie chcemy zatruwać europejskiej atmosfery zrozumienia i współpracy, ale musimy. Mało kto wie, że podczas pandemicznej przerwy rozpoczęło się rozpruwanie gmachu PE w Strasburgu. Znajduje się tam bowiem wielce toksyczny azbest. Nie wiemy, jak bardzo azbest wpływa na stan umysłowy ludzi wystawionych na jego działanie, ale sądząc po tym, co omawia się w europarlamentach, to jest wpływ znaczący.

Teraz najlepsze: w czerwcu szykuje się po raz pierwszy od 16 miesięcy sesja PE. I na ten okres rwanie azbestu zostanie zawieszone, a sam budynek obwołany będzie strefą bezpieczną. Domyślamy się, że cząsteczki azbestu też karnie zawisną gdzieś z dala od wieżowca, czekając na koniec sesji, kiedy kolejna urzędnicza decyzja sprawi, że mogą wrócić i truć dalej.

Jesteśmy dumni, że w Polsce też będzie się wychowywać elity europejskie nie gorsze niż w Strasburgu czy Brukseli. Dlatego kibicujemy nowemu przedsięwzięciu Rafcia Czajkowskiego vel Trzaskowskiego: Campus Polska Przyszłości. Martwi nas jednak fakt, że tylko jedno słowo – campus – brzmi w nazwie po europejsku. Poprawiona wersja powinna brzmieć: Campus Polen der Zukunft. Ewentualnie: Lager Polen po prostu. Reszta bez zmian, wychowanie elit także będzie odbywać się przez trucie. Trującym godzinami będzie Rafcio.

Rektor olsztyńskiego uniwersytetu, gdzie Rafcio Czajkowski zainauguruje swój ruch, opowiada w wywiadach, że to nie jest agitacja polityczna, bo event organizuje nie partia, lecz fundacja Rafcia. Bierzemy te słowa za dobrą monetę i czekamy, kiedy rektor Jerzy Przyborowski zaprosi na uniwersytet fundację im. Lecha Kaczyńskiego.

Na koniec będzie poważnie i smutno. COVID zabrał nam przyjaciela. Dobrego człowieka. Najlepszego wydawcę w Polsce. Odszedł Paweł Szwed, kiedyś Świat Książki, a potem właściciel i założyciel wydawnictwa Wielka Litera. Będzie nam Ciebie brakować, Pawle. A wszystkie książki, które teraz będziesz wydawał – jesteśmy pewni, że dalej będziesz – obiecujemy przeczytać, kiedy znowu się spotkamy. Już tam. ©©

SZAFIARKA IDZIE NA WOJNĘ

Pasjonujący jest spór, który wybuchł niespodziewanie na linii Maffashion–TVP. Żeby było śmieszniej, blogerka modowa i publiczny nadawca pokłócili się o Eurowizję. Zaczęło się od tego, że Maffashion dała wyraz swojemu niezadowolению, iż to Rafał Brzozowski reprezentował nasz kraj w konkursie. „Co ty Jacek bredzisz?

– napisała, zwracając się do prezesa TVP. – To tylko ty naraziłeś Rafała na ten hejt, wybierając według własnego widzimisie osobę, która będzie nas reprezentować!“. Na jej słowa postanowiła odpowiedzieć oficjalnie TVP.

I zażądała sprostowania, podkreślając, że nieprawdą jest, iż to prezes wskazał, kto ma jechać na Eurowizję. W odpowiedzi Maffashion zamieściła fotkę z napisem „To nie Jacek Kurski wybrał Rafała“. TVP znów postanowiła skomentować sprawę, pisząc, że „konwencja

przeprosin wydaje się być adekwatna do stylu i poziomu autora publikacji!“. „Media społeczno-sciowe nie mogą być strefą fake newsów. Bloggerzy i szafiarki nie prowadzą działalności wyjętej spod prawa i muszą respektować powszechnie obowiązujące przepisy oraz prawa innych osób“ – czytamy dalej w oświadczeniu TVP. Teraz to już nie będzie spór,

a prawdziwa wojna! Nazwać celebrytkę, która ma się za czołową polską influencerką, szafiarką, to zniewaga, której wybaczyć się nie da! Tak, to jest ten moment, gdy można (trzeba nawet) skoczyć po popcorn.

COŚ NIE PYKŁO

Tymczasem Rafał Brzozowski mimo zajęcia odległego miejsca i niezakwalifikowania się do finału Eurowizji pozostaje w dobrym nastroju i wciąż uważa, że jego piosenka była super.

– Ten konkurs jest zawsze niespodzianką i zdarza się, że jego wyniki zmieniają trendy mu-

zyczne na świecie. Ja postawiłem na piosenkę, która może spodobać się każdemu, napisaną specjalnie dla mnie przez wspaniałych muzyków ze Szwecji. Team: Thomas Karlsson, Clara Rubensson, Johan Mauritzson i Joakim Övrenius jest naprawdę dobry i chyba nie trzeba nikomu przypominać, że Szwedzi znają się na produkcji hitów – podkreślił, nieświadomie strzelając sobie w stopę. No bo skoro piosenka była takim hitem, to najwidoczniej z wykonawcą coś nie pykło.

TAKI KONTAKT!

Allan Krupa, syn Edyty Górniak, z okazji Dnia Matki postanowił udzielić wywiadu „Super Expressowi“ i poopowiadać o tym, jak wspaniałą ma mamę. – Jest wyjątkowa nie tylko dlatego, że ma na mnie dobry wpływ, mamy niesamowite zaufanie do siebie oraz bardzo dobry i zdrowy kontakt, lecz także dlatego, że ma pozytywny wpływ na innych ludzi i dobre relacje z nimi. Nigdy na przykład nie spotkałem osoby, która by się z nią nie dogadała. Każdy mi jej zazdrości – pochwalił się. – Zawsze daje mi możliwość głosu w każdej podejmowanej decyzji, przez co jesteśmy z owej zadowoleni oboje. Przez okres dorastania dostałem też bardzo dużo wolności, dzięki czemu szybko się usamodzielniłem i ukształtowałem dzisiejszego siebie – podkreślił Allan. Złożył jej także życzenia. – Najbardziej życzę jej tego, aby po tylu ciężkich latach swojej kariery robiła tylko to, czego naprawdę pragnie w muzyce. Żeby zawsze była szczęśliwa i bezpieczna oraz abyśmy mieli taki kontakt na zawsze! – powiedział. O tak, taki kontakt za pośrednictwem tabloidów to prawdziwy skarb! Trzeba chuchać i dmuchać.

MAKIAŻ OCHRONNY

Aktorka Agnieszka Dygant wrzuciła do Internetu film, w którym opowiada o swoich kobiecych rozterkach związanych z makijażem. Malować się czy się nie malować, oto jest pytanie! – Dzisiaj takie zrobiłam sobie zdjęcie bez makijażu. Zrobiłam sobie kilka tych zdjęć i powiem wam, że bez makijażu jest dziwnie – zaczęła niewinnie. Potem dodała, że gdy nie ma makijażu, to bołą ją oczy, i że jednak woli siebie umalowaną. – Uważam, że bez makijażu wyglądam trochę, jakbym była chora. Jakbym grała w jakimś smutnym filmie o chorej kobiecie. Jak jestem bez makijażu i idę ulicą, to łapię taki klimat trochę dziwny, trochę taki „psycho“. Chroni mnie makijaż psychicznie przed samą sobą. Co za bzdury. No głupoty opowiada, ale coś w tym jest – stwierdziła. Skoro makijaż chroni ją psychicznie przed samą sobą i wygadaniem takich bzdur/głupot, to niech ma go codziennie! Nawet wtedy, kiedy śpi. Po co kusić los? ☹☹



FOT. PETER DEJON/AP/EAST NEWS

TVP



FOT. PAWEŁ GROMADA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, za nami już tegoroczny Dzień Matki, czyli święto zupełnie nieprzystające do dzisiejszych czasów, które znaczenie płci oraz waginoosoby określa przez pryzmat posiadania lub nie potomstwa.

Of kors nam na sercu najbardziej leży Wasze dobro i komfort psychiczny, a Dzień Matki jest niestety okazją, kiedy wielu z Was może odczuwać przykrości, iż popkultura i tradycja na każdym kroku sugerują, że macie się skontaktować ze swoimi osobami płodzącymi żeńskimi, a Wy przecies możecie nie chcieć.

w małych ośrodkach wiejskich, a nie w przynajmniej Poznaniu? Pamiętajcie, to wasze uczucia są ważne!!11

Rząd uruchomi loterię szczepionkową i dzięki temu osoby, które zdecydują się zaszczepić, będą miały okazję wygrać różne cenne nagrody. Szczerze mówiąc, w te samochody hybrydowe nie chce nam się wierzyć, tak obiecują, a skończy się na 15-letnim golfie 1,9 TDI, który zalicza właśnie trzecie okrążenie licznika.

Loterie zaś są narzędziem neoliberalnego wyzysku, w którym wąska uprzywilejowana grupa zdobywa majątek dzięki marzeniom i poświęceniu poniesionemu ze strony innych, którzy na koniec i tak nie dostaną niczego.

Naród polski wpadł w ekstazę, ponieważ grający dla niemieckiego klubu polski piłkarz Lewandowski ostatecznie 41 razy strzelił piłką do bramki rywali i pobił jakiś rekord sprzed w chooy lat.

Tydzień temu pisaliśmy Wam, iż nie wiemy jeszcze, czy mu się to uda. Teraz już wiemy, że się udało, i to w szczególnie złośliwy sposób, a mianowicie w ostatniej akcji meczu. Tak jakby specjalnie wyczekał, aż niemieccy kibice i eksperci się uspokoją, ochłoną, a potem zadał ten podstępny cios.

Zresztą, kochani, bądźmy szczerzy – Lewandowski pobił rekord tylko jedną bramką. Użyliśmy skomplikowanych modeli matematycznych i wyszło nam, że tym samym pobił ten rekord o zaledwie 2,5 proc. – już więcej ma nasze piwko ze sprajtem xD

Naprawdę mamy się wszyscy ekscytować tak nieznacznie pobitym rekordem? Sami widzicie, że z tym narodem coś jest nie tak. @@



Bo może na przykład macie zbudowane na społecznych normach poczucie winy, iż odzywacie się tylko z prośbą o stówkę, a do małego ośrodka jeździcie tylko po stoiki?

No właśnie – a może macie pretensje do swoich osobomatek, iż urodziły Was

W każdym razie chcemy zaalarmować, iż taka loteria to jest dzielenie osób i po samochodzie powinien najpierw dostać każdy, kto się zaszczepił, a w następnej kolejności każdy, kto się jeszcze nie zaszczepił, iż na tym polega równość.

PODSŁUCHANE

Sytuacja jest delikatna

Michał, a ja mogę w tej loterii wystartować?

Wiesz, Mariusz... Teoretycznie tak. Ale lepiej nie.

Dlaczego? Ja się zaszczepiłem.

Sytuacja jest delikatna. Ty jesteś ministrem konstytucyjnym, jeśli coś wygrasz, to będzie, że zrobiliśmy loterię dla swoich.

Szkoda... Wiesz, pięć stówek to jednak piechotę nie chodzi. Poza tym zawsze chciałem mieć hulajnogę elektryczną, MON to jest duży gmach, można by się szybko przemieszczać, a własnej kasy to mi trochę szkoda. Ale przecież pewnie i tak bym nie wygrał.

No właśnie bardzo możliwe, że byś wygrał, bo zainteresowanie jest takie... powiedzmy: mocno średnie.

Może nagrody słabe są?

A co ty byś chciał? Żeby czołg można było wygrać?

A jakby tak były do wygrania kolacje z wybitnymi ludźmi?

No z kim na przykład? Skąd ja ci wezmę wybitnych ludzi, którzy nam pomogą?

No jak to? A sam prezes na ten przykład?

Chciałem Adama namówić na coś takiego. Wtedy to nawet antyszczepcy by w to weszły, byle mu nawtykać. Ale jakoś nie był zainteresowany. @@

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

OD RZECZY

„Jakie to szczęście, że za sąsiadów mamy Czechów. Wyobrażacie sobie, co by się działo, gdyby tak Polska graniczyła z Polską?”

KLAUDIA JACHIRA, posłanka KO, na Twitterze, w kontekście sporu z Czechami w sprawie kopalni Turów

Łukasz Warzecha





GÓRNICY W OBRONIE POLSKIEJ KOPALNI

W ubiegłym tygodniu górnicy przyjechali na protest przed siedzibą Komisji Europejskiej we Wrocławiu. Związkowcy z OPZZ, Solidarności i przedstawiciele wielu kopalń w kraju wysypali węgiel przed Domem Europy oraz zablokowali ulicę Widok. Nieśli transparenty z napisem: „Ręce precz od Turowa”.

Górnicy protestują na reakcję na postanowienie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Wiceprezes TSUE przychyliła się do wniosku Czech i nakazała wstrzymanie wydobycia węgla w kopalni Turów w Bogatyni (Dolny Śląsk). „Polska zostaje zobowiązana do natychmiastowego zaprzestania wydobycia węgla brunatnego w kopalni Turów. Podnoszone przez Czechy zarzuty dotyczące stanu faktycznego i prawnego uzasadniają zarządzenie wnioskowanych środków tymczasowych” – napisano w postanowieniu TSUE.

Polski rząd w ubiegłym tygodniu negocjował jeszcze z Czechami porozumienie w tej sprawie, które miałyby zakończyć się wycofaniem wniosku z TSUE. Według oświadczenia Komisji Europejskiej, przesłanego do Radia RMF FM, negocjacje międzyrządowe nie mogą zawieszać decyzji o wstrzymaniu wydobycia. **(luz)** © ©

FOT. K. REISZTORF / KANIEWSKI REPORTER



Ojciec Adam Szustak jest dominikaninem, którego dziś większość odbiorców zna jako twórcę ewangelizacyjnego i duszpasterskiego kanału „Langusta na palmie” w portalu YouTube. Gdy piszę ten tekst, o. Szustak zebrał tam 768 tys. subskrybentów, a najpopularniejszy jego film – zawierający tylko dźwiękowy zapis modlitwy

różańcowej – doszedł do 8,8 mln odsłon. Przy czym materiałów filmowych, które przebiły granicę miliona odsłon, jest na „Languście” kilkanaście. Nie liczyłem takich, które mają po kilkaset tysięcy odsłon, a do tych z kilkudziesięcioma tysiącami nawet nie doszedłem. Wszystkich materiałów jest bez liku. Efekt sześciu lat aktywności kanału – tak przy-

najmniej wynika z wieku najstarszych filmów – czyli pracy o. Szustaka oraz jego ekipy, jest imponujący.

Teraz jednak – podczas wywiadu na kanale YouTube „Imponderabilia” – większa liczba odbiorców miała okazję poznać o. Adama, ale w innej roli. Jako kapłana bez specjalnego uzasadnienia atakującego biskupów i okraszającego swoje niezro-

Co wynika z religii o. Adama Szustaka



Tomasz Rowiński

Po ostatnim wywiadzie, którego o. Adam Szustak udzielił na YouTube, trudno jest zrozumieć, dokąd zmierza ten prawdopodobnie najpopularniejszy polski kaznodzieja

zumiałe złości wulgaryzmami. Te zresztą można uznać za drugorzędne w całej sprawie, zadziałały po prostu jak wabik dla mediów. – Jestem zmęczony, zniechęcony, zrozpaczony tą degrengoladą, która się dzieje – powiedział dominikanin. Można było podejrzewać, że chodzi o problemy ze skandalami obyczajowymi w Kościele. Jednak nie. – Było jakieś tam

spotkanie, jakieś tam episkopatu, jakieś coś tam tej komisji, i wydali takie tam oświadczenie, m.in. Gądecki, co jest teraz najważniejszą potrzebą Kościoła – kontynuował w lekceważącym tonie o. Szustak. – Tak aktualnie, że kończy się pandemia, jak teraz Kościół powinien zafunkcjonować i pierwszy punkt k..., który podano, Gądecki go podał, to najważniejsze jest to,

żeby teraz zrobić wszystko, co się tylko da, żeby ludzie wrócili do Kościoła, czyli żeby zaczęli chodzić do kościoła. No do k...y nędzy, w takim razie mi ręce opadają.

Ojcu Szustakowi chodziło zapewne o słowa abp. Stanisława Gądeckiego, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, wypowiedziane w czasie obrad Rady Stałej na Jasnej Górze w sprawie duszpasterstwa Kościoła w Polsce po ustaniu pandemii. Warto je przytoczyć, by ocenić adekwatność reakcji dominikanina. – Pandemia nie tyle zmieniła istotę Kościoła w Polsce, bo ta jest niezmienna, ale bardzo zmieniły się okoliczności zewnętrzne. Musimy zrobić wszystko, by wierni z powrotem mogli realnie uczestniczyć w liturgii i sakramentach, bo od tego zależy zbawienie, a nie od oglądania telewizji – powiedział metropolita poznański.

CO ZŁEGO W CHODZENIU DO KOŚCIOŁA?

Niestety, z wywiadu z o. Adamem Szustakiem nie dowiedzieliśmy się, co jest tak gorszącego w tym, że Kościół po okresie pandemicznych ograniczeń stawia sobie za priorytet powrót wiernych do praktyki liturgicznej, która – jak mówi przecież za najstarszą tradycją Kościoła ostatni sobór – jest źródłem i szczytem życia każdego chrześcijanina. Prowadzący rozmowę tylko nieznacznie potaknął, zamiast zapytać, co właściwie o. Szustak ma na myśli. – Ja nie mam już żadnej nadziei w tych gościach, skoro dla nich najważniejsze teraz jest to, żebyśmy wrócili do Kościoła – podsumował stanowisko dominikanin. Może chodziło o to, że o. Szustak uważa, iż chodzenie do kościoła służy tylko zbieraniu datków na tacę?

Tego nie wiemy, miejmy nadzieję, że myślenie popularnego kaznodziei nie uległo jeszcze tak całkowitej monetyzacji, mówiąc językiem YouTube'a. Może chodziło o to, że ludzie powinni się nawrócić do Boga, a nie chodzić do kościoła? Jeśli tak, to Kościół zawsze uważał, że najpewniejszą drogą do tego jest uczestnictwo w liturgii, udział w sakramentach – szczególnie spowiedzi i Komunii Świętej. Czy biskupi powinni teraz dla nawracania dusz zniechęcać do chodzenia do kościoła? A może chodziło o tę uwagę na temat oglądania telewizji, że chodzenie do kościoła odciąga od YouTube'a? Nie chcę już dalej ironizować, ale naprawdę trudno pojąć, o co mogło chodzić. Za to zostało wytworzone wrażenie, jaki to Kościół

FOT. BEATA ZAWRZEŃ / REPORTER

■ jest paskudny, a przeklinający, wkurzony o. Szustak luzacki i niezależny. Reszta wywiadu utrzymuje podobną stylistykę – choć bez wulgaryzmów.

Zostawmy na chwilę wywiad z „Imponderabiliów”. Co znajdziemy na kanale o. Adama Szustaka? Rekolekcje, homilie, komentarze do tekstów Pisma Świętego. Gdy klikam przypadkowy film – według datowania YT sprzed pięciu lat – poświęcony doświadczeniu samotności, relacji miłości do Boga i miłości do małżonka, znajduję, jak mi się zdaje, dobrą katolicką apologetykę, obronę wiary. Słyszę o Bogu, który nie stoi w srogiej opozycji do naturalnych dążeń człowieka, które realizują się w życiu rodzinnym, a jednocześnie słyszę, że czasem Bóg chce człowieka w większej wyłączności dla siebie i nie jest to powód do nieszczęścia. Ojciec Szustak komentuje oczywiście List św. Pawła do Koryntian, gdzie apostoł z Tarsu mówi o zagrożeniach duchowych wynikających z życia małżeńskiego – światowe zabiegi, jakie czynimy, by „podołać się żonie”, mogą nam przesłonić sprawy Boże. Jednym zdaniem, o. Adam Szustak odłamuje niekatolickie, a czasem wręcz antykatolickie mity, w których Bóg jest przeciwnikiem ludzkiego szczęścia. „Nam się wydaje [...], że jak będę z Bogiem, to już wtedy nikogo nie będę kochał. Nie, właśnie wtedy zaczniesz kochać”. Słucham z zaciekawieniem tych prostych praktycznych katolickich prawd. Ciepły głos i sposób mówienia zaciekawiają, uruchamiają refleksję pomimo tego, że przecież przede wszystkim interesuje mnie styl kaznodziei. Z pewnym żalem wciskam pauzę.

W czasie dyskusji – toczonej się m.in. na Twitterze – na temat wywiadu pojawiło się wiele głosów. Na przykład jezuita o. Paweł Kowalski napisał: „Jeszcze odnośnie do dyskusji wokół o. Adama Szustaka. Przyznam, że wzruszają mnie te próby licytowania się na liczbę nawróceń. Jestem duszpasterzem akademickim, rozmawiam ze studentami. Bardzo bym nam wszystkim życzył, żeby przeprowadzić tyle ludzi do Boga co o. Adam”. Ponieważ licytacja jednak trwała, głos zabrał inny katolicki vloger, Tomasz Samołyk: „Nawróć mnie Bóg, nie o. Szustak, ale w czasach największego mroku, grzechu i opuszczenia przez ludzi to on, jako jedyny, mówił o sprawach, które przeżywałem, o których nie słyszałem na żadnej mszy, mimo że byłem co niedzielę. Jezus obecnie robi cuda w moim życiu”.

Z wywiadu na YouTube wynika, że Kościół jest paskudny, a przeklinający o. Szustak – luzacki i niezależny

Klikając i słuchając kolejnych fragmentów filmów o. Adama Szustaka, mogę to zrozumieć, nie dziwi mnie to, znajduję tam rzeczy wartościowe.

DO JAKIEGO BOGA?

Opinie jednak na temat działalności dominikanina są podzielone, i to przecież nie od dziś. Pewien znajomy na kontrowersję wywołaną przez zakonnika zareagował w prywatnej rozmowie: „Bardzo dawno nie słuchałem Szustaka i nie wiedziałem, że ten rak się tak rozrósł”. Kilka osób pod wpisem o. Kowalskiego SJ pytało, do jakiego Boga prowadzi o. Adam Szustak. Skoro możemy uznać doświadczenie tych, których o. Szustak przyciągnął – jak uważają – do wiary katolickiej, to w podobnym stopniu powinniśmy wysłuchać tych, którzy sądzą, że ten znany kaznodzieja potrafi wywoływać zamęt, a niektóre jego wypowiedzi trudno powiązać w prosty sposób z tym, co Kościół podaje do wierzzenia choćby w katechizmie św. Jana Pawła II.

Ciekawy, anegdotyczny opis problemu o. Szustaka przedstawił inny katolicki youtuber, często polemiczny wobec dominikanina – Dawid Mysior. Opowiedział on przypowieść o dziesięciu dietetykach, z których dziewięciu mówi, że zdrowo jest jeść owoce, jeść chude mięso i pić dużo wody, a jeden dla odmiany opowiada, że nie zawsze niezdrowo jest jeść chipsy, wysokoprzetworzoną żywność i popijać colę. Mysior pyta, który z tych dietetyków miałby najpopularniejszy kanał na YT? Zapewne, ten który wydaje się oryginalny. Można też spodziewać się, w jaki sposób broniłby on swojego stanowiska, pewnie mówiłby, że dzięki jego aktywności więcej ludzi zaczyna się zastanawiać nad swoim zdrowiem. Pewnie tak, tylko że to nie zmienia sedna problemu, ten dietetyk nie mówi ludziom całej prawdy – konkluduje Dawid Mysior.

Podajmy dwa przykłady z rozmowy, które budzą wątpliwości. Pierwszy dotyczy kwestii, czy inne religie są nieprawdziwe. Na pytanie, czy muzułmanie,

taoisci są w błędzie, o. Szustak odpowiada, że „nie”. – Jeśli ktoś wierzy w Boga, to wierzy w Boga – mówi dominikanin. Problem polega na tym, że to odpowiedź, która ukrywa radykalne różnice, sprzeczność wielu podstawowych twierdzeń dogmatycznych katolicyzmu i każdej innej religii. Jest sprawą zasadniczą, czy zbawienie można odnaleźć tylko w wierze w Jezusa Chrystusa, który jest Drugą Osobą Trójcy Świętej, Bogiem, który stał się człowiekiem. Nawet jeśli uznamy, że w jakis znany tylko Bogu sposób innowiercy dostępują zbawienia, to wydaje się, że raczej pomimo błędów, w których tkwią. Te błędy mogą być niezawinione, ale nie stają się przez to prawdą. „Obowiązek oddawania Bogu prawdziwej czci odnosi się do człowieka w wymiarze indywidualnym i społecznym. Jest to tradycyjna nauka katolicka o moralnym obowiązku ludzi i społeczeństw wobec prawdziwej religii i jedynego Kościoła Chrystusowego” – czytamy w punkcie 2105 Katechizmu Kościoła katolickiego.

Jednak Adam Szustak kontruje, mówiąc: „Kto próbuje obrazić czy zdeprecjonować czyjąś wiarę, już nie jest wierzący”. Czy kaznodzieja świadomie popełnia tę nieścisłość, zestawiając kwestię prawdziwości lub nieprawdziwości jakichś treści religijnych z obrażaniem i deprecjonowaniem? Zresztą podajmy jakiś przykład abstrakcyjnego w naszym kontekście błędu religijnego, tak by nikt bezpośrednio nie poczuł się urażony. Czy gdy ktoś krytykuje doktrynę i praktykę prostytucji sakralnej znaną z różnych religii, to także „już nie jest wierzący”, ponieważ „deprecjonuje”?

„DUPA, NIE CHRZEŚCIJANIN”

Drugim przykładem jest powracający w wypowiedziach o. Szustaka pogląd o powszechnym zbawieniu wszystkich ludzi niezależnie od tego, czy wierzyli w Chrystusa i jak wyglądało ich życie moralne oraz oddanie Bogu.

Swego czasu o. Szustak był jednym z tych duchownych, którzy „kanonizowali” zaraz po śmierci zamordowanego prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. – Pan Jezus ma go w swoich rękach i zupełnie się o niego nie boję – mówił wtedy o. Szustak, uzasadniając w ten sposób opinię, że zmarły nie potrzebuje już modlitwy. Adamowicz zaś wprost popierał antychrześcijańską politykę ruchu homoseksualnego, który nie tylko jest wrogiem naturalnych instytucji społecz-

nych, lecz także stanowi jawny lobbying na rzecz uprzywilejowania stylu życia opartego na poważnych wykroczeniach moralnych, grzechu. W wypowiedziach o. Szustaka nadzieja powszechnego zbawienia zaciera się z przekonaniem, że każdy zmarły od razu po śmierci trafia w kochające ramiona Chrystusa. W Liście do Tymoteusza, gdzie czytamy, że Bóg „pragnie, by wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy”, nie ma jednak mowy, by pragnienie Boga np. znosiło decyzję człowieka o życiu w grzechu czy walce z nim.

Gdy Jan Paweł II w książce „Przekroczyć próg nadziei” pisze o pozagrobowym losie człowieka, nie zapomina dodać, że „potępienie wieczne jest z pewnością zapowiedziane w Ewangelii”. Tymczasem o. Szustak w jednym z filmików dodaje, że kto nie ma takiej wiary i nadziei w tej sprawie jak on, to „jest dupa, nie chrześcijanin”. Co w tym kontekście jest ważne zdanie z wywiadu, że „istnieje możliwość piekła”, skoro akcent wypowiedzi wydaje się taki, że ani wyznawana religia, ani sposób życia nie mają znaczenia w kwestii zbawienia?

Ojciec Szustak twierdzi, że mówienie do Boga – proszenie go, przepraszanie, odmawianie litanii – to nie jest modlitwa

Ojciec Szustak przypomina, że każdy może po śmierci odmówić Bogu, jednak nie wydaje się to dla kogokolwiek przekonujące dopóty, dopóki nie uświadomimy sobie, że na tę decyzję pracujemy całym swoim życiem, zmaganiem ze słabościami, udziałem w życiu sakramentalnym, zawierzeniem Opatrzności lub jej odrzuceniem, a nawet katolicką lub nie postawą w życiu społecznym i politycznym. Śmierć utrwała stan naszego ducha. Jeśli pomrzemy w grzechach, to musimy sobie zdawać sprawę z realnego ryzyka potępienia.

Ojciec Adam Szustak dość swobodnie zongluje prawdami wiary – piekło jest niepewne, choć zapowiada je ewangeliczna wizja Sądu Ostatecznego, a możliwość potępienia była brana zawsze poważnie w tradycji Kościoła. Przekonanie o zbawieniu „absolutnie” wszystkich okazuje się zaś warunkiem bycia dobrym chrześcijaninem. Opinie te wpisują się w głoszony przez o. Adama Szustaka

relatywizm religijny. Nie chodzi już o to, że przy okazji mówi wiele budujących rzeczy, ale o wydobywanie z jego słów doktryny będącej rusztowaniem wiary, którą podaje innym. Faktycznie, jeśli inne religie się nie mylą, to staje się jasne, że i kryteria zbawienia, które podaje chrześcijaństwo, nie są czymś do poważnego traktowania – ot, jedną z wielu sprzecznych tradycji. Wtedy religia w ogóle jest czymś, co nie ma związku z prawdą, i pozostaje kwestią całkowicie subiektywnego wyboru oraz uczucia i przeżycia.

TA OKROPNA POBOŻNOŚĆ

Tę niechęć do historycznego konkretnego wiary widać, gdy o. Szustak krytykuje pobożność. Zarzeka się wprawdzie, że nie ma niczego złego w pobożności, ale równocześnie dodaje, iż mówienie do Boga – proszenie go, przepraszanie, odmawianie litanii czy nabożeństw, zapewne też i Różańca – to nie jest modlitwa. Czyli to, co Kościół od początku – poczynając od śpiewu psalmów w Liturgii Godzin, która jest podstawą zakonnej modlitwy uwielbienia – uważał za modlitwę, według o. Szustaka nią nie jest. Za to

prawdziwą modlitwą ma być prywatna i ekskluzywna koncepcja pobożności w opinii zmarłego mistyka dominikana, o. Joachima Badeniego. W tej indywidualistycznej koncepcji – jak referuje ją o. Szustak – do Boga się nie mówi, tylko staje się wobec Jego Imienia. Można by się zastanowić, dlaczego przeciwstawia różnorodność tych sposobów. Być może odpowiedź znajduje się w jednym z cytatów z wywiadu. Ojciec Szustak mówi o Bogu ze swojej modlitwy: „On gdzieś jakiś jest. Ja nie wiem, kim on jest. Nie mam błędnego pojęcia, kim on jest”. Bóg, w którego wierzy Kościół, jednak chciał, byśmy wiedzieli, kim jest, i to tak bardzo, że dał ludziom swojego Syna i Ducha poczynającego przez wieki o prawdzie oraz grzechu, jak mówi Pismo. Jest konkretny, stoi za nim Objawienie. Jest Bogiem zazdrośnym i wymagającym, Bogiem, który jest miłosierny, ale i sprawiedliwy. Modlitwa o. Badeniego może być darem dla mistyka, ale dla innych – niechętnie

nastawionych do pobożności jako czegoś gorszego – może być ucieczką od religii głoszącej prawdę i stawiającej wymagania, ucieczką w religijny coaching.

Czy te – niepełne – zarzuty można podważyć? Oczywiście, nawet ucieszyłbym się, gdyby o. Adam Szustak to zrobił i zaprzeczył, że nie taka jest jego wiara. Jest to jednak sprawa drugorzędna. Pierwszorzędna jest taka, że właśnie w zarysowany wyżej sposób można odbierać nauki o. Szustaka, jako uczące niechęci i resentymentu do wypracowanych przez wieki form pobożności, w tym modlitwy.

RELIGIE WYGODY

Ojciec Szustak lubi bez konkretów mówić, że w Kościele w Polsce jest problem. Kiedy oglądałem jeden z filmów, w którym pozytywnie odniósł się do tzw. Strajku Kobiet i zadeklarował, że „nienawidzi tego Kościoła”, odniosłem wrażenie, że on sam nie wie, czym jest to ewangeliczne kryterium postępowania, które odmienia przez wszystkie przypadki. A przecież tradycja katolicka, która wydaje się dla dominikanina balastem, objaśnia je nieustannie.

Ojciec Adam Szustak twierdzi, że w Kościele jest jeszcze wiele pogaństwa, choćby dlatego, że używa się w modlitwach wzniesłego, hieratycznego języka. Znacznie bardziej pogańskie jest jednak przekształcanie chrześcijaństwa na religię wygody dla liberalnego słuchacza, który nie chce słyszeć ani o niebezpieczeństwach duchowych, ani nie chce poważnie dyskutować o prawdzie, ani nie chce wiedzieć, że są granice postępowania, których nie można przekraczać dla swojego dobra. Taki słuchacz nie chce wiedzieć, że Kościół ma konkretną naukę społeczną, której katolik, a tym bardziej kapłan nie może ignorować.

Religie wygody już były – przed chrześcijaństwem. Religia Rzymian zapewniała wiele przyjemności, obce jej były spory o doktrynę, los wszystkich zmarłych także był jednakowy niezależnie od tego, czy i jak kto wierzył. Wystarczyło opowiadać piękne historie o bogach, które ludzie chcieli usłyszeć. Święty Augustyn nazwał to teologią bajeczną. Wydaje się, że o. Szustak także zmierza w kierunku chrześcijańskopodobnego bajkopisarstwa, w którym największą przeszkodą do stanu religijnego zadowolenia jest nie dość „fajny” Kościół. Dzisiaj tego wielu ludzi chce słuchać, to się, widać, klika. Czy jednak takiego Adama Szustaka potrzebuje Kościół?



Kamila Baranowska

Prezes Jarosław Kaczyński od miesięcy nie udzielił tyłu wywiadów co w ostatnim tygodniu. Tak PiS rozpoczyna ofensywę także wśród swoich wyborców

Taka ofensywa jest w polityce potrzebna bardziej, niż się na pierwszy rzut oka wydaje, bo twardy wyborca nie oznacza wyborcy zawsze głosującego. Nawet najbardziej zdeklarowany może stać się wyborcą zniechęconym, rozczarowanym, zniesmaczonym, coraz mniej przekonanym do nowych pomysłów. Może stracić zapał do popierania partii, na którą zawsze głosował. A to sytuacja dla partii politycznej bardzo niebezpieczna. Analitycy PiS wiedzą już od dawna, że kluczem do sukcesu w wyborach jest i będzie przede wszystkim mobilizacja własnego elektoratu. To ważniejsze niż pozyskiwanie nowego, walka o centrum czy przekonywanie młodych.

Dlatego nie dziwi fakt, że przygotowując się do nowej ofensywy programowej, PiS zaplanował także zwiększoną aktywność Jarosława Kaczyńskiego. Prezes nie tylko przemawiał podczas konwencji, na której prezentowany był Polski Ład, lecz także udzielił niemal w jednym czasie aż trzech wywiadów, czego nie robił od wielu miesięcy. Wielu komentatorów ocenia, że to, jak zachowują się politycy PiS w związku z ofensywą programową, która ma być odskocznią od trudnego, także politycznego, czasu pandemii, przypomina okres kampanii wyborczej. Jest nacisk na to, by znów stać się jedną drużyną, wyciszyć przynajmniej na jakiś czas spory z koalicjantami, spotykać się z Polakami i przekonywać ich do tego, że PiS się wcale rządzeniem nie zużył.

– Rzeczywiście, plan jest taki, by promowanie Polskiego Ładu było prowadzone z taką intensywnością jak kampania wyborcza. Aby ludzie zobaczyli, że chcemy się gryźć trawę i że nawet jeśli się potykamy czasem o własne nogi, to jednak mamy konkretne pomysły i obiecujemy je zrealizować, tak jak poprzednie. Znowu chcemy zawrzeć pakt z Polakami,



Medialne tournée

tak jak w 2015 r. – wylicza jeden z naszych rozmówców z PiS.

O ile jeszcze przed 2015 r. dość popularne były komentatorskie teorie o tym, że duża aktywność prezesa PiS i jego obecność medialna szkodzą partii i obniżają szanse wyborcze, co przekładało się na pomysły „chowania prezesa” na czas kampanii wyborczych, o tyle dziś w PiS dominuje przekonanie, że prezes i jego medialna aktywność pomagają budować poparcie, bo nikt bardziej nie trafia do najtwardszego elektoratu. W kolejnych po 2015 r. kampaniach umiejętnie więc wytyczano trasę i miejsca, które odwiedzał prezes Kaczyński, najczęściej były to powiaty i regiony, gdzie PiS cieszył się dużą popularnością. – Chodziło o utwierdzenie naszych w przekonaniu, że warto na nas głosować, że trzeba iść na wybory, że nie wolno spocząć na laurach. A nikt tam lepiej nie mobilizuje naszych wyborców niż prezes – opowiadał nam podczas jednej z kampanii sztabowiec PiS.

CEL: WYRÓWNIANIE SZANS

Teraz Jarosław Kaczyński przystąpił do medialnej ofensywy z jasno wytyczonym celem przekonania wyborców PiS, że Polski Ład jest korzystny nie tylko dla Polski,

lecz także dla nich osobiście w bardzo konkretnym wymiarze. Oraz że tylko PiS jest gwarantem polepszenia ich sytuacji życiowej. Najbardziejziej wybrzmiało to chyba w jego wywiadzie dla tygodnika „Sieci”.

– Nie ukrywamy, że prowadzona przez naszą formację polityka dąży do wyrównania relacji społecznych zachwianych nadmiernym liberalizowaniem – w złym tego słowa znaczeniu – gospodarki i życia społecznego po 1989 r., z krótką przerwą w latach 2005–2007. Ale tu chodzi także o możliwie najlepsze wykorzystanie wielkiej szansy, która stoi przed Polską – mówi prezes PiS.

A w wywiadzie dla Interii tłumaczy z kolei, że większość na zmianach skorzysta, a to właśnie większość dla każdej partii rządzącej powinna być punktem odniesienia. – Na zmianach skorzysta – jak szacujemy – ponad 18 mln podatników, zwłaszcza te dolne piętra polskiej drabiny zarobkowej. One będą korzystne lub neutralne dla 90 proc. Polaków. Staramy się tę część społeczeństwa, której jest gorzej, wesprzeć. I nie chodzi o to, że to wspieranie tych, którym się nie chce pracować. Opowieści, że wystarczyło chcieć i ot, tak, na pstryknięcie palcami, się udawało, to bujdy na resorach. Owszem, wielu się



FOT. ZBISZEK KACZYŃSKI/AGENCJA POLSKA FORUM

zmiany – zapowiada w tygodniku „Sieci”. A zapytany przez Interię o wcześniejsze wybory odpowiada: – Żadnego takiego planu nie ma. Polski Ład ma być programem realizowanym, wdrażanym.

Dla niektórych zaskoczeniem mogą być deklaracje lidera PiS na temat tego, w jakiej konstelacji widzi listy wyborcze w 2023 r. Dość powszechna stała się opinia, że Zjednoczona Prawica nie przetrwa do wyborów, a partie Ziobry i Gowina będą zmuszone do samodzielnego startu. I że to przekonanie, które zmusza koalicjantów, by za wszelką cenę odróżniali się od PiS, jest jedną z głównych przyczyn wewnętrznych napięć. Tymczasem prezes PiS mówi jasno, że pragmatyzm polityczny wskazywałby na wspólny start i on sam za takim właśnie rozwiązaniem optuje. – Chciałbym mieć pewność, że PiS samodzielnie wygra wybory w roku 2023, ale niestety obawiam się, że będzie podobnie jak w 2019 r.: wygrywamy, ale trochę. Z tego punktu widzenia eliminacja koalicjantów jest bez sensu. Jeżeli nawet jakimś cudem zdobyliby 5 proc., to ich uzysk mandatowy będzie minimalny, a w ramach naszej koalicji przełoży się to na 25–30 mandatów. I oni to rozumieją – mówi w rozmowie z „Sieci”.

PRAWICA JEDNAK ZJEDNOCZONA

W rozmowie z Interią idzie nawet dalej i pomysł osobnego startu nazywa „nieracjonalnym” z punktu widzenia koalicjantów. – W naszej liście 1 proc. poparcia przelicza się na pięć–sześć mandatów. Przy małym poparciu 1 proc. poparcia przelicza się na jeden–dwa mandaty. Krótko mówiąc, to pytanie o strzelanie sobie w kolano: ale jeśli ktoś chce strzelać sobie w kolano, to co ja mogę poradzić? – mówi. A dopytywany o to, czy koalicjanci mogą liczyć na dobre miejsca na listach, odpowiada: – To nie jest tylko kwestia miejsca na liście. Oni dostali ostatnio umiarkowanie dobre miejsca, ale byli w stanie skoncentrować się na jednym kandydacie w okręgu. I tam wysłać środki. Dziś te środki, jak sądzę, byłyby nie mniejsze. Ale liczę, że Jarosław Gowin będzie w 2023 r. przy naszym boku. Podobnie zresztą jak drugi koalicjant.

Kaczyński dodaje też, że nawet będąc zmuszonym dziś do znoszenia rozmaitych napięć wewnątrz koalicji, nigdy nie żałował, że w 2015 r. dał Ziobrze drugą polityczną szansę. Z powodów pragmatycznych. – Celem każdej partii politycznej jest rządzenie. Nie miałem żadnych

wątpliwości, że mimo naszych słabości, braków i deficytów nasze rządy będą dobre dla Polski. Dlatego z patriotycznego punktu widzenia chcieliśmy władzę zdobyć. Wiedzieliśmy, że nie uzyskamy znaczącej przewagi, zatem porozumienie ze Zbigniewem Ziobrą i z Jarosławem Gowinem z naszego punktu widzenia było celne. A i tak w 2015 r. wygraliśmy dzięki Bożej pomocy. Politolodzy ustalali dolną granicę uzyskania samodzielnej większości na 38 proc. poparcia. A myśmy zdobyli troszkę ponad 37 proc. – tłumaczy w rozmowie z „Wprost”.

KTO PO PREZESIE?

Prezes PiS w ostatnich wywiadach daje też po raz kolejny dość wyraźnie do zrozumienia, jak ważną postacią w jego politycznym planie jest premier Mateusz Morawiecki. I choć między wierszami wypowiedzi prezesa można wyczytać, że w partii wciąż są osoby, które nie widzą go w roli nowego lidera PiS, to i tak jest lepiej, niż było na początku, a Morawiecki powoli buduje zaufanie polityków PiS. Gdy dziennikarze Interii pytają prezesa PiS, czy z premierem nie jest trochę jak w tym dowcipie, w którym Amerykanin próbował kamuflażu w Rosji, wykuł tamtejszą literaturę, język i zwyczaje, ale zdradził go kolor skóry, Kaczyński odpowiada, że może kiedyś tak było, ale teraz już nie. – Ale to spotyka każdego nowego w polityce, który od razu ląduje wysoko. To normalne w życiu. Nawet nie wiem, czy w tej chwili, w której rozmawiamy, Mateusz nie siedzi z działaczami PiS, komitetem doradczym, który dziś obraduje – podkreśla. Ciekawe, że w kilku wywiadach otwarcie mówi o tym, że jego czas w polityce dobiega końca, a także o tym, że do pewnego momentu był ciągle namawiany przez swoje otoczenie, by stanął na czele rządu, ale już nie jest, bo „immunizuje go w tym względzie wiek”. – Namawianie mnie, żebym został premierem, po prostu się skończyło. Premierem jest Mateusz Morawiecki – podkreśla. A sam snuje plany na czas, gdy przestanie szefować partii. – Mam ogromne plany czytelnicze na ten czas: czy Bóg pozwoli, to nie wiem, ale naprawdę myślę o tym z przyjemnością. Chciałem podać się do dymisji i nie kandydować już rok temu. Był to świetny moment. Ale przyszedł COVID – mówi prezes, potwierdzając tym samym pojawiające się co rusz informacje, że coraz poważniej myśli o odsunięciu się w polityczny cień. © Wszelkie prawa zastrzeżone

udało. Ale niemałej części nie – tłumaczy prezes PiS. Precyzuje też, że Polski Ład to nie tylko wielkie inwestycje, lecz także bardzo konkretne i przyziemne sprawy. – Jest szansa, by w ramach Polskiego Ładu w naszym kraju powstało dużo wielkich inwestycji, ale pamiętamy i stawiamy też na te mniejsze, za rogiem: oświetlenie na wsi, gazyfikacja, kanalizacja, chodniki, zabezpieczenie dróg. Chcemy, by poziom jakości życia na polskiej prowincji, w małych miasteczkach, zbliżył się do poziomu miast – mówi Kaczyński. Oczywiście jest, że słowa te kieruje do tych, wśród których PiS zawsze osiąga najlepsze rezultaty wyborcze: mieszkańców mniejszych miast, powiatów, gmin.

WYBORY W TERMINIE?

Jednocześnie prezes PiS odcina się od tego, by Polski Ład i to wszystko, co się wokół tego planu dzieje, traktować jako element kampanii wyborczej i zapowiedź wcześniejszych wyborów. Mówi, że to „program rządzenia”, a nie kampanii. – Będziemy się jednak oczywiście do niego w kampanii wyborczej odwoływać, o ile oczywiście zrealizujemy go w odpowiednio wysokim stopniu. Ludzie muszą zobaczyć, że to są fakty, konkretne

DZIĘKI LEWICY TWÓJ SZPITAL DOSTANIE PIENIĄDZE Z UNII EUROPEJSKIEJ!

Konferencja prasowa Lewicy
na temat unijnych pieniędzy
z Funduszu Odbudowy

FOT. PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS

**650
 MLN EURO
 NA SZPITALE
 POWIATOWE**

Lewo-PiS?



Rafał A. Ziemkiewicz

**Porozumienie PiS i Lewicy
 w sprawie Funduszu Odbudowy
 powitane zostało na prawo
 od partii Jarosława Kaczyńskiego
 w tonie: „A nie mówiliśmy?”**

Porozumienie Lewicy z PiS co do ratyfikacji umowy o „zwiększeniu zasobów własnych UE” oraz Funduszu Odbudowy potrząsnęło polską sceną polityczną, znieruchomiła od lat w okopach wojny pozycyjnej między PO a PiS. Najbardziej rzuciła się w oczy wściekłość, z jaką zaatakowana została w obozie wrogów obecnej władzy Lewica – pełne furii zachowania polityków PO i jej kibiców, takich jak Tomasz Lis, Roman Giertych czy Andrzej Morozowski. Trudno się dziwić, że zdarzenia takie jak bezceremonialne strofowanie przez tego ostatniego lewicowej posłanki na antenie

TVN24 czy podobna reprimenda udzielana w radiu TOK FM Jackowi Żakowskiemu przez jego stałych gości były wielokrotnie i z dużą dozą „schadenfreude” komentowane, ale emocje z tym związane przykryły inne reakcje, te na prawo od PiS.

Na prawo od PiS wspomniane porozumienie powitane zostało w tonie: „A nie mówiliśmy?”. Ponieważ w istocie zgoda PiS na wspólny europejski dług, europejskie podatki oraz „kontrolę praworządności” jest kapitulacją w duchu od zawsze postulowanym przez obóz lewicowo-liberalny, o czym zresztą politycy Lewicy otwarcie mówią, a w kwestiach „wrażliwości socjalnej” zbieżności między lewicą a partią rządzącą są oczywiste, narodziła się narracja o strategicznym sojuszu „obu lewic” i błędności potocznego stereotypu, obsadzającego PiS i SLD w roli nieprzejeźdźnych wrogów. W narracji tej porozumienie, w którym Czarzasty, mówiąc potocznie, wystawił do wiatru Borysa Budkę i Władysława Kosiniaka-Kamysza z ich pomysłem „rządu technicznego”, jest nie tylko taktycznym manewrem, zmieniającym „kolejność dziobania” w opozycji, lecz

także początkiem procesu konwergencji i zapowiedzią przyszłej koalicji rządowej.

KTO Z KIM

Głośno i dobitnie konstatują to politycy Konfederacji, których poglądy wciąż niechętnie uwzględniane są w tradycyjnych mediach, ale mocno rezonują w Internecie. Półgębkiem i nieoficjalnie to samo powtarza się w okolicach Solidarnej Polski, dla której taki hipotetyczny sojusz byłby zagrożeniem śmiertelnym, a która od pewnego czasu stoi na pozycji „prawdziwego PiS-u”, nie formułując ze względów taktycznych wprost oskarżenia o zdradę prawicowych wyborców, ale podkreślając, że Zjednoczona Prawica robi dziś zupełnie co innego, niż im obiecała.

Nie bez związku z tym muszą być oskarżenia, które w minionym tygodniu pojawiły się w mediach Tomasza Sakiewicza i braci Karnowskich – bar-dzo skwapliwie podchwycyło tam twierdzenia Tomasza Lisa i Dominiki Długosz z „Newsweeka”, jakoby pomysł antypisowskiego „rządu technicznego”, za którym w pogoni PO zapędziła się w niezrozumiały dla swych wyborców

sprzeciw wobec ratyfikacji unijnego planu, był już „dogadany” z Konfederacją, która po cichu zgodziła się go poprzeć, a nawet w takim rządzie uczestniczyć.

Mamy więc dość ciekawą sytuację: zwolennicy PiS oskarżają Konfederację o porozumienie się przeciwko PiS z Platformą Obywatelską oraz PSL, czemu i Konfederaci, i PO z PSL stanowczo zaprzeczają, oni z kolei oskarżają PiS o porozumienie z Lewicą, czemu stanowczo zaprzeczają działacze PiS, a z kolei PO i PSL oskarżają o tajne porozumienie z PiS Lewicę, która również temu zaprzecza. Trudno nie powtórzyć sławnego powiedzonka księcia Gorczakowa: „Nie wierzę niezdementowanym wiadomościom”.

PARTYJNA PRAGMATYKA

Spróbujmy się jednak zastanowić, czy w podejrzeniu, że PiS i Lewica „dogadują” między sobą koalicję, być może na wypadek rozpadu koalicji z Porozumieniem Gowina, a być może na „po następnych wyborach”, może być ziarno prawdy?

Na pierwszy rzut oka Lewica zbyt długo była wasalem PO, która całą swoją politykę oparła na nienawiści wobec rządzących i oskarżaniu ich o wszelkie wyobrażalne oraz niewyobrażalne zło, żeby mogła się zdystansować od retoryki „totalnej opozycji”. Jej wyborcy zostali wytresowani przez opozycyjne media w tym samym co wyborcy PO czy Hołowni wzmożeniu „obrony praworządności” i walki z „wyprowadzaniem Polski z Europy pod skrzydła Putina”. Dlatego Włodzimierz Czarzasty, mimo taktycznego porozumienia z PiS w konkretnej sprawie, przy każdej możliwej okazji podkreśla, że jest tej formacji nie mniej wrogi niż cała reszta obozu lewicowo-liberalnego, i sypie bon motami w rodzaju: „Gdyby Lewica miała wejść do rządu PiS, to tylko w celu dokonania tam aresztowań”. Ale retoryka retoryką, a fakty są takie, że temperatura emocji i głębia resentymentów na linii PiS–Lewica jest znacznie mniejsza niż na linii PiS–PO. Nigdy nie oskarżano w PiS lewicy o współudział w „zamachu w Smoleńsku”, nie winiono jej za związane z katastrofą zaniedbania, trudno też byłoby przypisać jej odpowiedzialność za patologię rządów Tuska. A i lewicowe ataki na PiS, zwłaszcza w wykonaniu starszych, SLD-owskich działaczy, bardziej przypominały odprawianie rytuału niż szczerą pasję.

Bez trudu można sobie wyobrazić narrację w rodzaju: zamiast trwać w jałowym sprzeciwie, wchodzimy w koalicję z PiS, z którym się w wielu sprawach nie zgadzamy, aby go cywilizować i działać na rzecz nadrzędnego, wspólnego dobra. Zostało to już przećwiczone przez Lewicę na okoliczność Funduszu Odbudowy i wbrew nadziejom PO oraz „tefałenów” nie spowodowało jej sondażowych spadków. A ewentualną krytykę liberalnej części opozycji można będzie teraz gasić przypomnieniem, że to przecież PO ze wsparciem Agory, ITI i RASP pierwsza wyszła z pomysłem godzenia sprzeczności, próbując dla „obrony demokracji” zbudować rząd z Zandbergiem, Braunem i Korwin-Mikkem.

Trudno nie zauważyć, że ogłoszony tydzień po PiS-owskim Polskim Ładzie lewicowy program „Recepta dla Polski” jest z tym pierwszym prawie całkowicie kompatybilny – bo za poważne różnice trudno uważać, że gdy PiS obiecuje dać na służbę zdrowia 7 proc. PKB, Lewica podbija to do 7,2 proc. czy też dodaje do listy priorytetów „klimat”. Ważne jest to, że zarówno PiS, jak i Lewica stawiają nie na rozwój kraju, tylko na podniesienie poziomu życia wyborców, i zamierzają to osiągnąć w ten sam sposób: przez większy zakres redystrybucji i wydatków państwa. Czy nazywamy to socjalizmem i uzasadniamy marksizmem, czy też solidaryzmem i odwołujemy się do społecznej nauki Kościoła, nie czyni wielkiej różnicy.

Wszyscy wiemy oczywiście, że to nie kwestie programowe decydują, ale partyjna pragmatyka. Tutaj możliwe są dwa warianty. Pierwszy to oparcie politycznego sporu na kwestiach światopoglądowych, aborcji, LGBT etc. Drugi – sygnalizowane już wyżej przejście nad tymi kwestiami do porządku dziennego, w imię budowy państwa socjalnego.

W pierwszym wariantcie PiS zostaje skazany na Konfederację i PSL. Konfederacji sondaże dają pewne, choć niezbyt liczne wejście do przyszłego Sejmu, PSL – nie, a nie wiadomo, czy postulowane połączenie z Gowinem pozwoliłoby powtórzyć sukces z 2019 r., jakim było dołożenie do topniejącego elektoratu PSL 100 tys. głosów Kukiza. Zresztą PSL pokazało w ostatnich latach, że jego aparat zbyt zrośnięty jest wspólnotą interesów z PO, by ważył się na odwrócenie sojuszy. A współpracy z Konfederacją nie chce ani Jarosław Kaczyński, mający

swoje żoliborskie antyendeckie fobie i resentymenty wobec Korwin-Mikkego, ani sama Konfederacja, nastawiająca się raczej na „długi marsz”.

A może się okazać, że jakiś koalicjant dla zachowania władzy będzie jednak niezbędny.

Z punktu widzenia Lewicy zaś trzymanie się PO – co oznaczałoby podział wzdłuż sporu obyczajowego – to nieuchronna „lubnaueryzacja”, zwłaszcza odkąd PO wybrała ostry kurs na lewo, obliczony na wypchnięcie Lewicy z jej wyborczej niszy. Nawet jeśli obóz lewicowo-liberalny dojdzie w końcu do władzy, to owoce tego zbioru PO i być może Hołownia, czyli też ludzie PO, a lewicowcy dostaną ochłapy. Układ z PiS może być bardziej opłacalny.

TĘCZOWY OBCIACH

Jest jeszcze jeden czynnik tej układanki: narastające zniechęcenie „starej”, postkomunistycznej lewicy tęczowo-genderową młodzieżą. Kiedy Marek Dyduch powiedział otwarcie w jednym z wywiadów, że gdyby SLD odciął się od wariactw LGBT i feministek robiących awantury o „osoby z macicą” i „k...fobie” (bo tak trzeba przełożyć „whorephoby”), miałby nie kilka, a dwadzieścia kilka procent poparcia, można być pewnym, że dał wyraz opinii całego aparatu.

Gdyby SLD rzeczywiście rozszedł się z „nową lewicą”, która zamiast, jak sądzili postkomuniści, „przyprowadzić mu młodzież” i zapewnić dobrą prasę, zwyczajnie narobiła „obciachu”, związek z samym postkomunistycznym komponentem lewicy byłby dla PiS łatwiejszy. W końcu nie przypadkiem forował Kaczyński Stanisława Piotrowicza czy inne osoby o podobnych korzeniach, ale właśnie po to, by pokazać, że także postkomunista, jeśli tylko się nawróci, może znaleźć wygodne miejsce w „dobrej zmianie”.

Może to na razie rozważania czysto teoretyczne, ale jakoś żaden polityk Lewicy nie pospieszył wraz z Trzaskowskim i Hołownią, by dziękować TSUE za wyrok i wzywać do zamknięcia Turowa – a media PiS nie atakują ich z taką pasją jak PO, Hołowni i Konfederacji. Może to za mało, by wróżyć przyszły alians, ale trudno nie odnieść wrażenia, że zaistniała już jakaś niewypowiedziana świadomość, iż być może kiedyś przyjdzie działać razem i nie ma co palić mostów.

RYSZARD GROMADZKI: Spór z Czechami wokół kopalni Turów z decyzją Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w tle, nakazującą natychmiastowe zamknięcie kopalni, to preludium tego, co może czekać Polskę w związku z wdrażaniem przez Unię „zielonego ładu”?

ADAM BIELAN: Myślę, że decyzja TSUE ma dwa wymiary. Z jednej strony jest to oczywiście spór z Czechami, z którymi będziemy szukać kompromisu. Trudno jest mi powiedzieć, jak przebiegały rozmowy Polskiej Grupy Energetycznej (właściciela kopalni Turów) i czy spółka prawidłowo oceniła ryzyko związane z postępowaniem prowadzonym przed TSUE.

Jak wiemy, w rozwiązanie sporu włączył się premier Morawiecki i wierzę, że uda się do tego doprowadzić. Chociaż niewątpliwie pewnym problemem są emocje po obydwu stronach granicy oraz fakt, że w Czechach toczy się bardzo ostra kampania wyborcza, w której urzędujący premier Babiš „walczy o życie”.

Wiemy, że to polityk, który w przeszłości czasami używał „karty polskiej” ze względu na swoje zaangażowanie biznesowe. Będąc właścicielem dużego koncernu rolno-spożywczego, Babiš obawiał się konkurencji ze strony dobrej jakości polskiej żywności. Niekiedy przekraczał granice dobrego smaku i nas atakował. Wierzę, że ten spór uda się w najbliższym czasie załagodzić.

Drugim wymiarem tej sprawy jest postawa TSUE, która jest przykładem jakiegoś radykalnego aktywizmu sędziowskiego. Jedna sędzia bez merytorycznego zbadania sprawy podjęła decyzję, która w skrajnym przypadku mogłaby skutkować pozbawianiem energii elektrycznej obszaru zamieszkanego przez 4 mln polskich obywateli. Widać wyraźnie, że TSUE niezależnie od traktatów, a często wbrew traktatom, zwiększa swoje kompetencje i tym samym wpływ na państwa członkowskie również w dziedzinach, w których traktaty na to nie pozwalają.

Wobec ignorowania traktatów przez Trybunał w Luksemburgu mamy jakiegokolwiek gwarancje, że w przyszłości podobnie skrajne działania nie będą podejmowane wobec Polski przez TSUE lub inne instytucje Unii Europejskiej?

Niestety, rozmaite instytucje Unii – Trybunał, Parlament Europejski – od lat próbują, czasem im się to udaje, zawłaszczając kompetencje mimo tego, że żaden nowy traktat nie był ratyfikowany od czasu ratyfikacji traktatu lizbońskiego.



Z Adamem Bieleń, eurodeputowanym Prawa i Sprawiedliwości rozmawia Ryszard Gromadzki



Wnioski z amerykańskiego resetu

FOT. ALEXIS HAUTOT

go. Robią to pozatraktatowo. Wierzę w rozsądek państw członkowskich, tego rodzaju działania tylko zwiększą niechęć do instytucji unijnych. Takie postępowanie wobec Wielkiej Brytanii doprowadziło w pewnym momencie do brexitu.

Mam nadzieję, że środowiska, które mają wpływ na te instytucje, zdadzą sobie sprawę, że takie decyzje mogą doprowadzić do wzrostu nastrojów eurosceptycznych czy wręcz antyunijnych i zostaną one wyhamowane.

Czy rezygnacja przez administrację prezydenta Joe Bidena z sankcji wobec Nord Stream 2 oznacza

zgodę Amerykanów na rosyjsko-niemiecki duopol energetyczny w Europie?

No cóż, prezydent Biden w relacjach z Rosją kroczy niestety drogą Baracka Obamy. Nie nazywa tego resetem, ale wszystko, co robi w pierwszych miesiącach po przejęciu władzy, wygląda właśnie jak reset. Jeśli coś wygląda jak reset, to nawet jeśli nie nazywa się resetem, po prostu tym resetem jest.

Jak wiadomo, Biden pełnił funkcję wiceprezydenta w administracji Obamy, a obecny sekretarz stanu Blinken był również wysoko postawionym urzędnikiem w tej administracji. Oni powinni

się nauczyć na błędach Baracka Obamy. Wiemy, że polityka ocieplenia relacji z Rosją, którą Obama zainicjował na początku swojej pierwszej kadencji, skończyła się decyzją o zwiększonej obecności wojsk amerykańskich na tzw. wschodniej flance NATO, podjętej na szczycie sojuszu, który odbył się pod koniec jego drugiej kadencji. Historia USA pokazuje, że resety w kluczowych kwestiach podejmowało wielu amerykańskich prezydentów w pierwszej fazie swoich rządów. Politykiem, który do takiego resetu nie dążył, był jednak Donald Trump, mimo to był oskarżany o sprzyjanie Rosjanom. Przypomnijmy, że Donald Trump spotkał się z Władimirem Putinem tylko raz – w Helsinkach w 2018 r. Biden spotka się z Putinem zaledwie po kilku miesiącach swojego urzędowania. Tym, co nas interesuje najbardziej, jest postawa Stanów Zjednoczonych w sprawie Nord Stream 2. W tej kwestii Bidenowi wystarczyło kontynuować dobre działania administracji Trumpa, czyli blokować ten projekt poprzez utrzymanie, a być może zwiększenie sankcji wobec Nord Stream 2, do czego wzywały Białe Domy obydwie izby amerykańskiego Kongresu. Decyzje Kongresu w tej sprawie były podejmowane ponadpartyjnie. Zwiększenie sankcji wobec Nord Stream 2 miało olbrzymie poparcie zarówno wśród republikanów, jak i demokratów. Mimo to prezydent Biden podjął decyzję, która obniża wiarygodność Stanów Zjednoczonych w naszym regionie Europy i daje Putinowi prawo sądzić, że jest de facto bezkarny.

Decyzja Białego Domu zapadła po kolejnej próbie zamordowania lidera rosyjskiej opozycji Aleksieja Nawalnego. I to próbie podjętej na oczach całego świata. Jeśli to nie podziślało otrzeźwiająco na prezydenta Bidena, to trudno powiedzieć, co musiałoby się stać, żeby zmienił swój stosunek do Rosji. Co musiałoby się stać, żeby prezydent USA zrozumiał, że Rosjanie dążą do jakiegokolwiek kompromisu uznają za przejaw słabości i nasilają swoje agresywne działania. Mamy więc na Zachodzie dwoje polityków, którzy mają usta pełne frazesów o konieczności budowania wspólnego frontu wobec Rosji i walki o wartości: prezydenta Bidena i kanclerz Merkel, ale to właśnie ci politycy jednocześnie przysługują czy na budowę najważniejszego projektu geopolitycznego, jakim jest dla Putina bezpośrednie połączenie gazowe z Niemcami, które w optyce Kremla pomoże im zwasalizować Europę Wschodnią. Mam

nadzieję, że do tego nie dojdzie. Polska – dzięki działaniom rządu Zjednoczonej Prawicy – będzie w przyszłym roku, kiedy skończy się bardzo niekorzystny dla nas kontrakt jamalski, całkowicie niezależna od dostaw gazu rosyjskiego.

Kurs obrany przez administrację Bidena w sprawie Nord Stream 2 oznacza, że tracimy amerykańskiego sojusznika?

Z całą pewnością w czasie rządów Donalda Trumpa Polska znajdowała szczególne miejsce w planach amerykańskich. Znalazło to wyraz w zwiększeniu amerykańskiego kontyngentu wojskowego w naszym kraju, wielkich inwestycjach amerykańskich, a także w spektakularnym wsparciu idei Trójmorza. Stąd polski rząd starał się jak najlepiej tę kadencję wykorzystać. Stawia nam się zarzut, że postawiliśmy wszystko na jedną kartę, ale to nieprawda. Zdawaliśmy sobie sprawę, że Trump może nie uzyskać reelekcji, a jego następcą będzie dla Polski mniej korzystny.

Niestety, okazuje się, przynajmniej na razie, że mieliśmy rację. Polsko-amerykańskie stosunki nie są symetryczne. USA są potęgą światową, Polska potrzebuje dobrych relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Niemniej w kwestiach tak strategicznych jak choćby współpraca w dziedzinie energii jądrowej musimy wyciągać wnioski z tego, co robią Amerykanie. Mamy na stole również bardzo dobrą propozycję francuską, za którą mogłby pójść również w Brukseli sojusz dotyczący możliwości podtrzymania inwestycji w energetykę jądrową, czego nie chcą Niemcy i dość duża grupa wspierających je krajów. Na pewno po decyzji Amerykanów w sprawie Nord Stream 2 powinniśmy przychylniej spojrzeć na propozycję francuską.

Na rozstrzygnięcia w tak strategicznym obszarze, jakim jest suwerenność energetyczna Polski, kluczowy wpływ będzie miał kształt krajowej sceny politycznej. Były poseł Porozumienia Wojciech Maksymowicz twierdzi, że 20 parlamentarzystów jest gotowych opuścić obóz rządzący. Oznaczałoby to utratę sejmowej większości przez Zjednoczoną Prawicę. Prognoza Maksymowicza ma jakieś podstawy?

Absolutnie nie. Mogę powiedzieć, że Wojciech Maksymowicz od samego początku kadencji Sejmu był emocjonalnie nastawiony skrajnie negatywnie do naszego partnera koalicyjnego, czyli do Prawa i Sprawiedliwości. Każdy, kto śledzi karierę polityczną Maksymowicza, wie, że był to polityk niechętny PiS, a w rze-

czywistości także Zjednoczonej Prawicy. Przypomnę, że w 2015 r. startował on do Senatu z list PSL przeciwko Zjednoczonej Prawicy, zresztą z bardzo mizernym skutkiem. W wyborach 2019 r. wszedł do Sejmu tylko dlatego, że decyzją Jarosława Kaczyńskiego otrzymał pierwsze miejsce poza parytetem na liście Zjednoczonej Prawicy. A teraz zachował się tak, jak się zachował. Moim zdaniem grupa posłów, która mogłaby opuścić nasz klub parlamentarny po odejściu Maksymowicza, jest bardzo nieliczna, można by ich policzyć na palcach jednej ręki, a biorąc pod uwagę fakt, że wielu posłów opozycji toczy z nami rozmowy w sprawie dołączenia do większości rządowej, a czasem nawet do klubu parlamentarnego, jestem przekonany, że utrzymamy większość.

Zapowiadał pan ostatnio powołanie nowej formacji politycznej. Czy to oznacza, że zrezygnował pan z walki z Jarosławem Gowinem o przywództwo w Porozumieniu?

Absolutnie nie. Nawet sąd pierwszej instancji, który z powodów formalnych nie zajął się merytorycznie naszym wnioskiem, stwierdził wyraźnie, że Jarosławowi Gowinowi trzy lata temu minęła kadencja. Uzupełnimy nasz wniosek i zrobimy wszystko, żeby w końcu sąd rozpatrzył tę sprawę merytorycznie. Jestem przekonany, że tak się stanie, bo ta sprawa jest precedensowa. Nie można dopuścić do tego, żeby partie polityczne, które są podstawą sprawnego funkcjonowania demokracji parlamentarnej, były przez kogoś prywatyzowane. Nie do zaakceptowania jest sytuacja, w której lider traci mandat demokratyczny, bo kończy mu się kadencja, a mimo to przez wiele lat sprawuje tę funkcję, choć to przecież na nim spoczywa obowiązek zorganizowania wyborów. Gdyby dopuścić taką sytuację, byłby to początek końca demokracji parlamentarnej. Podchodzimy do tej sprawy bardzo poważnie i z całą pewnością nadal będziemy dochodzić swoich racji przed sądem. Będziemy walczyć o demokrację wewnątrzpartijną oraz przestrzeganie prawa. Zależy nam również, aby tysiące działaczy Porozumienia nie zostało oszukanych i wyprowadzonych ze Zjednoczonej Prawicy na listy z PSL, a po wyborach do koalicji z lewicą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**O RELACJACH POLSKO-AMERYKAŃSKICH
ZA PREZYDENTURY JOE BIDENA CZYTAJ TAKŻE
NA STRONIE 56**



Ksiądz Dariusz Godawa
z dziećmi, którymi opiekuje się
w Kamerunie FOT. MISJA-KAMERUN.PL

Co naprawdę wiadomo o księdzu Godawie?



Olivier Bault

Sprawdziłem zawartość „międzynarodowego śledztwa” dziennikarskiego, które rzekomo ma obnażyć straszną prawdę o polskim księdzu niosącym pomoc dzieciom w Kamerunie

O ojcu Dariuszu Godawie OP pierwszy raz usłyszałem wiele lat temu od znajomych, a jego dzieło niesienia pomocy biednym dzieciom w Kamerunie sam śledziłem w sposób sporadyczny mniej więcej od 15 lat. Jego samego miałem okazję spotkać kilka razy w towarzystwie wolontariuszy i pod-

opiecznych przy okazji akcji zbierania w Polsce pieniędzy na działalność domu dziecka w Kamerunie. Gdy 18 maja zobaczyłem w portalu „Wyborczej” jako główny tytuł dnia „Pan życia i śmierci. Koszmarny sierociniec zakonnika Dariusza Godawy” – przeżyłem szok i niedowierzanie. W miarę ukazywania się kolejnych części „międzynarodowego śledztwa”, jak je opisuje „GW”, szok malał, a niedowierzanie wzrastało.

Postanowiłem zatem sprawdzić ich zawartość, tym bardziej że na Twitterze sam ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski zdawał się podpieierać własnym autorytetem oskarżenia „GW” wobec ks. Godawy, domagając się powołania specjalnej komisji do badania tego, co się do tej pory działo w Kamerunie. Zapytałem go, czy poza artykułami opierającymi się głównie na zeznaniach dwóch świadków dostawał niepokojące sygnały na temat

domu dziecka ks. Godawy w Jaunde. Ksiądz Isakowicz-Zaleski najpierw zgodził się na rozmowę i powiedział mi, że miał takie zgłoszenia, ale gdy drogą e-mailową dopytywałem później, ile ich było i ile z nich pochodziło od bezpośrednich świadków wydarzeń, ks. Isakowicz-Zaleski uznał, iż przygotowuję materiał z tezą, i nie zgodził się na publikację swojej wypowiedzi.

Zarówno z rozmowy z nim, jak i z jego kolejnych wpisów na Twitterze jasno wynikało, że głównym problemem są dla niego filmiki opublikowane przez ks. Godawę, na których widać, jak dzieci jedzą, siedząc na podłodze, wykonują różne prace domowe czy śpiewają pieśni po polsku. To również wytyka ks. Godawie „Gazeta Wyborcza”, oskarżając polskiego księdza o rasizm i kolonializm.

Kolejny zarzut „GW” to bezprawne posługiwanie się skrótem OP przez

ks. Darka, mimo iż od dwóch lat nie jest już dominikaninem. Tak podpisano na pasku ks. Godawę w jednym z wydań programu „W tyle wizji” w TVP. Zarówno ks. Godawa, jak i prowadząca program Dorota Łosiewicz mówią, że to po prostu błąd redakcji telewizji i że ks. Godawa zastrzegł przed emisją, że jest teraz księdzem diecezjalnym. Ksiądz został wydany z zakonu za odmowę powrotu do Polski, a nie za rzekomo złe traktowanie dzieci – i przynajmniej sami dominikanie.

Najcięższy zarzut „GW” dotyczy tragicznego wypadku z maja 2009 r. „Dziennikarskie śledztwo” w sprawie tragicznych wydarzeń w mieście Bertoua, w wyniku których śmierć w zawałonym budynku toalety „Misji Kamerun” poniosło dwóch 13-letnich chłopców, budzi jednak duże wątpliwości. Zawarte w artykule opisy zdają się pochodzić z całości z trzech artykułów opublikowanych na kameruńskich stronach internetowych wkrótce po wypadku. Mowa w nich o rzekomych ustaleniach policji, że chłopcy zostali zamknięci za karę w budynku toalety na noc, na co zdaniem autorów artykułu „Wyborczej” – dziennikarza kryminalnego Piotra Żytnickiego oraz wykładowcy filologii romańskiej w Poznaniu Jędrzeja Pawlickiego – dowodem ma być to, iż mieli na sobie dzienne ubrania. Jest także mowa o rzekomym wyjściu za kaucją po dwudniowym areszcie, a wręcz ucieczce z Kamerunu ks. Dariusza Godawy.

TRAGICZNY WYPADEK I UNIEWINNIE

Ksiądz Godawa twierdzi, że dzieci zginęły w wyniku katastrofy budowlanej, do której doszło ok. godz. czwartej nad ranem po wielkiej ulewie, gdy chłopcy już wstali, jak to czynią starsze dzieci w sierocińcu. Zaprzecza też, jakoby w Foyer Saint Dominique stosowano kary polegające na zamykaniu dzieci za jakiegokolwiek przewinienie. Wersję tę we wszystkich tych szczegółach potwierdziła w telefonicznej rozmowie ze mną jedna z byłych podopiecznych ośrodka w Bertoua (z ks. Godawą nie utrzymuje kontaktów i nie znała artykułów „GW”). Powiedziała mi też, że ks. Dariusz nie został wówczas zatrzymany w areszcie na noc, jak twierdzi „GW”.

W wydanym w listopadzie 2010 r. wyroku kameruńskiego sądu można przeczytać, że sąd oczyszcza Dariusza Godawę z zarzutów ze względu na brak

oskarżenia wniesionego przez oskarżyciela publicznego. Dwoje wychowawców sprawujących bezpośrednią pieczę nad dziećmi, Marianne Manguélé i Achille Ndinga, zostało z kolei uznanych za niewinnych zarzucanemu im czynu „nieumyślnego spowodowania śmierci”. Na polecenie arcybiskupa miejsca, Rogera Pirenne’a, tuż po tragicznym zdarzeniu w Bertoua sierociniec prowadzony przez dominikanina został przeniesiony do stolicy kraju – Jaunde.

ŹŁE TRAKTOWANE DZIECI?

Dziennikarka Monika Białkowska prowadzi na Facebooku program pt. „Reportaż z wycinków świata”. Ona także postanowiła sprawdzić ustalenia „GW”. Powiedziała mi podczas rozmowy telefonicznej, że gdy zaczęła przygotowywać odcinek pod nazwą „Druga strona »koszmarnej misji Godawy«. Świadcowie z Yaoundé”, zgłosiło się do niej ok. 20 osób, które kiedyś tam były. Wszystkie miały bardzo pozytywną opinię o dziele prowadzonym przez ks. Darka. Program można obejrzeć w serwisie YouTube. Biorą w nim udział byli wolontariusze „Misji Kamerun” i Kamerunka Sonia Anzong – jedna z podopiecznych, która dzięki pomocy ks. Darka przyjechała osiem lat temu na studia do Polski, a obecnie ma w Polsce stałą pracę i jest finansowo niezależna.

Sam prowadziłem rozmowy z kilkoma byłymi wolontariuszami oraz kilkoma byłymi podopiecznymi o. Darka. Wszyscy zgodnie zaprzeczali, jakoby dzieci były źle traktowane albo żeby głodowały i żyły w złych warunkach sanitarnych. Moi rozmówcy podkreślali także, że spożywanie posiłków na podłodze jest czymś normalnym w Kamerunie, zwłaszcza w przypadku dzieci.

Poza Sonią Anzong, którą znał Jędrzej Pawlicki (był jej promotorem na UAM) i która odmówiła rozmowy, z żadnym z kilku byłych podopiecznych ks. Darka – przebywających obecnie w Polsce, do których się dodzwoniłem – dziennikarze „Wyborczej” nie próbowali się nawet skontaktować. Chciałem dowiedzieć się od samych autorów, czy próbowali nawiązać kontakt z innymi byłymi podopiecznymi i wolontariuszami – poza osobami wymienionymi powyżej – ale w ciągu 30 minut rozmowy telefonicznej nie udało mi się uzyskać odpowiedzi. Dowiedziałem się tylko, że jako „konser-

watysta” (skoro piszę dla „Do Rzeczy”) mam na pewno mniejszą wrażliwość na krzywdę dzieci niż Piotr Żytnicki. Drugi współautor „Śledztwa”, romanista Jędrzej Pawlicki, nie chciał ze mną rozmawiać.

GŁÓWNI ŚWIADKOWIE MEDIALNEGO OSKARŻENIA

Autorzy artykułów „GW” w tej sprawie powołują się na Annę Sobków, która przebywała przez parę tygodni w Jaunde w 2012 r. Od trzech osób, które ją poznały (w tym dwie na miejscu w Jaunde), usłyszałem, że próbowała tam na siłę narzucać europejskie wzorce zachowania i wydawała się bardzo niestabilna emocjonalnie. Nie znała języka francuskiego i miała przez to utrudniony kontakt z dziećmi. Zresztą jak wykazała w swoim programie Monika Białkowska, pani Sobków co innego pisała w swoim dzienniku, który opublikowała na blogu „Misji Kamerun” zaraz po wyjeździe, a co innego w donosie przesłanym krótko potem, bo w 2013 r., do zakonu dominikanów.

Drugi główny świadek „GW” to niejaki Jacek T., przebywający obecnie w polskim więzieniu. W portalu Wp.pl w artykule z 2018 r. pt. „Kamerun. Polski misjonarz okradziony. Przez rodaka” można o nim przeczytać, że był poszukiwany od 18 lat i okradł sierociniec o. Darka oraz misjonarki ze Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Duszy Chrystusa Pana, które mu również w Kamerunie pomogły.

Pozwoliłem sobie także sprawdzić jeszcze jedno z oskarżeń. Chodzi o Didera Christiana Pitola Kaigamę, który ma być wychowankiem sierocińca i didżejem prowadzącym w Jaunde lokal Sono Music Club. Według „GW” polski ksiądz miał być „cichym udziałowcem” tego klubu, czerpać z niego zyski, wyłożyć wcześniej na niego pieniądze i opłacić też ślub swojego wychowanka.

Znalazłem tego kameruńskiego didżeja. Dowiedziałem się od niego (potwierdził to też ks. Godawa), że: nie jest wychowankiem ks. Godawy, tylko zna księdza od dzieciństwa, nie posiada żadnego lokalu, tylko gra na imprezach okolicznościowych, ks. Godawa nie dał mu żadnych pieniędzy na działalność i nie opłacił jego ślubu, tylko pozwolił mu nieodpłatnie urządzić własne wesele na terenie sierocińca.

JAN HLEBOWICZ: Od samego początku na łamach „Biuletynu Informacyjnego Topolówka” [niezależnego pisma III LO w Gdańsku – przyp. J.H.] piętnowana była postawa dyrektora Łosińskiego oraz niektórych nauczycieli.

PIOTR SEMKA: [...] Pamiętam szczególnie jeden tekst. Ja bym tego nigdy nie wymyślił (śmiech). „Panie dyrektorze Łosiński, zanurzył się pan w tak moralnym bagnie, że z tafla błotniska nie widać nawet pana łysiny”. Czytałem to i oczom nie wierzę. Mówię do młodszego Kurskiego: „Jacek, puknij się w głowę, to jest okropne. Przecież to jest wiocha”. „Nie, nie, Piotru, mam sygnały, że to się bardzo ludziom podoba”. Machnąłem ręką. „Jak się tak podoba, no to dawaj”.

Pisaliście dużo ostrzej. Na przykład o Zenonie Gaczo, nauczycielu języka rosyjskiego: „Panie profesorze Gaczo!!!! Pana osoba wszystkim kojarzy się z kompromitującymi aktami rozszarpywania gazetki ściennych poświęconych drogim i bliskim sercom nas wszystkich rocznicom, łapania i zrywania ulotek, penetracji najdalszych zakątków korytarzy i ubikacji po to, by wyskrobać swym wysłużonym szczyrzymi małą karteczkę z napisem »Solidarność zwycięży«. Jest pan, panie Gaczo, ślepym niszczycielskim narzędziem, realizującym najbardziej debilne i antynarodowe założenia i dążenia znienawidzonej dyktatury i aparatu bezpieczeństwa”. Mocne.

Mocne. Takie miało być. Prawda czasu – prawda powielacza. Gaczo był autentycznym maniakiem walki z symbolami oporu na terenie szkoły. Naprawdę robił te wszystkie rzeczy przywołane w powyższym cytacie.

Rozmawiałem z wieloma uczniami Topolówki z tego okresu. Wszyscy mówią, że Gaczo rzeczywiście zaciekle walczył ze szkolną opozycją. A jednocześnie był oceniany jako dobry nauczyciel i w gruncie rzeczy sympatyczny facet. Podobno rusycysta był także człowiekiem złamanym przez komunistyczny system. W czasie drugiej wojny światowej został zesłany na Syberię. A wy po nim jechaliście jak po łysej kobyle. Zresztą nie tylko po nim. Pamiętasz laur kaprałskiego kija?

Tak. Przyznawaliśmy go na łamach „BIT-u” reżimowym nauczycielom, którzy mieli szczególne „zasługi” w zwalczaniu niezależnej myśli wśród uczniów.



Piotr Semka: – Odpowiedni design naszego pisemka był zawsze przedmiotem mojej troski i walczyłem o niego dużym nakładem sił. Dla Jacka Kurskiego było to zawracanie głowy. Dla niego liczyła się treść. I barwny barokowy język antykomunizmu. FOT. ARCHIWUM PIOTRA SEMKI



Kolejny fragment książki „Piątka u Semki” (Zysk i Sk-a), wywiadu rzeki z Piotrem Semką przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza

Koledzy z konspiracy

Nie wszystkim waszym kolegom i koleżankom to się podobało. Twierdzili, że niektórzy nauczyciele nie zasługiwali na miano kaprali reżimu.

Mogliśmy się mylić, pewnie czasem też przesadzaliśmy. Ale musimy pamiętać o kontekście historycznym. To był stan wojenny. Szkoła pod obserwacją SB. Dyrektor, komunistyczny trep, straszyc uczniów, że jeśli „wichrzyciele nie zaprzestaną swoich nieczynnych działań, to Topolówka zostanie zamknięta”. W takich warunkach półśrodki nie wchodziły w grę i dlatego na łamach „Biuletynu” piętnowaliśmy każdy przejaw walki z naszą niezależnością. Obawa, by nie dostać

„kija”, powstrzymywała część nauczycieli od robienia rzeczy haniebnych. Starsi byli oburzeni – ocenianie zachowań pedagogów przez uczniów w nielegalnej gazecie to była sytuacja spoza ich świata pojęć.

Uzurpowaliście sobie prawo do wypowiedziania się w imieniu większości.

Byliśmy liderami opinii publicznej i czasami, niestety, odzywał się w nas syndrom pantokratora – ocenialiśmy, kto zachowuje się dobrze, a kto źle. Jednak ta uzurpacja w imieniu większości, jak to określiłeś, nie była bezpodstawną. Uczniowie masowo czytali „BIT”, komentowali jego treść na



W 1983 roku Jarosław Kurski trafił na dwa miesiące do aresztu.

Jarek został zatrzymany i na dwa miesiące aresztowany pod zarzutem rzekomej napaści na milicjanta. Staliśmy wówczas przed

ważnym pytaniem: Co dalej z drukiem? Bo przecież kontakty Jarka były spalone. Wtedy zaczęliśmy korzystać z pomocy Mariusza Wilczyńskiego...

... czyli jednego z twórców Federacji Młodzieży Walczącej w Gdańsku.

Bardzo fajny facet i kolega. Wspólnie organizowaliśmy akcje ulotkowe, pomagaliśmy sobie w kolportażu niezależnych wydawnictw, spotykaliśmy się na demonstracjach. Jednak jeśli chodzi o Federację, to jej największą skazą była chęć stworzenia tak zwanej ponadszkolnej struktury. Mówiłem wtedy: „Dziękuję, ale nie, drodzy panowie. Wystarczy, że jedna osoba z takiego konspiracyjnego »drzewka« pięknie, i cała ta wasza struktura porwie się jak stary sweter. Trzymajcie się lepiej z dala od takich rozdętych struktur”. Nie słuchali. I niestety miałem rację, bo FMW była dość dobrze zinfiltrowana przez Służbę Bezpieczeństwa. Dla porównania „BIT” przez dziewięć lat nieprzerwanej działalności (1980–1989) nie zaliczył ani jednej dotkliwej wpadki [...].

Ale jednak Federacji Młodzieży Walczącej udało się stworzyć strukturę, która objęła wiele szkół średnich na terenie całego Trójmiasta. Może nie ustrzegli się błędów, ale na pewno możemy mówić w ich przypadku o sukcesie.

Po części zgoda. Tak jak mówiłem, FMW miała wiele ciekawych i potrzebnych inicjatyw. Niestety, źle rozłożyli akcenty. Środowisko „BIT-u” było od Federacji niezależne i myślę, że wyszło to nam na zdrowie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

napięcia, który utrzymywał się w Topolówce przez kilka lat. Podobne zjawisko można było obserwować w całej Polsce w czasach stalinowskich. Chuliganerka była wtedy efektem reakcji na ubecki terror.

Ty z Jackiem Kurskim pisałeś teksty. Gdzie trzymaliście sprzęt drukarski? Z kim współpracowaliście?

Może to brzmieć zaskakująco, ale zaufanych ludzi mieliśmy w dużej mierze w środowisku poppersów. U jednej koleżanki trzymaliśmy maszynę do pisania, a u innych osób papier. Oni niespecjalnie interesowali się polityką, ale – o dziwo – jednocześnie się nie bali. Mieliśmy do nich zaufanie, wiedzieliśmy, że nie pękną. Poza tym ci ludzie byli absolutnie poza podejrzeniem. Bezpieka kojarzyła poppersów z imprezami, dyskotekami, a nie z konspirowaniem.

Zdarzało się, że ktoś ze współpracy rezygnował?

Przychodziło do nas mnóstwo ludzi, których ja nazywałem krótkodystansowcami. To były osoby, które z różnych powodów wchodziły do podziemia, ale kiedy orientowały się, że to nie jest zabawa, traciły zainteresowanie albo rezygnowały ze strachu. Największym problemem byli współpracownicy, których rodzice reagowali spazmatycznie na wieść o tym, co robią ich syn lub córka. Kiedyś matka kolegi wpadła do pokoju i zaczęła krzyczeć: „Zwariowaliście?! Wy nie wiecie, do czego oni są zdolni!”. Ta pani była sybiraczką i jej troskę o syna oraz obawę przed represjami można było zrozumieć. Jednak ja zdawałem sobie sprawę, że tego typu zachowania grożą wpadką. Byli też koledzy z konspiracyj, którzy reagowali niezwykle ostro, kiedy ktoś rezygnował z działania w podziemiu po paru dniach. „Brzydzę się tobą” – takie słowa także padały. Nie lubiłem takich reakcji. Uważałem, że każdy ma prawo do lęku, byle tylko nie sypał. Dobrze, że taka osoba mówiła „dość” po krótkim czasie, kiedy jeszcze nie była wtajemniczona w wiele istotnych kwestii. Z perspektywy czasu mam wrażenie, że stworzyliśmy strukturę niezwykle sprawną, elastyczną i zakonspirowaną. I mieliśmy „szósty zmysł” do wyczuwaniu potencjalnych wariacji, czyli mitomanów, efekciarzy lub przesadnych ryzykantów. Tacy ludzie byli kolejnym przekleństwem konspiracji.

przerwach, prowadzili korespondencję z redakcją, a przede wszystkim odpowiadali na nasze apele. Kiedy ogłaszaliśmy w danym dniu przerwę milczenia, która polegała na tym, że ubrana na czarno młodzież przez dwadzieścia minut stała na korytarzu i demonstracyjnie milczała, uczestniczyło w niej około osiemdziesięciu procent wszystkich uczniów. Mieliśmy poczucie, że większość zgadza się z tym, o czym piszemy na łamach „BIT-u”. W tamtym czasie bardzo popularna była subkultura poppersów. To byli „hedoniści”, dla których liczyły się zagraniczne ciuchy, dobra zabawa, pieniądze, najmodniejsze dyskoteki i seks. Ku mojemu zdumieniu oni też czytali „BIT” i przychodzili na przerwy milczenia. Inna historia. W pewnym momencie jeden z uczniów, nazwijmy go Kowalski, chciał zakładać w Topolówce Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Na łamach „BIT-u” rozpętaliśmy kampanię przeciwko niemu i temu durnemu pomysłowi. W toalecie na drzwiach wewnętrznych pojawił się napis: „Kto uważa, że Kowalski to złamas, niech postawi krzyżyk”. Zadałem sobie trud ich policzenia. Było tych krzyżyków blisko setki.

A pojawiały się wśród uczniów głosy, że to, co robicie, jest szkodliwe?

Pamiętam ludzi chorych ze strachu, ze stanami lękowymi i z depresjami wywołanymi atmosferą, która panuje w szkole. Często słyszałem, jak mówili: „Do jasnej cholery! To przez was nachodzi nas SB, to przez was dyrektor nas za mordę trzyma i ja się nie mogę w ogóle uczyć”. Albo: „Ja się ciągle boję, że esbecy przyjdą do domu, rewizję zrobią i do więzienia mnie albo rodziców zabiorą”. Ja wtedy pytałem: „Ale przecież ty nic nie robisz, więc dlaczego się boisz?”. „Przez was, bo tworzycie atmosferę, która jest nie do zniesienia”. „To zacznij coś robić i przestaniesz się bać” – odpowiadałem na tego typu uwagi. Atmosferę najgorszej, najbardziej brutalnej fazy stanu wojennego (lata 1982 i 1983) ludzie odragowywali w bardzo różny sposób. Były na przykład dziewczyny, które jeździły do knajpy Wiking w Nowym Porcie i zawierały znajomości z zachodnimi marynarzami. Powodem takiego zachowania nie był brak pieniędzy ani problemy rodzinne. To był rodzaj jakiejś dziwacznej autoagresji. Z kolei do mojej klasy chodzili osoby, które uczestniczyły we włamaniach, w bójkach. W poprzednich latach było to nie do pomyślenia. Też nie musiały tego robić. W ten sposób młodzi ludzie odragowywali stan

Dotychczas wydrukowaliśmy następujące fragmenty książki:

- „Jak Semkowie Polskę wybrali” – nr 16/2021
- „Dziadek Jan i dziadek Józef” – nr 17/2021
- „Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową” – nr 18/2021
- „Niepokorna Topolówka” – nr 19/2021
- „Dramatyczny czas” – nr 20/2021
- „Licealna konspira” – nr 21/2021

Córka Cezarego Kaźmierczaka, prezesa Związku Przedsiębiorców i Pracodawców w wieku 13 lat (czyli dwa lata wcześniej, niż zwykle kończy się szkołę podstawową) zaczęła się już zastanawiać nad wyborem przyszłej szkoły średniej. Jak relacjonował ojciec – dziecko przeglądało witryny internetowe szkół i tak trafiło też na stronę 21. Społecznego Liceum Ogólnokształcącego im. Jerzego Grotowskiego w Warszawie. Trzynastolatka sprawdziła zasady rekrutacji. Te – w szkole kładącej nacisk na edukację humanistyczną – mają formę ustnego egzaminu wstępnego. Kandydat musi podczas tej rozmowy w 15 minut zaprezentować temat związany z własnymi zainteresowaniami (mogą to być utwory napisane przez ucznia, prace plastyczne czy nawet gra na instrumencie). Kolejną częścią egzaminu jest odpowiadanie na pytania komisji dotyczące zainteresowań humanistycznych. Kandydat musi też rozmawiać o jednej z lektur proponowanych przez szkołę. Może wybrać spośród siedmiu pozycji. I właśnie te tytuły zszokowały ojca.

Na liście są bowiem: Margaret Atwood „Opowieść podręcznej”; Angela Carter „Krwawa komnata” (z tomu „Czarna Wenus”); Jarosław Iwaszkiewicz „Kochankowie z Marony”; Czesław Miłosz „Orfeusz i Eurydyka”; Sławomir Mrożek jednoaktówka „Na pełnym morzu”; Platon „Uczta”; Olga Tokarczuk „Najbrzydsza kobieta świata” (z tomu „Gra na wielu bębenkach”).

„WŁOSY STANĘŁY JEJ DĘBA”

Jak relacjonował w mediach społecznościowych Kaźmierczak, ani on, ani jego żona nie są obeznani „w literaturze porno”, więc lista lektur nie wzbudziła u nich podejrzeń. Rodzice zapisali 13-latkę na egzamin. Jednak zanim wręczyli córce książki, żona Kaźmierczaka postanowiła zerknąć na pierwszą rekomendowaną książkę z listy – „Krwawa komnata”. I przeżyła szok.

„Wszystkie włosy stanęły jej dęba.

Oto, o czym m.in. chciał rozmawiać jakiś pedofil bądź zboczeniec z moją 13-latką! O jej »wrażeniach, przemyśleniach i wnioskach dotyczących tej lektury« – pisze na Facebooku Kaźmierczak. I wylicza cytaty jako przykład na to, że całe to opowiadanie jest „o seksie”: „Mężczyzna w czarnej masce wolną ręką manipuluje przy kutasie, zakrzywionym w górę jak szabla, którą dzierży”; „Tuzin mężów wbiło na pal tuzin oblubieniec”; „Bez żadnej



Pornoedukacja?



Łukasz Zboralski

Warszawskie liceum do rozmowy rekrutacyjnej wymaga przeczytania książki z własnej listy. Część z pozycji zawiera sceny ostrego seksu. Zszokowany ojciec nazwał to pedofilią. Szkoła zapowiedziała pozew, a resort edukacji zapowiedział kontrolę. Tło tej awantury jest jednak dużo bardziej skomplikowane

powściągliwości” „położył mi władczą rękę na piersi” i „kazał mi włożyć obrożę”, bo „ze swojego stroju zachowała” tylko ją; „Słyszałam jego ostry krzyk i bluźnierstwa w chwili orgazmu, krwawiłam”.

Cezary Kaźmierczak zauważa, że również pozostałe pozycje jako lista lektur dla dzieci kręca się wokół seksu, i cytuje fragmenty „Opowieści podręcznej” („Komendant obcuje wtedy z Podręczną leżącą na łonie żony”; „Została schwytana

i postawiona przed możliwością wyboru między wysłaniem do Kolonii a prostytucją”; „Jezebel – ekskluzywny burdel dla wyższych funkcjonariuszy reżimu”).

To nie koniec. „Kolejna książka »Kochankowie z Marony« Iwaszkiewicza to pasjonująca opowieść o trójkacie miłosnym biseksualisty, homoseksualisty oraz heteroseksualnej kobiety. Lektura wprost i jak najbardziej odpowiednia dla 13-letniej dziewczynki” – wytyka prezes ZPP.



tu – czyli oskarżanie ludzi, którzy występują przeciw tego rodzaju praktykom!

DEZINTEGRACJA I SAMOWYCHOWANIE

Wydaje się, że w debacie o dopuszczalności scen erotycznych w literaturze podrzucanej młodzieży przez dorosłych umknął jeden ważny wątek. Bo czy dobór lektur może być przypadkiem i nie mieć związku z poglądami na edukację dyrektora szkoły oraz grona pedagogicznego?

Niektórym wystarczy zwracanie uwagi na samego patrona szkoły. Owszem, Grotowski, teatralny eksperymentator, jako ostatnią ze sztuk wyreżyserował „Apocalypsis cum figuris” – czyli spektakl, na którym „Jacek Kuroń płakał” [tekst „Kłopotliwa rocznica”, „Tygodnik Powszechny”, 2015 r.], a który prymas Wyszyński podczas homilii na Skałce 8 maja 1976 r. skomentował tak: „Jakże często Polska zagrożona była w swojej wolności! A Bóg uporczywie nam tę wolność przywraca. Tak było w roku osiemnastym, dziewiętnastym, dwudziestym, tak było po roku trzydziestym dziewiątym. Bóg przywrócił wolność. A co my z niej czynimy? Na co ją wykorzystujemy? Czy to ma być tylko wolność picia i upijania się, alkoholizmu i rozwiązłości, wolność wystawiania obrzydliwych sztuk teatralnych? Jak gdyby naszych artystów nie było już stać na nic lepszego, tylko na jakieś tam »Białe małżeństwo« czy »Apocalypsis cum figuris«. Obrzydliwości, które się drukuje, wystawia się potem w teatrach, a Polacy, chociaż mówią o tych przedstawieniach – to prawdziwe świństwo – ale idą na nie, płacą pieniądze, siedzą i spluwają. Czy na to odzyskaliśmy wolność?».

Jednak znacznie ważniejsze wydają się założenia programowe tej powstałej w 1991 r. stołecznej szkoły. „Program dydaktyczny, wychowawczy i organizacyjny wywodzi się z teorii psychologicznych prof. Kazimierza Dąbrowskiego” – czytamy na stronie 21. LO.

Profesor Dąbrowski – dziś trochę zapomniany, ale odkrywany na nowo m.in. w USA – ukuł teorię „dezintegracji pozytywnej”. W olbrzymim skrócie: widział rozwój człowieka nie jako konsekwentną budowę własnego „ja” poprzez coraz większe integrowanie się osobowości, ale jako budowanie tej osobowości poprzez dezintegrację, wewnętrzne rozpady, ogromne napięcia psychiczne. Jego zadaniem taką drogę przebywały jednostki wybitnie uzdolnione. Oczywiście ma to

duże znaczenie przy podchodzeniu do kryzysów psychicznych i ich rozwiązywaniu – podejście, w którym można tłumaczyć, że kryzysy nie muszą być destrukcyjne, ma wiele zalet. Jednak na tle pedagogiki teoria Dąbrowskiego prowadzi do zmiany paradygmatów. Jeśli staje się ona istotnym procesem edukacji, to ta edukacja zakłada inne metody i cele: „W ten sposób pedagogika odchodzi od postawy chowu, postawy wychowania, a przechodzi stopniowo do postawy pomocy w samowychowaniu, pomocy w autopsychoterapii wychowawczej. Przechodzi od ideałów wychowania i skłania się w kierunku ideału samowychowania, przechodzi od postaw determinizmu do indeterminizmu albo samoświadomego i samoprzyjętego determinizmu. W ten sposób realizuje się w wychowaniu przekroczenie odpowiedniego dlań cyklu życiowego człowieka” (Kazimierz Dąbrowski, „Pąsja rozwoju”, Warszawa 1988, Studencka Oficyna Wydawnicza ZSP Almapress).

Trudno nie uznać, że placówki, do których z definicji trafiają dzieci z pewnymi problemami, mogą przyjmować różne teorie psychologiczne, by próbować z takimi uczniami pracować, jednak „zwykła” szkoła powinna się przede wszystkim zajmować edukowaniem dzieci, a nie wdrażaniem nieprzejrzytych teorii do pedagogiki. Eksperti mówią o tym trochę dosadnie: szkoła nie jest miejscem na eksperymenty psychopedagogiczne. Terapeuta, który rozbija w pacjencie pewne mechanizmy psychologiczne, który go „dezorganizuje”, musi umieć takiego pacjenta „poskładać”. Inaczej tego po prostu nie robi. Jaką wiedzę w tym zakresie może mieć zwykły nauczyciel?

Strona 21. LO wskazuje też na inspiracje teorią rozwoju psychospołecznej wywiedzioną przez teoretyka psychoanalizy Erika H. Eriksona, który – skracając – uważa, że człowiek osiąga rozwój poprzez kryzysy psychospołeczne i wyróżnia w ludzkim życiu osiem faz, w których człowiek musi pokonywać kryzysy rozwojowe (np. w pierwszej fazie – niemowlęctwa – dostrzegał konflikt między ufnością a podstawową nieufnością i uważał ząbkowanie za moment krytyczny, w którym mogą kształtować się tendencje masochistyczne).

Spór o to, jak wychowywać i kształcić, jest zawsze dla systemów edukacji ożywczy. Tylko czy powinno iść to tak daleko, by zaskakiwać dziecko lub rodzica?

I potem w mocnych słowach puentuje swój ogląd sytuacji: „Jestem bardzo zainteresowany, który to skur. syn chce w 21. SLO w Warszawie prowadzić tego typu rozmowy z dziećmi i jak to w ogóle jest możliwe, i jak to jest możliwe, że organa państwa polskiego to tolerują”.

Jak się szybko okazało, organa państwa takich rzeczy tolerować nie zamierzają. Ministerstwo Edukacji i Nauki oficjalnie poinformowało, że minister Przemysław Czarnek zlecił sprawdzenie tej sprawy w trybie nadzoru pedagogicznego Mazowieckiemu Kuratorowi Oświaty. Nauczyciele poczuli się słowami Kaźmierczaka o „pedofilii” dotknięci, więc dyrekcja 21. LO i pedagogzy zapowiedzieli wytoższenie mu procesu o zniesławienie.

– Cała ta sytuacja jest w ogóle nie do pojęcia – komentuje Krzysztof Masłoń, krytyk literacki i publicysta „Do Rzeczy”. – Bo biorąc pod uwagę lektury, które są w szkołach podstawowych, to te pozycje są zupełnie z innego kręgu, zdecydowanie zbyt wymagające w stosunku do dzieci, jednak jeszcze dzieci. To jest wybrzyk, który słusznie został tak, a nie inaczej przyjęty. I mam nadzieję, że obietnica ministerstwa w tej sprawie zostanie dotrzymana. Natomiast reakcja samej szkoły jest skandaliczna do kwadra-

Bytom. Szpital Specjalistyczny nr 1 zamieszcza w sieci ogłoszenie: „Każda para rąk do pomocy, każda uśmiechnięta i skora do pomocy osoba są na wagę złota. [...] Wolontariusze mogliby pomagać przy myciu pacjentów, [...] w rozmowach z bliskimi”.

Kraków. „Wczoraj 2-letnia Ola i 6-letni Maks, obydwój z COVID, zostali sami. Rodziców musieliśmy hospitalizować na oddziale dla dorosłych, na tlenie, walcząc” – informuje w mediach ordynator oddziału dla dzieci z COVID w szpitalu Żeromskiego, szukając wolontariuszy.

Toruń. Dyrektor Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego: „Zapraszamy wszystkich chętnych do niesienia pomocy chorym, którzy w tym trudnym czasie najbardziej jej potrzebują”.

I wolontariusze się zgłaszają...

REDAKTOR NA ODDZIALE

Tomasz Rożek, dziennikarz naukowy związany z „Gościem Niedzielnym” i Radiem 3/5/7, twórca kanału Nauka To Lubię, 20 maja w sieci zamieścił zdjęcie w kombinezonie, w którym pracuje się na oddziale covidowym. Jako wolontariusz raz w tygodniu pomagał w dwóch bytomskich szpitalach.

– O moim wolontariacie na oddziale covidowym wiedziały trzy-cztery najbliższe osoby, ale kiedy po raz pierwszy usłyszałem w szpitalu, że nie ma dla mnie pracy, postanowiłem napisać o tym w Internecie. Uznałem, że to bardzo optymistyczna informacja i tylko dlatego się nią podzieliłem. Bardzo potrzebujemy dobrych wiadomości – mówi. – Jak wyglądał mój dzień? Przychodziłem, zakładałem strój ochronny, wchodziłem do strefy czerwonej, gdzie działałem na zasadzie „przynies, podaj, pozamiataj”. Nie miałem planu działań, tak jak mają go pielęgniarki. Robiłem to, co akurat było potrzebne. W jednym ze szpitali, w których pomagałem, nie było instalacji tlenowej, pacjenci korzystali z butli. Moim zadaniem było sprawdzanie ciśnienia w butlach, przywiezienie pełnych butli, które są bardzo ciężkie. Czasem trzeba było zmienić pościel, pomóc pacjentowi w zmianie piżamy lub nakarmić, przypilnować, żeby zażył przyniesione mu przez pielęgniarkę leki. Innym razem pobiec po moździerz i rozkruszyć tabletki, których nie był w stanie połknąć. Pomagałem przy czynnościach higienicznych. Przewrócenie pacjenta na drugi bok, często nie do końca świadomego, by móc umyć mu plecy, to ciężka fizyczna praca. Jeśli była taka moż-

Dziennikarz Tomasz Rożek ujawnił, że pracował jako wolontariusz w szpitalu covidowym dopiero, gdy ze względu na brak pacjentów nie musiał już pomagać

FOT. TWITTER.COM/ROZEKTOM



Anioły stróże pandemii



Agnieszka Niewińska

Miała kontakt z pacjentami w śpiączce, z chorymi na raka.

**– Jednak na oddziale covidowym nieraz ugięły się pode mną nogi
– opowiada wolontariuszka z Torunia. W czasie pandemii wiele szpitali zwróciło się o pomoc do ludzi dobrej woli**

liwość, to oklepywałem plecy pacjentów, żeby nie dostali zapalenia płuc. Niektórzy potrzebowali rozmowy, potrzymania za rękę. To były zwykłe czynności, które zna każdy, kto opiekował się osobą ciężko chorą w domu – opowiada Tomasz Rożek.

Dziwi się, że często jest pytany o motywację podjęcia wolontariatu. – Po prostu uznałem, że osobom potrzebującym trzeba pomóc. Chciałem się zaangażować już na początku pandemii, ale doszedłem do wniosku, że przed zaszczepieniem się nie będzie to w porządku wobec mojej rodziny – wyjaśnia. – Zdecydowałem się na wolontariat, kiedy ja i żona byliśmy

już po pierwszej dawce, a rodzice po dwóch.

Zaznacza, że dla niego praca wśród chorych na COVID nie była szczególnie obciążająca psychicznie. – Studiowałem fizykę medyczną. Zajęcia częściej odbywały się w szpitalach niż na sali wykładowej. Poza tym w mojej rodzinie były osoby chore, które wymagały stałej opieki w domu. Dla kogoś, kto z chorymi i ze szpitalami nie miał wcześniej styczności, wolontariat na oddziale covidowym może być szokiem. Sądzę jednak, że takiego rodzaju wstrząsu wielu z nas potrzebuje – mówi dziennikarz.

Katarzyna Gucajtis z Torunia zgłosiła się do pomocy na oddziale covidowym Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Toruniu. – Zobaczyłam ogłoszenie szpitala, a także apele marszałka województwa kujawsko-pomorskiego i prezydenta Torunia o to, by do pomocy zgłosili się pracownicy służb medycznych – opowiada. Na co dzień pracuje w Fundacji Światło, która m.in. prowadzi zakład opiekuńczo-leczniczy dla osób w śpiączce. – Pracuję głównie w administracji, ale mam wiedzę na temat opieki nad pacjentem leżącym. Jako personel byłam już zaszczepiona dwoma dawkami, wcześniej przeszedłam koronawirusa. Wzięłam kilka dni wolnego i zgłosiłam się do pomocy. Wykonywałam pracę sanitariusza, czyli zajmowałam się pielęgnacją, higieną pacjentów – mycie, zmiana pieluch, zmiana pościeli czy karmienie tych, którzy nie byli w stanie jeść samodzielnie – opisuje pracę Katarzyny Gucajtis. Dodaje, że wielu pacjentem po prostu dotrzymywała towarzystwa. – Odcięci od świata potrzebowali rozmowy. Przynosiłam im informacje, mówiłam o tym, co się dzieje na zewnątrz. Pacjenci opowiadali mi o swoim życiu, dzieciach, wnukach, ale dużo rozmawialiśmy o strachu, obawach, że już nie wyjdą ze szpitala. Personel medyczny pracujący na co dzień na oddziale nie może poświęcić pacjentowi tyle czasu, ile by tego potrzebował, bo personel jest mało, a pacjentów wręcz przeciwnie. Stąd obecność wolontariuszy, którzy mogą potowarzyszyć chorym, jest bardzo cenna.

W Fundacji Światło ma kontakt z chorymi, którzy od miesięcy, a często i lat są w śpiączce, poznaje ich historie, spotyka się z ich rodzinami, buduje się relacja. – Mamy też kontakt z osobami ciężko chorymi onkologicznie, więc w zasadzie powinnam być gotowa na to, co się dzieje na oddziale covidowym. Jednak nieraz ugięły mi się pode mną. I to wcale nie pod ciężarem kombinezonu ochronnego, w którym trzeba chodzić – mówi. – Pamiętam pacjenta po pięćdziesiątce. Ojciec, dziadek. Był już w ciężkim stanie, nie miał siły nawet trzymać telefonu. Umówiłam się z jego żoną, że w czasie mojej obecności na oddziale zadzwoni do niego, a ja ten telefon przyłożę mu do ucha. Nie słyszałam rozmowy, ale musiały paść te najważniejsze słowa. Dwa dni później zmarł. To była ich ostatnia rozmowa. Pamiętam zdjęcie wnuków, które stało obok łóżka. Na odwrocie było napisane: „Dziadku, Kochamy Cię. Wróć do nas”. Praca na takim oddziale to

ogromna dawka trudnych emocji. Także dla personelu. Zespół musiał zmierzyć się z tym, że pacjenci, w tym wielu młodych, odchodzą. I to jest bardzo trudne.

PIERWSZA FAŁA

Minął rok, od kiedy salwatorianin ks. Paweł Radziejewski pracował w szpitalu covidowym w Wolicy koło Kalisza. Kiedy koordynujący pomoc zakonników sekretarz generalny Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich zbierał deklaracje tych, którzy gotowi są podjąć wolontariat, wysłał zgłoszenie. – Okazało się, że jestem potrzebny w szpitalu covidowym w Wolicy – opowiada ks. Radziejewski. Do tego szpitala trafiło wielu zakażonych COVID-19 pensjonariuszy dużego DPS-u w Kaliszu. Media relacjonowały dramatyczną sytuację ośrodka, ewakuację mieszkańców, w której pomagało wojsko. – W Wolicy były trzy oddziały covidowe. Kiedy tam dotarłem, działały już od dwóch-trzech tygodni. Do pomocy zgłosili się bracia kapucyni z Katowic, siostry zakonne, ale też świecka wolontariuszka Ania z Bielska-Białej – opowiada ks. Radziejewski.

Wolontariusze wspierali pielęgniarki i salowe. – Pacjentów trzeba było umyć, przebrać, zmienić pieluchę. Wydaje się, że nie ma nic prostszego, niż kogoś nakarmić, ale na początku, mimo pomocy personelu, bałem się tego. Modliłem się: „Panie Boże, żeby tylko nikt się nie zachłusnął”. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do kombinezonów, ale czasem były one bardzo uciążliwe. Pamiętam, jak kiedyś ubrany w to wszystko zaczynam karmić pacjenta, a tu parują mi okulary. Nie można było nic zrobić, bo okulary były pod przyłbicą, a rękawiczkami, którymi dotykało się pacjenta, nie można było nikogo ani niczego innego dotknąć. Musiałem wyjść z oddziału. Najpierw się rozbierać ze stroju, potem ubrać. To była cała procedura trwająca nawet 20 minut – wspomina ks. Radziejewski. Kiedy pacjenci byli już zaopatrzeni, kapłani ruszali do nich z posługą duszpasterską. – Czasem na oddziale udało nam się odmówić Koronkę, spowiedzi, udzielaliśmy Komunii Świętej. W szpitalu była kaplica z Panem Jezusem, co nam wiele ułatwiało. – Pamiętam panią Jadwigę, która była już w bardzo ciężkim stanie, karmiona sondą. Jednak któregoś dnia poczuła się lepiej, zaczęła rozmawiać. Zostałem poproszony o udzielenie Komunii jej sąsiadce. Poszedłem po Pana Jezusa, ale kiedy wróciłem, coś mnie tknęło

i najpierw podszedłem do pani Jadwigi. Chciała się wyświadczyć. Kiedy przyszedłem na nocną zmianę, na oddziale było poruszenie. Ktoś odszedł. Okazało się, że to pani Jadwiga. Pomyślałem wtedy, że Pan Bóg nas nigdy nie zostawia. Ta pani dwa dni przed śmiercią odzyskała świadomość i mogła odejść pojednana z Panem Bogiem. Na tym oddziale działo się dużo dobra.

Kapłan opowiada, że mimo trudnej sytuacji życie toczy się dalej i na oddziale nie brakowało ani żartów, ani śpiewu. – Zdarzało się, że przy posiłkach śpiewaliśmy z chorymi np. „Taki duży, taki mały...”. Dawało im to dużo radości. Z oddziału nie można było jednak niczego wynosić, nawet pieniędzy. Drobne zachcianki organizowaliśmy więc sami, np. ogórki czy małe radyjko. Na dyżurze niedzielny, dla tych, którzy chcieli, udało się zorganizować oglądanie Mszy Świętej w telewizji – ciągnie ks. Radziejewski. Przyznaje, że przez miesiąc personel, wolontariusze żywali się z pacjentami. – Zналиśmy się po imieniu, niektórzy rozpoznawali nas po głosie.

OBY NIE BYŁO POTRZEBY

Oddział, na którym pracowała Katarzyna Gucajtis, został już zamknięty. – Nowych pacjentów nie przybywało. Część chorych wyszła do domu, część została przeniesiona na inne oddziały. Mam nadzieję, że nie będzie już takiej potrzeby, ale gdyby była, to już zgłosiłam chęć zostania wolontariuszem – deklaruje.

Tomasz Rożek chciałby teraz tak gospodarować czasem, by na stałe zaangażować się gdzieś jako wolontariusz. O swoim wolontariacie na oddziale covidowym opowiada niechętnie, bo po tym, jak zamieścił w mediach społecznościowych zdjęcie ze szpitala, spadł na niego hejt. – Słyszę, żeby się nie przejmować, ale zastanawiam się, czy zbyt łatwo nie przechodzimy nad hejtem do porządku dziennego – mówi.

Ksiądz Radziejewski z perspektywy czasu patrzy z wdzięcznością na miesiąc spędzony wśród chorych w Wolicy. – Byliśmy w tamtym czasie tacy bezradni, zamknięci w domach, a mnie Pan Bóg dał możliwość pomagania innym przez takie proste czynności – mówi. Dzień po naszej rozmowie przesyła SMS: „Poruszyła pani wspomnienia tym wczorajszym telefonem. Przypomniłam sobie jeszcze parę rzeczy, np. to, że ten czas przeżyliśmy z radością, bo służyliśmy człowiekowi bardzo potrzebującemu i codziennie mogliśmy karmić się Ciałem Pana w tej naszej hotelowej kaplicy”.

Życie Anthony'ego pomału dobiega końca, ale po pierwsze, nie było to złe życie – ma wspaniałą troskliwą córkę i piękne mieszkanie w Londynie, a po drugie, i ów zmierzch wydaje się pogodny: otaczają go piękne przedmioty, a gdy ma ochotę, może sięgnąć po dobre wino i posłuchać w spokoju wspaniałej muzyki. Wkraczamy w jego świat w chwili, kiedy nadchodzi zmiana – córka poznała wspaniałego faceta, wyprowadza się, razem będą mieszkać w Paryżu. Anthony żartuje: „A co ty będziesz robić w Paryżu? Oni tam nawet nie mówią po angielsku!”.

W filmie Florian Zeller nic jednak nie jest takie, jakim się z początku wydaje, każda kolejna scena, każdy dialog, będą odsłaniać nowe znaczenia, a także – całkiem często – podważać realność tego, czego już się dowiedzieliśmy. Mistrzowska jest to narracja, dzięki której, choć to film demonstracyjnie teatralny – niemal wszystko rozgrywa się tu w jednym miejscu, śledzimy wypadki z zapartym tchem, a potem niepostrzeżenie dajemy się wciągnąć w wir potężnych emocji. Nie są to emocje radosne: film „Ojciec” („The Father”) to przykład sztuki bezlitosnej, jak najlepsze filmy Michaela Hanekego.

ŚWIAT NIEPASUJĄCYCH WSPOMNIENI

Anthony (gra go Anthony Hopkins) dotknięty jest częstą przypadłością wieku starczego – demencją. Czasem zapomni, gdzie schował zegarek, innym razem na próżno szuka w pamięci imienia opiekunki, która przychodzi dotrzymać mu towarzystwa i pomóc zająć się mieszkaniem. Naraz staje zdumiony: Co robi obcy mężczyzna w jego salonie? Dlaczego na ścianie brak ulubionego obrazu?

Oryginalność i siła tej opowieści polegają na tym, że dramat osoby tracącej pamięć poznajemy z jej perspektywy. Zdezorientowanemu widzowi chwilę zajmie przyzwyczajanie się do nowych zasad gry. To nie jest historia, w której obserwujemy chorobę, lecz fabuła, dzięki której znajdziemy się wewnątrz choroby, w głowie nieszczęsnego Anthony'ego. Wszystkie niewytłumaczalne na pozór wypadki to efekt tego, jak postrzega świat – a my, siedząc przed ekranem, przejmujemy jego punkt widzenia. To przerażające miejsce. Życie w piekle wypełnionym znajomymi twarzami, które przestają pasować do wspomnień. Nie mamy pewności – bo Anthony jej nie ma – jakie jest następstwo wydarzeń, gdzie



Piotr Gociek

W filmie „Ojciec” Florian Zeller największy żyjący aktor naszych czasów – Anthony Hopkins – tworzy swą najwybitniejszą kreację

Okrucy pamięci

wpasować poszczególne dialogi, kogo i w jakiej kolejności bohater poznawał, jaka była prawdziwa natura ich relacji.

Warstwa po warstwie pracowicie musimy odsłaniać kolejne części dramatu i próbować je do siebie dopasować. Dialogi śledzić trzeba bardzo pilnie, pamiętać o powtórzeniach i zawahaniach – nic tutaj nie pojawia się bez potrzeby, każde słowo i każde zawahanie ma swoje drugie, czasem trzecie znaczenie. Prawda jest tu

ukryta także za śmiałym posunięciem inscenizacyjnym: te same postacie grane są czasami przez różnych aktorów. Nie mogło być inaczej, skoro celem jest oddanie tego, co się dzieje w skołowanym, gasnącym umyśle głównego bohatera. A tam wszystko skleja się ze sobą albo miesza.

DZIEŁO WYBITNE

Ze wszystkich filmów wyróżnionych w tym roku Oscarami „Ojciec” to propo-



w sobie egotyk pragnący własnymi rękami zbudować sobie ekranowy pomnik? Zeller jednak udowodnił najpierw, że nie bez powodu nazywany jest najbardziej ekscytującym dramaturgą naszych czasów – sztuka, którą napisał, jest wybitna. A następnie pokazał, że nad materia filmową potrafi panować nie gorzej niż nad dialogami pisanymi z myślą o teatralnych deskach.

„Ojciec” to film francusko-brytyjski, nakręcony siłami głównie koalicji producentów telewizyjnych, za śmieszne – jak na świat kina – pieniądze: 6 mln dol. Symbol siły i specyfiki europejskiego kina, które nie może się ścigać z Amerykanami na budżety, ale ma do zaoferowania emocje i refleksje zupełnie innego rodzaju. Zauważmy jednak od razu, że Florian Zeller niezwykle prze-myślnie wybrał partnerów swego przedsięwzięcia: scenariusz napisał Christopher Hampton, mistrz adaptacji. Człowiek, który z powieści „Niebezpieczne związki” Pierre’a Choderlosa de Laclosa zrobił świetną sztukę, a potem scenariusz głośnego filmu Stephena Frearsa. Który adaptował dla kina powieści Grahama Greene’a, Josepha Conrada, Malcolma Bradbury’ego czy Anity Brookner, stworzył dla Agnieszki Holland scenariusz „Całkowitego zaciemnienia” i zdołał nawet przygotować filmową wersję powieści niefilmowalnej („Pokuty” Iana McEwana) dla reżysera Joego Wrighta.

Za adaptację „Pokuty” był Hampton do Oscara nominowany, za „Niebezpieczne związki” statuetkę dostał. Scenariusz filmu „Ojciec” przyniósł mu drugiego Oscara – w pełni zasłużonego. Pozostałe nagrody pewnie przestał już zliczać. Inna sprawa, że nie sądzę, by człowiek piszący libretta dla Philipa Glassa albo przekładający w wolnym czasie dramaty Czechowa potrzebował jeszcze dopieszczać się jakimiś dodatkowymi wyrazami uznania. Filmową wersję „Ojca” tworzył z autorem i reżyserem, czyli Florianem Zellerem, wcześniej zresztą tłumaczył jego sztukę z francuskiego na angielski.

HOPKINS W SZCZYTOWEJ FORMIE

Mamy więc wybitny tekst, ale mamy i genialnego interpretatora. Drugi Oscar dla filmu „Ojciec” trafił do rąk najwybitniejszego żyjącego aktora naszych czasów, którym jest Anthony Hopkins. Sir Anthony nominowany był do nagrody Akademii

Na ekranie nie dochodzi do odegrania dramatu, ten dramat nas ogarnia, znajdujemy się we wnętrzu osoby, która na naszych oczach po kawałku umiera

Filmowej sześciokrotnie, pierwszego Oscara dostał zaś niemal 30 lat temu, za rolę Hannibala Lectera w „Milczeniu owiec”. Teraz dokłada na półkę kolejną statuetkę. Dokłada z wyjątkowym spokojem: kiedy ogłaszano decyzję Akademii, Hopkins spał smacznie we własnym łóżku w Anglii, bo go rozmaite ceremonie już niespecjalnie obchodzą. Nie musi już niczego nikomu udowadniać, na swoje miejsce w historii kina i teatru zasłużył już dawno. A jest to miejsce tak godne, że możemy przez palce patrzeć na rozmaite ostatnie zajęcia, którym się, zapewne dla pieniędzy, ostatnimi czasy Hopkins oddaje. Role w podrzędnych thrillerach, jak choćby „Ukojenie” albo „Wirtuoz”, nadają się tylko do szybkiego zapomnienia.

W filmie Floriana Zellera dostajemy jednak Hopkinsa w szczytowej formie, kreacja, którą tworzy w roli dotkniętego demencją bohatera, to jedno z jego największych osiągnięć w karierze. Niektórzy powiedzą nawet: największe. Godnie partneruje mu Olivia Colman w roli córki – jakże dobre lata przeżywa brytyjska artystka, nagrodzona dwa lata temu Oscarem za główną rolę w „Faworycie” i grająca niedawno królową Elżbietę II w serialu „The Crown”. Precyzji narracji towarzyszy precyzja aktorska. Anthony Hopkins każdy gest, każde zmruczenie oka, każde drgnięcie głosu wykorzystuje, by dołożyć coś do tej wybitnej – powtórzę – kreacji. Widzimy go cierpiącego i śmiejącego się; widzimy go odrzającego i uroczego, widzimy ponizzonego i wystraszonego oraz nieczułego i brutalnego. On nie gra głównego bohatera, on nim jest, na ekranie nie dochodzi do odegrania dramatu, ten dramat nas ogarnia, znajdujemy się w jego wnętrzu – we wnętrzu osoby, która na naszych oczach po kawałku umiera. Tym przecież jesteśmy: sumą naszych doświadczeń i wspomnień. I z każdą odebraną nam twarzą, rozmową, zdarzeniem śmierć, czyli niepamięć, wygrywa.

Kadr z filmu Doroty Kędzierzawskiej
– „Żużel”. FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Filmowcy jak gimbaza, znając swoją bezkarność, popisują się sami przed sobą, kto wygra zawody w pluciu na odległość lub puści mocniejszego „bengala”. Odwaga potaniała do stanu zerowego, a za publiczne pieniądze można obrażać „na żywo” nawet prezydenta RP, a zmęczonej „dobrej zmianie” podłożyć „dla draki” kilka pinezek.

PIERWSZA PINEZKA

Piąty rok czeka na premierę dzieła reżyserki Doroty Kędzierzawskiej pt. „Żużel”. Kolejne wersje filmu były wycofywane z FPFF w Gdyni, prezentowane na innych krajowych festiwalach, a Tomasz Ziętek, grający żużlowego mistrza, miał w trakcie zdjęć 26 lat, a obecnie ma 32 lata i za chwilę będzie aktorem średniego pokolenia.

Scenariusz filmu przedstawia kilka miesięcy z życia krnąbrnego młodego żużlowca, pochodzącego (oczywiście) z biednej katolickiej rodziny w upadłym polskim miasteczku. Żużel to jedyna możliwość awansu społecznego. Niestety, reżyserka Kędzierzawska zamiast oddać się realizacji pasjonującego sportowego melodramatu, postanowiła w 2016 r. okraść realizowany film nachalną „poprawnością polityczną”. Rolę dobrotniwe-

Pinezki od filmowców



Remigiusz Włost-Matuszak

Dzisiaj za publiczne pieniądze można obrażać, kogo się chce

go, poczciwego proboszcza powierzyła (dla hucpy) redaktorowi „Gazety Wyborczej” i OKO.press Jackowi Hugo-Badero-wi, znanemu głównie z prowokacyjnej roli Murzyna na Marszu Niepodległości w 2016 r. „Ksiądz Hugo-Bader” zostaje

za swoją chrześcijańską dobroć karnie zesłany na daleką misję, a jego miejsce zajmuje młody pazerny karierowicz, który organizuje ruch antyaborcyjny, do którego włącza się matka żużlowca. W scenariuszu reżyserka Kędzierzaw-



Caligari”, skazanego prawomocnie za współudział w pospolitym morderstwie! Są nieprzekraczalne granice przyzwyczajenia i Szumowska je przekroczyła. Aktor Nasierowski, partnerujący nawet Elżbiecie Czyżewskiej i Poli Raksie, w 1965 r. zaczął dokonywać włamań do domów swoich przyjaciół (!) i znajomych. Potrzebował środków na wesołe życie. W 1972 r. jego 18-letni kochanek wraz z innym złodziejem dokonał napadu na mieszkanie zamożnej aktorki Miry Zimińskiej (kolekcjonowała złote 20-dolarówki, czym się chwaliła). Aktorki nie było w domu i zamiast niej uduszono służącą Annę W. Nasierowskiego wyspał jego kochanek, inny znany aktor, a sąd za współudział wymierzył Nasierowskiemu 25 lat więzienia. Wszystko to opisał w swojej książce pt. „Zbrodnia i...”. W 1982 r. tow. Henryk Jabłoński, robiąc gest pojednawczy wobec „elit”, ułaskawił go. Obecnie aktor publikuje wredne teksty w „Nie” Urbana. Szumowska, znając „okólnik” Amerykańskiej Akademii Filmowej (Oscary) o konieczności prezentowania w zgłaszanych filmach pozytywnego wątku o LGBT, nie tylko obsadziła w jednej z ról Nasierowskiego, lecz także zamieściła długą scenę „imprezki dla licealistów”, gdzie wychudły transwestyta wykonuje taniec umiarkowanego łabędzia. Niestety, zarówno jury MFF w Wenecji, jak i amerykańscy selekcjonerzy Oscarów 2021 totalnie zignorowali, oficjalnie zgłaszane przez PISF, dzieło Szumowskiej. Nie pomogła nawet plansza „ekologiczna” na końcu filmu, alarmująca, że w Europie „śniegu już nigdy nie będzie”.

TRZECIA PINEZKA

W ramach „dojenia” Zachęt – funduszu filmowego MKDNIŚ/PISF (ok. 240 mln zł rocznie) – meksykański debiutant popełnił „odważny” antykatolicki film (przemilczam nazwisko reżysera i tytuł filmu – po co mu robić reklamę?). W roli rozmodlonego księdza (w języku hiszpańskim, bo film dzieje się w Meksyku) reżyser obsadził aktora-sztandar LGBT, czyli samego Jacka Poniedziałka.

Fabuła jest prosta – do ośrodka wakacyjnego należącego do elitarnej prywatnej katolickiej szkoły leżącego u stóp Sierra Madre przyjeżdża 40 uczniów. Wkraczamy w świat 13-, 14-latków indoktrynowanych i manipulowanych przez opiekunów – starszych księży. Jesteśmy świadkami długich modlitw – „Ojcze nasz” po hiszpańsku,

wyznanie wiary po łacinie według ryty trydenckiego. Jacek Poniedziałek modli się na kolanach! Jest katolicką opoką i uosobieniem prawdziwej wiary. Chłopcy są brutalni jak z filmu pt. „Władca much” według noblisty Williama Goldinga. Gnębią ubogie stypendystę ze slumsów, bez przerwy szukają wśród siebie „pedałów”, istot gorszych od siebie. Są zdolni do napadu na biedną meksykańską wioskę, a nawet do usiłowania zabicia niewinnej wieśniaczki. Są po prostu poddani wychowawczej manipulacji rodem z obozów Hitlerjugend czy włoskiej Balilli Mussoliniego. Klerofaszizm w czystej postaci. Księża organizują sfingowany napad. W konsekwencji ksiądz dyrektor dusi zbyt szczupłego 13-latką, „słabsze ogniwo” niepasujące do koncepcji Młodych Rycerzy Chrystusa.

Aby zrozumieć perfidię tego filmu, dzielnie wspomaganego przez Poniedziałka, należy poznać kontekst Cristiady z lat 1917–1929, gdy lewicowy rząd zamordował 50 tys. powstańców – Cristeros, w tym setki księży i zakonników. Przypomnijmy, że za odprawienie mszy świętej groziło rozstrzelanie. Jacek Poniedziałek swoje impresje z realizacji filmu w Meksyku opisał w książce „bestsellerze” pt. „(NIE) dziennik”. Pomstuje w nim: „Czemu nasze dzieciaki mają tego pecha, że przychodzą na świat w tak spiętym, wrogim bliskości, agresywnym i pełnym nienawiści narodzie?”. Relacjonuje swoje miłosne podboje LGBT w Cancún. Jacek Hugo-Bader, Jerzy Nasierowski, Jacek Poniedziałek – kto następny zagra w polskim filmie? Trynkiewicz? Kapitan Piotrowski?

Jak widać, totalna opozycja w środowisku filmowym jest w świetnym humorze. MKDNIŚ prowadzi wobec niej politykę „nieotwierania frontów” i jednocześnie „skracania” ich. Układ rodzinny Holland-Łazarkiewicz-Komasa – „krewni i znajomi królika” – kontroluje sytuację. Po co robić ryzykowne napady na bank czy kantor? Wystarczy pofatygować się do „bankomatu” przy Krakowskim Przedmieściu. Czy MKDNIŚ nie zdaje sobie sprawy, że „hucpiarze” mają dla całego „resortu” jedynie nienawiść albo pogardę?

Jakie filmy wejdą na ekrany w wyborczym roku 2023, a jakie nie powstaną i tym samym nie wejdą? Ile głosów Zjednoczona Prawica straci wśród młodych widzów? Czy powstanie rząd koalicyjny? A resort kultury przejmie koalicjant ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ska jawnie kpiła z Ruchu Światło-Życie (założonego przez ks. Franciszka Blachnickiego). W ostatniej filmowej wersji „odważny” wątek antyklerykalny został mocno ograniczony, ale Hugo-Bader pozostał. Tego się już nie dało wyciąć. Budżet wynosił 7,3 mln zł, a reżyserka zażyczyła sobie 290 tys. zł za scenariusz i scenopis oraz 250 tys. zł za reżyserię. Razem 540 tys. zł (jej film to jeden z kilku bardzo drogich polskich filmów). A jak się okazało, dysponując budżetem ok. 750 tys. zł (!), można zrealizować nadszyczenie udany film fabularny i już sześcioma tytułami (z pierwszej serii) PISF może się pochwalić. A więc są dwie szkoły filmowe w Polsce – „bankomatowa” – przychodzisz i dostajesz według życzenia, i druga normalna – dla pasjonatów sztuki filmowej.

DRUGA PINEZKA

„Żużel” żużlem, ale oto Małgośka Szumowska zaprezentowała na Bieniale w Wenecji w 2020 r. swoje kolejne bezkompromisowe dzieło za 9 mln zł pt. „Śniegu już nigdy nie będzie”, w którym obsadziła Jerzego Nasierowskiego, 87 lat, w roli wyższego urzędnika państwowego poddającego się hipnozie. No i mamy na ekranie upiornego Nasierowskiego, rodem z „Gabinetu doktora



FOT. MATERIALY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Roboty i kłopoty



★★★★★
REŻ. MIKE RIANDA
„MITCHELOWIE KONTRA MASZYNY” („THE MITCHELLS VS. THE MACHINES”)
 USA 2021, ANIMOWANY, NETFLIX

Mitchellowie to rodzina sympatyczna, ale z problemami. No i właśnie się rozsypuje. Córka wyrusza na studia, syn pogrąża się we własnym świecie fascynacji dinozaurami, a rodzice zastanawiają: W którym momencie straciliśmy kontakt z własnymi dziećmi? Ostatnia wspólna wyprawa samochodowa przez Stany zapowiada się na malowniczą katastrofę, dochodzi jednak do czegoś dużo bardziej spektakularnego: buntu maszyn.

W komediowej, animowanej formie film opowiada historię z jednej strony podobną do powieści „Robokalipsa” (którą miał ekranizować Spielberg), a z drugiej do disneyowskiego hitu „Wall-E”, bo podobnie jak w tym ostatnim

kpi z ludzkiego wygodnictwa i uzależnienia od technologii (tu przede wszystkim smartfonów). Dla rodziny Mitchellów koniec świata okaże się jednak nowym początkiem, bo ich dziwactwa (zwłaszcza smykałka do majsterkowania) okażą się kluczowe w walce ze zbuntowaną sztuczną inteligencją.

Historia jest nierówna: animacja wyszła świetnie, scenariusz ma mizerny, bo – zwłaszcza w pierwszej części – postaci nakreślono zbyt grubą kreską: głowa rodziny jest nazbyt antypatyczna, a mama – poza finałowymi partiami filmu – okazuje się przydatna jedynie do wydawania westchnień i okrzyków. Ale są i partie kapitalne, proszę spojrzeć na sekwencję walki ze zbuntowanymi maszynami w opuszczonym

centrum handlowym – śmiałem się szczerze i spontanicznie jak za czasów pierwszych spotkań ze „Shrekiem”. To samo dotyczy wątku dwóch niesprawnych robotów pomagających Mitchellom.

Autorem scenariusza i reżyserem jest Michael Rianda, który doświadczenie zdobywał jako scenarzysta świetnej serii animowanej „Wodogrzmoty Małe”. Jako producenci pomagali mu Phil Lord i Christopher Miller, czyli twórcy hitowej animacji „LEGO. Film” oraz zdobywcy Oscara za animowany „Spider-Man Uniwersum”. „Mitchellowie kontra maszyny” to całkiem niezły wybór na seans rodzinny z okazji Dnia Dziecka, ale z jednym zastrzeżeniem. Sugestia (na końcu opowieści), że zafascynowana kinem dziewczyna w wielgachnych okularach musi oczywiście być lesbijką, jest tak samo obraźliwa i wykluczająca jak stwierdzenie, że każdy, kto interesuje się modą, musi być homoseksualistą, a czarni nadają się jedynie do gry w koszykówkę. ©©



NOWE SERIALE: „ZBRODNIĄ STULECIA”

Alex Gibney, autor filmów dokumentalnych demaskujących scjentologię czy działania Enronu, tym razem opowiada o kryzysie opioidowym w USA. Rzecz o naginaniu reguł, korumpowaniu lekarzy i ogromnych zyskach, a także o tragedii pacjentów, którym mówiono, że nowe pigułki przeciwbólowe nie prowadzą do uzależnienia.

Tymczasem głównym ich składnikiem jest substancja, którą znaleźć można w opium czy heroinie. Dwuczęściowa produkcja jest chwilami zbyt monotonna, ale robi wielkie wrażenie. ©©

reż. Alex Gibney „Zbrodnia stulecia” („The Crime of the Century”),
 USA 2021, HBO

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- **reż. Doug Liman „Ruchomy chaos” („Chaos Walking”),** USA 2020 **CINEMAX**
- **„Przyjaciele: Spotkanie po latach” („Friends: The Reunion”),** USA 2021 **HBO**
- **reż. Inon Shampanier „Pajęzki z papieru” („Paper Spiders”),** USA 2019 **CINEMAX**

Dama z siekierą

KINO

Godzina rozpaczy, godzina buntu, godzina nadziei i godzina zwątpienia upchnięte w 30-minutowym seansie. Pierwszy anglojęzyczny projekt Almodóvara jest trawestacją sztuki Jeana Cocteau, drzewiej zekranizowanej przez Roberta Rosselliniego. Bohaterka, z zawodu aktorka, trzy dni po rozstaniu z kochankiem wciąż pozostaje w szoku. W autoterapii wzgardzonej kobiety niebagatelna rolę odgrywają rekwizyty: męski garnitur, siekiera, pigułka, kanister z benzyną i – przede wszystkim – telefon komórkowy. Rzadko zdarza się film tak starannie wystylizowany. Scenograf Antxón Gómez sprawił się aż za dobrze. Zawartość szafy i wystrój apartamentu damy

ze złamanym sercem odciągają uwagę od fabuły. Cocteau był mizoginem, Almodóvar, znawca kobiecej natury, nie lubi pań uległych. Do monodramu potrzebował kogoś z ikrą, oryginała i melancholika, zdolnego jednak do wyrazistej ekspresji. Wybór okazał się oczywisty. Gdyby Tilda Swinton nie istniała, trzeba by ją na użytek „Ludzkiego głosu” wymyślić. Film, jakkolwiek błyskotliwy, jest w gruncie rzeczy unikiem. Hiszpański skandalista wie, skąd przyszedł, ale wciąż nie zdecydował, dokąd pójdzie. Postscriptum, czyli 45-minutowa rozmowa krytyka Marka Kermode z aktorką i reżyserem, udziela tylko częściowej odpowiedzi na to kluczowe pytanie. ©©



★★★★★
REŻ. PEDRO ALMODÓVAR
„LUDZKI GŁOS”
 („THE HUMAN VOICE”)
HISZPANIA/USA
2020,
GUTEK FILM

wyst. Tilda Swinton

Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PRAWDA I SPRAWIEDLIWOŚĆ

CDA.pl

Moralitet udający dreszczowiec. W rosyjskim interiorze dochodzi do konfrontacji grupy zde-sperowanych proletariuszy z bezdusznym oligarchą. „Powiedz, dlaczego ty masz wszystko, a ja nie mam nic? Gdzie jest sprawiedliwość?”. Trudno odpowiedzieć na takie pytanie, zwłaszcza gdy adwersarz mierzy do ciebie z kałasznikowa. Gdyby Kaługin próbował chociaż udawać, że obchodzi go los robotników, być może daliby się nabrać i czekaliby cierpliwie na wypłatę zaległych pensji. Arogancja krwiopijcy sprawiła jednak, że postanowili wziąć sprawę we własne ręce... Widać, że reżyser naoglądał się hollywoodzkich thrillerów. Tam jednak bohaterowie nie wdają się w pogawędki o prawdzie i sensie życia. Im bliżej końca seansu, tym bardziej wątpliwa staje się amerykańskość „Fabryki”. Triumfuje dostojewszczyzna z niezastąpioną figurą rewolucjonisty, który działa dla dobra ludzi, ale w głębi ducha nimi gardzi.



wyst. Denis Szwedov, Andriej Smoliakow, Władysław Abaszyn

★★★★★
REŻ. JURIJ BYKOW
„FABRYKA”
ROSJA/
ARMENIA/
FRANCJA 2018

ELEMENT BAJKOWY

► NINATEKA

Gdyby żył, obchodziłby tej wiosny 90. urodziny. Ale i to nie jest pewne, gdyż według dokumentów przyszedł na świat... 31 listopada. Jan Himilsbach – menel i marzyciel, kamieniarz i literat, rzekomy górnik i marynarz, bohater niecenzuralnych anegdot (które najczęściej sam wymyślał) – własny życiorys też lubił ubarwiać. Złamany nos i zdarty głos uczyniły zeń idealnego odtwórcę ról lumpenproletariuszy. Zagrał w 69 filmach, napisał trzy zbiory opowiadań. Kariera zadziwiająca, nawet jak na spauperyzowaną PRL-owską Warszawę, gdzie w melinie i jadalni Czytelnika można było spotkać tych samych ludzi. Dokument powstawał – dosłownie – w bólach. Wobec niemożności ustalenia podstawowych faktów autorzy postanowili przyjąć konwencję na wpół surrealistyczną. Jak mi nie mam, Himilsbachowi, który nie pił alkoholu, lecz „wprowadzał do organizmu element bajkowy”, przypadłoby to rozwiązanie do gustu. ©©



★★★★★
REŻ. MAŁGORZATA ŁUPINA,
STANISŁAW MANTURZEWSKI
„HIMILSBACH.
PRAWDY, BUJDY,
CZARNE DZIURY”
POLSKA 2002

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „MIITOPIA”

A gdyby tak stworzyć awatar samego siebie, przyjaciela z dzieciństwa, muzycznego idola oraz bohatera ulubionej gry i taką drużyną rzucić wyzwanie Dark Lordowi, podobnemu, zupełnym przypadkiem, do – bo ja wiem, no na przykład – teściowej? Witajcie w „Miitopii”, gdzie jest to

możliwe. Spora część zabawy to tworzenie awatarów, które ruszają w prostą, ale wypełnioną sympatycznym humorem opowieść o poszukiwaniu skradzionych... ludzkich twarzy. Zaskakująco przyjemna gra wydana przed laty na 3DS powraca w nieco rozszerzonej wersji na Switcha. Plus



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

za system budowania relacji między bohaterami, system walki i elementy humorystyczne. Minus za totalną liniowość. ©© Radosław Wojtas
• Gatunek: RPG
• Platforma: NS
• Producent, dystrybutor: Nintendo, ConQuest Entertainment a.s.

MOJA PÓŁKA

Bojkowie – koncept etnografów

KRZYSZTOF
MAŚŁÓN

Przy założeniu, że Robert Nowakowski zdobędzie pisarską sławę – a to możliwe, bo autor zdolny, czego dowiódł już pierwszą książką „Człowiek z sową” – w przyszłości może mówić się o nim będzie jak o Tytusie Chałubińskim, który, jak pamiętamy z wiersza Wiktora Woroszyńskiego, wymyślił górali. Jeśli zastosujemy analogię, to Robert Nowakowski w swojej drugiej powieści, „Ojczyźnie jabłek”, wymyślił Bojków. Przynajmniej dla współczesnej literatury polskiej.

A Bojkowie, o czym warto przypomnieć, bo to wcale nieoczywiste, to też górale, tyle że rusińscy. Autor powiada, że samo „określenie »Bojkowie« jest konceptem etnografów. Przyjąłem jednak tę nazwę, bo przecież bohaterowie powieści nie są Ukraińcami ani Polakami, a jednocześnie stanowią pewną wyodrębnioną grupę etniczną. W powieści to właśnie im oddaję głos, ponieważ nigdy wcześniej nie mieli możliwości przemówić publicznie”. Poniekąd dlatego, że nigdy nie wykształcili swojego języka. Sami mówili o sobie „Hyrniacy” lub „Werchowyńcy”. „Bojko” było właściwie przezwiskiem, nadanym im z wyraźnym odcieniem lekceważenia czy nawet pogardy, uważani byli bowiem za lud prymitywny i zacofany. Byli grekokatolikami, pobożnymi, choć w wierze ich znaleźć można było elementy pogańskie, baśniowe, czary i duchy. Geograficznie sąsiedowali z Łemkami na zachodzie i Hucułami na wschodzie.

Powieść Nowakowskiego rozpoczyna się w roku 1945, ale sięga do wydarzeń nieco wcześniejszych, zwłaszcza do okresu między wrześniem 1944 r. a lipcem 1945 r., gdy w Bieszczadach nie było już Niemców, wraz z frontem opuścili również te ziemie Sowietci, a jeszcze nie nadeszło Wojsko Polskie. W tym miejscu warto przywołać wydaną trzy lata temu w Rzeszowie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

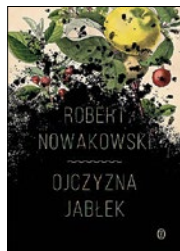
pracę Jarosława Syrnika „Trójkąt bieszczadzki. Tysiąc dni i tysiąc nocy anarchii w powiecie leskim 1944–1945”, z której pisarz czerpał pełną garścią, czego zresztą nie ukrywa, podkreślając, jak wiele skorzystał i z tej, i z innych pionierskich publikacji dotyczących zagłady świata Bojków.

Ten ich świat ginął na raty. Najpierw pół miliona Łemków i Bojków skłoniono do wyjazdu czy raczej wygoniono z Polski do ZSRS. Pozostałych objęto w 1947 r. akcją „Wisła”, w wyniku której znaleźli się na ziemiach północnych i zachodnich. Powrót był niemożliwy, a Bieszczady stały się bezludną krainą. Dla rodziny Rabików, bohaterów „Ojczyzny jabłek”, koniec wojny nie nastąpił nigdy. Do ich bojkowskiej wsi Pasika (w rzeczywistości nieistniejącej) wciąż przychodzili ludzie z bronią. Nie było wiadomo, „czy to partyzantka UPA, czy bojówka Służby Bezpieczeństwa OUN”, czy partyzanci polscy, czy po prostu banda zwykłych rabusiów, podszywających się pod Ukraińców, narodowości polskiej albo słowackiej; mógł to być wreszcie sowiecki oddział, który przekroczył granicę i grabił, podając się za UPA.

Mimo wszystko wysiedlenie potraktowali jako ostatni gwóźdź do trumny. Spodziewać się mogli najgorszego. I rzeczywiście, niektórzy zakwalifikowani zostali jako element podejrzany i skierowani do obozu pracy w Jaworznie, gdzie w podobozie ukraińskim osadzono ponad 3,8 tys. ludzi. Przeszli tam gehennę. Ale i cała reszta w nowych miejscach czuła się fatalnie. Zetknęli się tam z także wyzutymi z domów i ziemi Kresowiakami, którzy mając w pamięci rzeź wołyńską, traktowali ich jak rezunów i banderowców. Byli obcy dla władz, dla nowych sąsiadów, nic więc dziwnego, że młodzi uciekali do miast i próbowali się tam wtopić w masę ludzką, niczym się nie wyróżniając, co wcale nie było łatwe. Taki los wybrała Nina, narzeczona Jelka Rabika, której doświadczenia nauczyły ją wyłącznie nienawiści, skupionej zresztą nie na kim innym jak na Polakach.

Jakby mało było bojkowskich nieszcześć, Nowakowski wprowadził do powieści postać cadyka Mozeza ukrywanego podczas okupacji niemieckiej przez Rabików, co samo w sobie wydaje się wprawdzie nadto fantastyczne, ale umożliwiło autorowi „Ojczyzny jabłek” opowiedzieć równoległe o zagładzie żydowskiego świata. Do czego znów przyczynić się mieli Polacy.

W odautorskim słowie Robert Nowakowski powiada, że „skutkiem ubocznym narracji z punktu widzenia jednej strony konfliktu jest nieuchronne wrażenie wypaczenia obrazu drugiej strony, co nie było moim zamiarem”. Tego ostatniego nie byłbym pewny, jako że książka sprawia wrażenie głęboko przemyślanej. A fragmenty jej pozostaną w pamięci czytających na długo, podobnie jak cytaty, takie jak ten: „Mieszkańcy Pasiki bali się zawsze złych mocy i czarowników, duchów i upiórów samobójców i Czarnego Boga. Tymczasem należało bać się tylko ludzi”. ©©



★★★★★

ROBERT
NOWAKOWSKI
„OJCZYŻNA
JABŁEK”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE,
KRAKÓW 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

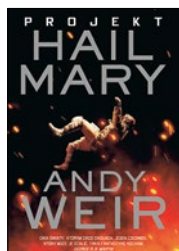
Damy radę

Andy Weir w nowej książce proponuje czytelnikom łamigłówkę skonstruowaną wedle zasad podobnych do tych z jego przebojowego debiutu, którym była powieść „Marsjanin” (z ekranizowaną z bigiem przez Ridleya Scotta). Przypomnijmy: efektywna robinsonada, w której pozostawiony na Czerwonej Planecie astronauta musi wykombinować, jak używając skąpych zasobów, przetrwać do chwili pojawienia się szansy na ratunek. Podobne zmagania były źródłem suspense w filmie „Apollo 13”: czy mamy na pokładzie coś, co da się wykorzystać jako substytut zepsutej części?

Na bohaterze „Projektu Hail Mary” ciąży jednak dużo większa odpowiedzialność, bo stawką jest los całej ludzkości. Ryland Grace budzi się na pokładzie statku kosmicznego, którym podróżują jeszcze dwa trupy. Pierwsza zagadka: skąd się tu wziął i kim jest (bo z początku pamięć szwankuje)? Druga zagadka: dokąd leci statek i co jest celem misji? Trzecia zagadka... No cóż, zagadek przybywa, a ja nie mogę zdradzać ich rozwiązania, bo zepsułoby to czytelnikowi całą przyjemność.

Mogę jednak powiedzieć, że skala rozgrywki jest dużo większa: niepokojące rzeczy dzieją się w naszym Układzie Słonecznym, bezpośrednia okolica gwiazdna też nie jest bezpieczna. Nie bez powodu statek, którym podróżuje, nazywa się „Hail Mary” – sprawy zaszły tak daleko, że trwa rozpaczliwa misja ostatniej szansy. Główny bohater nie będzie sam, choć na towarzystwo poczekać musi niemal do dwusetnej strony. Nie zmienia się jedno: wszystko w jego rękach i głowie.

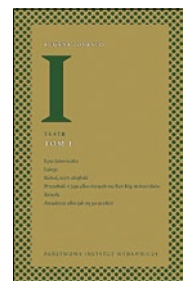
Narzekam na poprzednią powieść Weira („Artemis”), bo była błaża i wtórna, w dodatku wejście w skórę młodej kobiecie bohaterki wyszło autorowi tak sobie. „Projekt Hail Mary” pochwałę za bardzo zręczną i zaskakującą żonglerkę znanymi pomysłami. Ułożyć z nich nową i intrygującą całość to spora sztuka. Witam także z radością optymizm, ciepło i niezachwianą wiarę w to, że człowiek da radę nawet w skrajnie niesprzyjających okolicznościach. Brakuje nam bardzo takiego podejścia we współczesnej popkulturze, która albo maluje mroczne obrazy niedalekiej przyszłości, albo ucieka w czystą fantazję. Druga sprawa: w science fiction Weira to science jest najważniejsza (i jakże pomyślowa). Rzadka rzecz w czasach uprzedzeń antynaukowych – nie tylko w literaturze. ©©



★★★★★
ANDY WEIR
„PROJEKT HAIL MARY”
WYDAWNICTWO AKURAT 2021

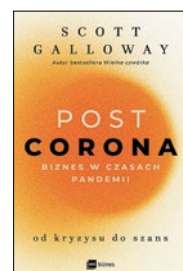
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Trzytomowy zbiór zawierający większość sztuk współtwórcy teatru absurdu, jednego z najważniejszych dramaturgów XX stulecia. Od „Łysej śpiewaczki” do „Nosorożca”, z przedmową Marty Piwińskiego oraz esejem Jana Błońskiego.



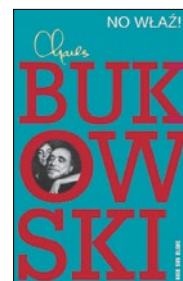
EUGÈNE IONESCO
„TEATR”
PIW

Pisząc o biznesie w czasach pandemii, autor bestsellerowej „Wielkiej czwórki” krytykuje współczesny model kapitalizmu, piętnuje największe korporacje i domaga się od rządów pomocy słabym, nie silnym. Socjalista czy realista?



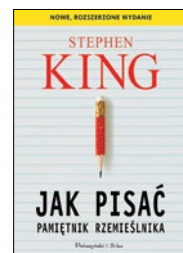
SCOTT GALLOWAY
„POST CORONA”
WYDAWNICTWO MT BIZNES

Obszerny tom nieznanych utworów amerykańskiego skandalisty. Za życia zdecydował, że mają pozostać w archiwum aż do jego śmierci. Bukowski zmarł w 1994 r., tom ukazał się w USA w roku 2006, a teraz – po polsku.



CHARLES BUKOWSKI
„NO WŁAZI”
NOIR SUR BLANC

To nie poradnik, lecz autobiografia autora „Misery”. King szczerze opowiada o swoich demonach: uzależnieniu od alkoholu i środków przeciwbólowych. A dzieląc się listą lektur, pokazuje, jak powstał jego osobny literacki świat.



STEPHEN KING
„JAK PISAĆ. PAMIĘTNIK RZEMIEŚNIKA”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „NAJWYBITNIEJSI NAUKOWCY”

Seria powstała jako kontynuacja jednorazowego przedsięwzięcia, czyli komiksu na dwusetne urodziny Karola Darwina. „A może opowieść o innych postaciach świata nauki?” – pomyślał Jordi Bayarri. Powstały więc niewielkie edukacyjne komiksy doskonale wprowadzające młodszego czytelnika w nieco trudniejsze sprawy. Po polsku ukazały się właśnie dwa



JORDI BAYARRI
„NAJWYBITNIEJSI NAUKOWCY”
EGMONT 2021

tomy: „Darwin” oraz „Maria Skłodowska-Curie”, a w przygotowaniu są kolejne części, których bohaterami są Arystoteles, Albert Einstein i Izaak Newton. Na Dzień Dziecka jak znalazł. ©©

poleca Piotr Gociek

Tulia autorsko



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Szczecińskie trio Tulia zasłynęło spektakularnymi aranżacjami światowych i polskich przebojów. Folkowe interpretacje przyniosły mu rozpoznawalność, otworzyły drzwi do studia nagraniowego i zapewniły bilet do Tel Awiwu na Eurowizję w 2019 r. Pierwsza płyta, „Tulia” z 2018 r., była mieszanką coverów i autorskich kompozycji. Wydany

niedawno „Półmrok” to pierwszy album zawierający wyłącznie autorskie utwory Tulii.

Na nowy album szczecińskiego zespołu, który tworzą obecnie trzy wokalistki: Tulia Biczak, Patrycja Nowicka, Dominika Siepka, składają się piosenki napisane przez Sonię Krasny i skomponowane przez Nadię Dalin. To duet, który odpowiada

za poprzednie autorskie kompozycje Tulii, takie jak „Jeszcze cię nie ma” czy „Fire of Love (Pali się)” (ten drugi utwór jest jednym z bonusowych tracków na płycie). Nie zmienił się także producent muzyczny. Ponownie jest nim Marcin Kindla. Znowu mamy mieszankę folku i nowoczesnych brzmień, instrumentów etnicznych, klawiszowych, perkusji i gitar, nowoczesnej

produkcji i białego śpiewu... „Półmrok» to pełna emocji, uczuć i sprzeczności opowieść o relacji dwojga ludzi. Los jest nieprzewidywalny, a życie pisze różne scenariusze. Wcielamy się w role narratorek. Wysłuchajcie naszej opowieści o zmartwieciu, smutku, żalu, rozpaczy, gniewie, samotności, ale też radości, nadziei i sile” – mówi wokalistki.

Pierwsza płyta Tulii sprzedała się znakomicie i pokryła się platyną. O reklamę szczecinianki nie musiały się martwić. Ich wersję „Enjoy the Silence” pochwaliło w społecznościówkach Depeche Mode, a cover takich marek, jak Obywatel G.C., Wilki, O.N.A., Seweryn Krajewski, Stan Borys, Dawid Podsiadło, robiły swoje. Drugi album bronić się musi sam. Wiele wskazuje na to, że zrobi to skutecznie. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Outsider z wyboru

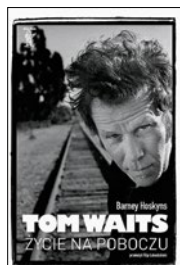
To wyjątkowa biografia, mimo że powstała wbrew bohaterowi. Jak żadna wcześniejsza nie przedstawia tak dogłębnie historii Toma Waitsa, który wykreował niezwykłą, artystyczną postać znaną jako Tom Waits.

Barney Hoskyns, ceniony brytyjski dziennikarz oraz autor 17 książek, umiejscowił opowieść o jednym z najwybitniejszych twórców rockowych zarówno w kontekście historycznym, jak i kulturowym. Omawiając, przykładowo, albumy Waitsa, skupia się na rozszyfrowaniu tekstów, które zawierają odniesienia do życiorysu Toma, ale też postaci literackich i wydarzeń społecznych.

Waits zadebiutował na początku lat 70., w czasach rozkwitu

kalifornijskiej sceny autorskiej. Zamiast być jednym z natchnionych posthippisów, postawił się w opozycji do niebawale komercyjnego nurtu. Stworzył wizerunek artysty lumpa, który zamiast „przenieść się na wieś”, wybrał świat nocnych barów, prozy bitników oraz Bukowskiego, kryminałów noir i bebopu.

Ta wciągająco opowiedziana historia oparta jest na doskonale dobranych cytatach z wypowiedzi prasowych i telewizyjnych Waitsa (Hoskyns kilkakrotnie rozmawiał z bohaterem) oraz tych, którzy „odważyli się” porozmawiać z autorem. Czytając książkę, nieuniknione jest równoległe odtwarzanie płyt Waitsa. Szczególnie że dobrze znane piosenki nabierają nowych treści. ©©



★★★★★
BARNEY HOSKYNs
„TOM WAITS
– ŻYCIE NA
POBOCZU”
KOSMOS KOSMOS



★★★★★
VOO VOO
„NABROIŁO SIĘ
(1986–2021)”
ART2

Z okazji jubileuszu 35-lecia istnienia zespół wydał kompilację z 35 nagraniami. Trzy pierwsze pochodzą z legendarnej „Jedynki”, a ostatnim jest wiosenna wersja standardu „Nim stanie się tak, jak gdyby nigdy nic”. Idealny przewodnik po twórczości ważnego zespołu.



★★★★★
FISZ EMAIDE
TWORZYWO
„KONCERT”
GRAND IMPERIAL

Pierwszy koncertowy zestaw braci Waglewskich wydany wyłącznie na płytach winylowych. Album „opowiada historię miłosną w trudnych, rozpolitykowanych i niepewnych czasach”. Nie mogło zabraknąć „Polepionego”, „Telefonu” czy pięknie jazzujących „Saren”. ©©

Wczasach służ-
nie minionych
telewizja, o czym
zgrabnie opowiadał

Jacek Klejff, poza zawsze najważniejszą indoktrynacją polityczną zajmowała się pokazywaniem tego, jak to „wykrył pies bimbrownię na czas, wycinanki robi wujek” oraz „jak smarować margaryną”. Od tamtej pory minęło pół wieku i nie tylko nauczyliśmy się posługiwać widelcem i nożem, lecz także nawet poznaliśmy tajniki jedzenia ptysi (nie chodziło o bezy, jak się powszechnie mniema), co oczywiście pozostaje wiekopomną zasługą byłej pierwszej damy Jolanty Kwaśniewskiej i niezrównanej telewizji z ul. Wiertniczej.

Dzisiaj, gdy szczególnie w godzinach przedpołudniowych z pilotem w ręku nadaremnie szukamy programu, w którym nikt akurat nie smaży, dusi, gotuje czy przyprawia, lata, w których Maciej Kuroń stawiał pierwsze kroki w dziedzinie pichcenia na szklanym ekranie, wydają się prehistorią. Nie chcą w nie uwierzyć prezenterzy rozmaitych „śniadań na ekranie”, których zmusza się do degustowania przyrządzanych smakołyków z przyklejonym do twarzy wyrazem błogostanu, podczas gdy dogmatem stało się zdanie, którym dawno temu francuska piosenkarka i aktorka Juliette Gréco rozpoczęła swoje pamiętniki: „Gdy postanowiłam zrobić karierę, przestałam jeść chleb”.

W gruncie rzeczy pogodzić się z tym nie jest aż tak trudno, w końcu nie tylko Chrystus napominał szatana, że „Nie samym chlebem żyje człowiek”, ale prawdziwość tych słów potwierdzali także pisarze sowieccy, np. Władimir Dudincew, umieszczając je w tytule swojej powieści. Przodujący ustrój przekonywał o tym aż nadto, co skonstatowaliśmy także w naszym

W filmie „Wielkie żarcie” Ferreri pokazał ludzi, którzy zredukowali swoje istnienie do fizjologii, nad którą przestali panować

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Krzysztof Masłoń

Dieta MŻ

kraju, nie wszyscy może, ale z pewnością Stefan Niesiołowski, w latach komuny odżywiający się, jak wiadomo, mirabelkami i szczawiem.

Od czasu, gdyśmy się zeuropeizowali, wymieniliśmy w menu marne owoce na wykwinne owoce morza, zapominając o przestrodze udzielonej prawie 50 lat temu przez Marca Ferreriego w pokazywanym wtedy w Polsce tylko na Konfrontacjach, filmie „Wielkie żarcie”. Z grubsza chodziło w nim o to, że czterech znajomych postanawia umrzeć z przeżarcia. Przy okazji chędożą na potęgę i, rzeczywiście, kolejno umierają, a przystawką do pochłanianych w gargantuicznych ilościach przepiórek, pasztetów, tart i tortów są ostrygi, w których zjadaniu się ścigają. W filmie nagrodzonym przez krytyków w Cannes doszukiwano się społecznej metafory, jako że bohaterowie „Wielkiego żarcia” dokonują samozagłady przez konsumpcję. W istocie Ferreri pokazał ludzi, którzy zredukowali swo-

je istnienie do fizjologii, nad którą przestali panować.

Cóż, ośmiorniczki nie tylko są u nas drogie (po obłożeniu ich podatkiem), lecz także groźne, o czym przekonali się nazbyt rozmowni politycy. Artyści są pod tym względem znacznie mądrzejsi. Aktor Jan Nowicki, gdy w wojażach Starego Teatru zwiedzał obce kraje, prowadzany był do szykownych lokali gastronomicznych, w których raczono go homarami, langustami, ośmiornicami, że o ostrygach nie wspomnę. Wybitny aktor wzdychał wówczas: „Ach, gdyby tak podano mielonego!”.

Inny świetny aktor, Wojciech Siemion, kreujący postaci jeszcze bliższe naszym może nie nazbyt wyrafinowanym gustom, wsławił się wyartykułowaniem marzenia partyzanta mocno ponoć niedożywionej Armii Ludowej, co zapamiętaliśmy z „Barwalki” Jerzego Passendorfera nakręconych według wspomnień samego Mieczysława Mocza: „Po wojnie pójdę do

lasu, nazbieram grzybów, ugotuję, przypawię i wypieprzę cały gar przez okno!”. Żeby historyjkę dodatkowo spuentować, dodam, że granego przez Siemiona dzielnego partyzanta nazywano w oddziale Elegantem.

Jego receptura na potrawę z grzybów to najznakomitszy przepis kulinarny, z jakim kiedykolwiek zetknąłem się, niczego nie ujmując wysiłkom panów Makłowicza, Okrasy, Brodnickiego i wielu innych mistrzów warzenia stawy, nie zapominając o Magdzie Gessler. Jakże zresztą o niej zapomnieć, gdy za każdym przełączeniem na kanał TVN trafiaam na „Kuchenne rewolucje”. No, czasem na „Doradcę smaku”. Podobnie na kanałach Polsatu wciąż straszy jak nie „Top Chef” to „Hell’s Kitchen”, a już wyłącznie rozkosze podniebienia oferuje Canal+ Kuchnia, z takimi atrakcjami, jak: „Nie bój ryby!”, „Jakubiak rozgryza Polskę”, „U sąsiadów w kuchni”, „Co je Borowicz na Śląsku?” czy „Żołądek czy rozsądek?”.

No właśnie. Próbując odpowiedzieć na tę ostatnią kwestię, doszedłem do wniosku, że najlepiej trzymać się starej, sprawdzonej diety. Nazywa się ona MŻ, czyli „Mniej żreć”. A programy telewizyjne też należy przyswajać umiarkowanie. Szczególnie te kulinarne. ©

Trzeci kryzys POPiS-u

Istotę polskiej polityki ostatnich 15 lat doskonale oddaje słynne dzieło Francisca Goi „Bójka na kije”. Zwaśnieni bohaterowie zakopani w błocie po kolana nie są w stanie od siebie uciec i muszą okładać się do nieprzytomności drewnianymi pałkami. Tak samo dwa największe obozy polityczne, mimo że odczuwają do siebie skrajną niechęć, de facto są na siebie skazane. Gdy w 2005 r. definitywnie skończyły się mrzonki o koalicji PiS i PO, na zgłiszczach tego niedoszedłego sojuszu narodziła się relacja zupełnie innego typu – ponieważ patologiczna, ale jednocześnie z politycznego punktu widzenia niezwykle opłacalna dla obu partii. PiS i PO z biegiem lat radykalizowały swój przekaz, umacniając tym samym swój duopol na scenie politycznej. Wystarczy porównać, jak od 2005 r. zwiększała się liczba osób głosujących na oba obozy. Prawdziwym rekordem okazały się ostatnie wybory do europarlamentu, gdy na Koalicję Europejską oraz Zjednoczoną Prawicę oddano łącznie ponad 83 proc. głosów. Im większa nienawiść między dwoma stronami sporu, tym mniejsze zagrożenie, że ktoś rozbije ten duopol. Groźba powrotu PO do władzy mobilizowała zwolenników PiS, a z kolei postać złowrogiego Kaczyńskiego przywiązywała do Platformy jej żelazny elektorat bez względu na to, jak miernymi liderami byli następcy Tuska. Jak to stwierdził niegdyś Ryszard Czarnecki w rozmowie z „Do Rzeczy”: „Na froncie nie uruchamia się klubów dyskusyjnych”.

Pierwszym zagrożeniem dla tego porządku było pojawienie się na scenie politycznej Ryszarda Petru i jego Nowoczesnej. Tak, dzisiaj Petru jest raczej postrzegany w kategorii politycznego mema, ale nie należy zapominać, że w 2016 r. większość sondaży to właśnie jego wskazywała na lidera opozycji, a w niektórych badaniach przeganiał nawet PiS. Nowoczesna dała się jednak zakrzyczeć salonom III RP i zamiast starać się odróżnić od PO, zaczęła się z nią licytować na antypisowskość. To z kolei oznaczało jej koniec, z czego doskonale zdawał sobie sprawę Grzegorz Schetyna, który umiejętnie opanował kryzys w partii po rządach Ewy Kopacz i na kilka lat zagwarantował Platformie miano niekwestionowanego lidera opozycji.

Drugi kryzys POPiS-u przypadł na wybory prezydenckie w 2020 r., gdy kandydatką PO została, zbierająca w sondażach po kilka procent poparcia, Małgorzata Ki-

FOT. JACEK SZYLOWSKI/FORUM



Jan Fiedorczuk

Posiadając zaledwie pięciu posłów, a samemu w ogóle nie zasiadając w Sejmie, Szymon Hołownia stał się de facto liderem opozycji. To ewenement w historii całej III RP. Polityk-celebryta ma unikatową szansę przebudowy polskiej sceny politycznej. Sam chyba nie zdaje sobie z tego sprawy



dawa-Błońska. To wtedy pojawiło się realne zagrożenie, że do drugiej tury wejdzie polityk spoza PO PiS-u, co paradoksalnie byłoby tyleż niebezpieczne dla Platformy Obywatelskiej, ile dla Andrzeja Dudy. PO zdecydowała się jednak zmienić kandydata i (przy cichej aprobachie Prawa i Sprawiedliwości) wystawiła Rafała Trzaskowskiego. To zagranie „zresetowało” scenę polityczną i na powrót spolarzyowało społeczeństwo, marginalizując Kosińską-Kamysza oraz Hołownię i gwarantując przetrwanie duopolowi.

ZNÓW KRYZYS

Obecnie obserwujemy trzeci kryzys tandemu dominującego polską politykę. W ostatnich tygodniach trudno znaleźć sondaż, w którym PO wyprzedzałaby jeszcze Polskę 2050. Ba, coraz trudniej o takie badanie, w którym Platforma przekraczałaby choćby marne 15 proc. – Trend jest ewidentny: myśmy wykonali tę „mijankę” z PO, kolejne sondaże to potwierdzają – mówi Hołownia w rozmowie z „Rzeczpospolitą”. Jeszcze ciekawiej wypadają jednak wypowiedzi polityków samej PO, którzy przyznają, że ich partia ustępuje pola konkurencji. – Udawanie, że jest świetnie, byłoby nieporozumieniem. Tak, straciliśmy pozycję lidera w opozycji i to jest niewątpliwy fakt. Faktem jest, że tym liderem wyraźnie został ruch Szymona Hołowni – przyznał z rozbrajającą szczerością Bartłomiej Sienkiewicz w programie Wirtualnej Polski. Spadające poparcie ma potężne znaczenie psychologiczne dla polityków PO – partia z takim wynikiem nie może liczyć na wprowadzenie do parlamentu równie licznej reprezentacji jak w ostatnich latach. To z kolei oznacza, że wielu towarzyszy już wkrótce zacznie tęsknić zerkać w stronę będącej na fali Polski 2050. Ta sytuacja rodzi naturalne napięcie na linii Budka–Hołownia. A przynajmniej powinna rodzić, bo sądząc po niemal braku reakcji na przejmowanie kolejnych polityków PO przez Polskę 2050, można sądzić, że Budka nie jest świadom powagi zagrożenia.

Ta sprawa nie sprowadza się do prostych wahań sondażowych. Platforma Obywatelska lata temu porzuciła jakąkolwiek tożsamość. Sami jej członkowie definiują ją jako partię centrum, czego jednak – biorąc pod uwagę jej antypisowską „totalność” – nie można uznać za właściwe określenie. PO już dawno nie sytuuje się w centrum. To nawet dosyć zabawne, jak partia zupełnie pozbawiona

Borys Budka, gdyby był świadom powagi sytuacji, wiedziałby, że głównym zagrożeniem dla jego partii jest Hołownia, a nie Kaczyński

jakiegokolwiek programu stoczyła się na pozycje ekstremizmu politycznego. Gdyby taktyki całkowitego negowania polskiej państwowości, co uprawia PO od 2015 r., nie da się nazwać inaczej niż właśnie ekstremizmem politycznym. Co prawda, bunt wobec struktur państwa pozwolił Grzegorzowi Schetynie zdominować scenę opozycyjną, ale jednocześnie uniemożliwił zwycięstwo nad PiS. Ta strategia doprowadziła do sytuacji, w której głos oddany na PO w rzeczywistości przestał być wyrazem poparcia dla Platformy jako takiej, a stał się wyłącznie głosem sprzeciwu wobec Kaczyńskiego. Innymi słowy: PO – w przeciwieństwie do PiS, SLD czy Konfederacji – przestała się liczyć jako autonomiczny podmiot mający cokolwiek do zaoferowania i stała się jedynie największym antypisem. Wyzbywając się jakiegokolwiek pozytywnego programu, Platforma doprowadziła do tego, że jest coś warta tak długo, jak długo pozostaje największą partią opozycji – tzn. tą, która ma największe szanse na obalenie Kaczyńskiego. Jeżeli jej jedynym atutem jest bycie największym antypisem, to w momencie utraty pozycji lidera sceny opozycyjnej traci jednocześnie swoją rację bytu. Gdy radykalnie antypisowscy wyborcy zorientują się, że to Hołownia ma większe szanse na pokonanie PiS, bez wahania przerzucą na niego swoje głosy.

Oczywiście Platforma Obywatelska to nadal potężna instytucja – struktury, tysiące działaczy, subwencje, rozpoznawalny szyld, przyjaciele z zagranicy oraz wsparcie czułych reflektorów TVN24. Ponadto PO nadal dysponuje Rafałem Trzaskowskim, który już raz ją uratował przed powolnym upadkiem w stylu SLD. Dlatego też prorokowanie o końcu partii Budki jest przedwczesne, co nie zmienia faktu, że trend schyłkowy jest niepodważalny.

SZANSA HOŁOWNI

Sam Szymon Hołownia ma więcej szczęścia niż rozumu. Jego wypowiedzi i działania (vide: poparcie dla Strajku Kobiet) wskazują, że ewidentnie ma ciąg

do lewej strony i czuje potrzebę udowodnienia salonom III RP, że jest jednym z nich. Jednocześnie cały czas nie przekroczył tej cienkiej linii, za którą czeka go los Ryszarda Petru.

Obecnie Hołownia znajduje się na rozstaju dróg – cały czas może jeszcze wybrać między budową nowej partii centrum a kolejną reinkarnacją antypisu. Jeżeli opanuje ten irracjonalny, autodestrukcyjny pęd, który pcha go w stronę opozycji totalnej, jeżeli uda mu się zbudować trwałe struktury oraz zaprezentować się jako nowa partia rozsądku, to ma szansę nie tylko zająć centrum, które osierociła Platforma, lecz także podważyć duopol PO PiS-u rządzący Polską od 2005 r. Zajmując miejsce PO, a jednocześnie nie podejmując jej totalnej narracji, Hołownia złamałby zasady gry, którą lata temu Tusk z Kaczyńskim narzucili całej polskiej scenie politycznej. Tymczasem Borys Budka, gdyby był świadom powagi sytuacji, wiedziałby, że głównym zagrożeniem dla jego partii jest w obecnej chwili właśnie Hołownia, a nie Kaczyński. Dla duopolu PO PiS każdy trzeci gracz jest śmiertelnie groźny.

Postać Hołowni, jakkolwiek wychowanka TVN i „Tygodnika Powszechnego”, nie mobilizuje wyborców PiS, jak robił to szyld PO. Jego całkowita nijakość, brak poglądów, letni katolicyzm czy TVN-owski sznyt mogą oczywiście irytować, ale lider Polski 2050 nie posiada platformerskiego backgroundu, na który składa się choćby osiem lat rządów, postać Donalda Tuska czy katastrofa smoleńska. Hołownia jest cały czas świeży w polityce i nadal ma szansę pójść w poprzek podziałów. Tym samym staje przed szansą przeformułowania zasad, które rządzą polską sceną polityczną od 2005 r. Nie da się jednak tego uczynić bez zdystansowania się od skompromitowanej koncepcji opozycji totalnej, której jedynym jedynym celem jest obalenie Kaczyńskiego. Większość Polaków nie chce bowiem „obalać Kaczyńskiego”, tylko oczekuje jasnej deklaracji, co potem. Do tej pory Hołownia wyraźnie pokazał, że ma ofertę dla liberalnych wyborców zawiedzionych Platformą, teraz musi udowodnić, że jest również otwarty na dotychczasowych zwolenników pracy. Elektorat PiS jest stosunkowo dość szeroki i obok Klubów „Gazety Polskiej” znajdują się tam miliony centrowych wyborców. Jeżeli Hołownia nie wyciągnie do nich ręki, to po prostu utknie w koleinach totalności, cementując dawne podziały, zamiast je burzyć.

Wielu z nas w tych pacyfistycznych czasach zwykło wskazywać z odrazą na zbrodnie wojenne, wspominać hekatombę, pokazywać palcem ludobójców, ale mało kto rozumie, że jednocześnie po raz pierwszy w historii świata nie pozwalamy narodzić się milionom ludzi. Przemykamy oko na śmierć abortowanych dzieci, bo to jest legalne. Zupełnie tak, jakby legalność oznaczała zawsze wybór dobra. Ich agonía odbywa się w warunkach jakże higienicznych, usprawiedliwionych wyborem matki, wśród powszechnej akceptacji i w otoczeniu ludzi w lekarskich kitlach.

W Polsce temat chwilowo przycichł, zmęczył skonfliktowane społeczeństwo i właściwie dla dobra społecznego i tzw. miru domowego należałoby zaniechać mówienia o nim, czyli przemilczeć furtkę, która się otwiera na oścież za sprawą pozornie neutralnej przesłanki o możliwości przerwania ciąży, gdy zagraża ona zdrowiu kobiety, w tym też – zdrowiu psychicznemu. Ginekolodzy ponoć nie zamierzają odwoływać się do tej przesłanki ze strachu przed ryzykiem przy obecnym brzmieniu ustawy, ale to oczywiście jest ich stanowisko oficjalne i trudno oczekiwać, aby w artykułach prasowych pojawiały się inne deklaracje.

Tymczasem wystarczy zerknąć na nieprecyzyjną definicję zdrowia psychicznego według Światowej Organizacji Zdrowia i już wiadomo, że właściwie można upchnąć tu wszystko: „Zdrowie psychiczne to dobrostan, w którym jednostka realizuje swoje możliwości i potrafi poradzić sobie z różnorodnymi sytuacjami życiowymi, jest w stanie uczestniczyć w życiu społecznym oraz produktywnie pracować”. Z tak szeroką definicją każda ciąża może wydać się problemem dla zdrowia psychicznego, bo jeśli miarą wszystkiego ma być dobrostan i wydajność w życiu emocjonalnym, społecznym, zawodowym, to już nie ma miejsca na stres związany z porodem i macierzyństwem.

HISZPAŃSKA PRZESTROGA

Przykład Hiszpanii wydaje się najlepszy, żeby ostrzec przed możliwością popełnienia tych samych błędów, które doprowadziły do tego, że przesłanka o ochronie zdrowia psychicznego stała się tam pretekstem do masowo przeprowadzanych aborcji. I dziś, podobnie zresztą jak w całej UE, jednym z najnie-



FOT. ADRIEN STOCK

Jak zrobić z Polski Hiszpanię



Małgorzata Wołczyk

Przesłanka do aborcji związana ze „zdrowiem psychicznym” kobiety stała się w Hiszpanii pretekstem do masowego zabijania nienarodzonych dzieci

bezpieczniejszych miejsc dla człowieka jest niestety łono jego matki.

W Hiszpanii jedna ciąża na pięć kończy się aborcją, pomimo powszechnego i refundowanego dostępu do środków antykoncepcyjnych, a pigułka „dzień po” jest niemal powszechnie dostępna

w aptekach bez recepty dla dziewczynek od 16. roku życia.

Pierwsze prawo aborcyjne w 1985 r. w bardzo katolickiej przecież Hiszpanii dekryminalizowało przerwanie ciąży w trzech przypadkach: gwałtu (do 12. tygodnia), wady genetycznej, upośledzenia

płodu (do 22. tygodnia) lub jeśli istniało zagrożenie dla zdrowia matki, w tym także psychicznego (do 22. tygodnia). Powołano do życia komisje weryfikacyjne, które miały pilnować przestrzegania założeń tego prawa, ale z nieznanymi przyczynami zniszczono je już w 1986 r. Poza tym psychiatrzy orzekający o ewentualnych przeszkodach w donoszeniu ciąży byli zatrudniani przez prywatne kliniki, którym zależało na jak największej liczbie przeprowadzanych zabiegów refundowanych w całości ze środków publicznych. Psychiatra, który „psuł interes” i zbyt uczciwie podchodził do orzekania stanu psychicznego ciężarnej, nie mógł liczyć na kontrakt.

Dziennik „ABC” informował w jednym z artykułów opublikowanych w 2013 r. o tym, że wnioski z XVII Narodowego Kongresu Psychiatrii w Sewilli, gdzie odbyło się sympozjum na temat „Aborcja a zdrowie psychiczne kobiety”, nie pozostawiały złudzeń co do tego, że aż 96,77 proc. wszystkich aborcji dokonanych na mocy tego prawa z 1985 r. oparto na przesłance o zdrowiu psychicznym kobiety. Gdy weszło w życie bardziej liberalne prawo – Ley Aído, liczba dokonywanych aborcji z powodu stanu zdrowia psychicznego spadła nagle do 7,3 proc., bo ogromna większość – czyli 89,58 proc. – wyniknęła z zastosowania nowej przesłanki, czyli „na prośbę matki” (reszta aborcji wykonana z powodu gwałtu).

I teraz najważniejszy wniosek: ta liberalna ustawa Aído z 2010 r. „O zdrowiu seksualnym i reprodukcyjnym oraz o dobrowolnym przerywaniu ciąży”, która powstała za rządów Zapatero (aborcja na życzenie do 14. tygodnia), po prostu skonsolidowała to, co faktycznie przeprowadzane było w Hiszpanii od 1985 r. poprzez masowe oszustwo prawne z kruczkami w postaci „zagrożenia dla zdrowia psychicznego kobiety”.

Na podstawie oficjalnych statystyk wiadomo już, że od 1985 r. do 2020 r. abortowano ponad 2,5 mln dzieci w Hiszpanii, choć trzeba pamiętać też o czarnym rynku, a zwłaszcza ukrywanych, bo późnych aborcjach, do dziewiątego miesiąca włącznie. I na tym nie koniec, ponieważ od 2001 r. to ówczesna prawica – Partia Ludowa – zezwoliła na sprzedaż „pigułki dzień po” od 16. roku życia i bez recepty. Z szacunków IPF (Instytutu Polityki Rodzinnej) wynika, że w Hiszpanii sprzedaje się ok. 800 tys. sztuk pigułek rocznie, ok. 85 na godzinę.

Pigułka jest szeroko dostępna i darmowa w wielu placówkach zdrowia, centrach edukacyjnych. Jak wielokrotnie alarmowała deputowana VOX Alicia Rubio, dziewczynki nawet 14-letnie faszeruje się tymi pigułkami, aby „uniknąć problemu”. Edukatorzy seksualni nie widzą zdrowotnego problemu w tym, że dziewczynki przyjmują parę razy w roku taką „bombę hormonalną”, której skutki dla zdrowia łatwo przewidzieć.

SKUTKI INŻYNIERII SPOŁECZNEJ

Setki moich rozmów z Hiszpankami o tym, w jaki sposób zdołano w tak krótkim czasie przekształcić arcykatolicką Hiszpanię w bastion postępowości i kraj turystyki aborcyjnej, nie pozostawia wątpliwości: wszystko stało się za sprawą tzw. okna Overtona. Chodzi o sprawdzone metody inżynierii społecznej, przy których zastosowaniu najbardziej ekstremistyczne idee uznawane do niedawna za nieakceptowalne stają się modne, powszechne, oczywiste i pożądane.

Strategię najpierw wprowadza się do języka debaty. I tu znamy już setki przykładów: aborcja nie jest zabójstwem, lecz „przerwaniem ciąży”, dziecko w łonie nie jest człowiekiem, lecz „zlepkiem komórek”, czy ostatnio obserwowana sprytna manipulacja, aby nie mówić Polakom o aborcji eugenicznej (bo ta się źle kojarzy, z eugeniką), więc nagle wszyscy zaczęli pisać o aborcji „embriopatologicznej”. Chodzi o powolne modyfikowanie świadomości społecznej, rozluźnianie zasad, transformację społeczną, która odniosła ogromny sukces na Zachodzie za sprawą edukacji seksualnej w duchu ideologii gender. Cóż z tego, że perwersyjna edukacja seksualna w Hiszpanii naruszała konstytucyjne prawo rodziców do wychowania dzieci w zgodzie z własnymi przekonaniami, gdy kolejne ustawy lewicy ignorowały zapisy artykułów konstytucji, a sam Trybunał Konstytucyjny od 17 lat milczy w sprawie zgodności uchwalonych praw z zapisami hiszpańskiej konstytucji? Wystarczy, że Hiszpania jest posłuszna zapisom WHO i konwencji stambulskiej, a już cała reszta progresistowskich praw znajduje usprawiedliwienie w „prawach zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego kobiet”.

Dla Polaków Hiszpania może i powinna być lustrem, bo tam wciąż blisko społeczeństwa deklaruje się jako katolicy, a jednocześnie niemal stały roczny wskaźnik 100 tys. wykonanych aborcji

na nikim już nie robi wrażenia, łącznie z episkopatem, którego bardziej zajmują bezrobocie wśród młodych czy zmiany klimatyczne. Przesłanka do wykonania aborcji z powodu stanu zdrowia psychicznego wciąż „króluje” w Hiszpanii, jeśli chodzi o terminację późnych ciąży po ustawowym 14. tygodniu.

Ale nie jest to tylko przypadek Hiszpanii, jeden z tamtejszych działaczy pro-life wyjaśnia mi to następująco: „Prawie wszystkie prawa zachodniej Europy zezwalają na wolną aborcję tylko do określonych tygodni ciąży, jednak zawierają specjalną klauzulę, która zezwala na aborcję do dziewiątego miesiąca „w przypadku poważnego zagrożenia zdrowia fizycznego lub psychicznego kobiety”. I w tym tkwi śmiertelnie kruczek prawny, bo wystarczy, że pozbawiony skrupułów psychiatra codziennie rano podpisuje stos standardowych czteroliniowych zaświadczeń lekarskich stwierdzających, że „jeśli kobieta (wolne miejsce na nazwisko pacjentki) nie dokona aborcji, to jej zdrowie psychiczne będzie poważnie zagrożone”. Później podpisane puste zaświadczenia są wypełniane imieniem kobiety po tym, jak zapłaci dużą sumę za zabicie swojego dziecka, które przekroczyło już dozwolony tydzień terminacji ciąży.

Gdy dopytuję, jak to możliwe, że interpretacja prawa jest tak szeroka i wszyscy wiedzą o jej dramatycznych skutkach, otrzymuję art. 12 hiszpańskiego Dziennika Ustaw, który ma wymiar niemal świętego paragrafu: „Dostęp do dobrowolnego przerywania ciąży jest zagwarantowany na warunkach określonych w tej ustawie. Warunki te będą interpretowane w sposób najbardziej korzystny dla ochrony i skuteczności podstawowych praw kobiety wnioskującej o interwencję, w szczególności jej prawa do wolności i rozwoju osobistego, do życia, nietykalności cielesnej i moralnej, prywatności, wolności ideologicznej i niedyskryminacji”.

Wziąwszy pod uwagę dominację nowych fal feminizmu w życiu społecznym, politycznym i prawodawstwie Europy, to kobieta jest tym, kto ustala, co jest „prawem człowieka”, czyli tylko jej samej. To ona ustala status dziecka swoją wolą: może je uznać za człowieka i urodzić, ale może też odmówić mu człowieczeństwa, nazywając „zlepkiem komórek”, i abortować w świetle prawa, które zgadza się na ten darwinizm i prawo silniejszego.



Stanisława Sowińska FOT. OŚRODEK KARTA

Stanisława Sowińska była rewolucjonistką. Na świat przyszła w 1912 r. w Łodzi jako Necha Zalcman. Dzieciństwo spędziła, oglądając biedę wielkich fabrycznych dzielnic. Jako młoda dziewczyna sama pracowała jako robotnica. Wszystko to pchnęło ją ku komunizmowi.

Święcie wierzyła, że tylko ta ideologia może położyć kres niedoli łódzkiej klasy robotniczej. Zakończyć wyzysk „ludzi pracy” przez bezwzględnych kapitalistów i fabrykantów. Sowińska przystąpiła do Komunistycznej Partii Polski (KPP). Ukrywała się przed polską policją, swoje odesiadła w więzieniu.

Przez cały ten czas młoda komunistka żyła nadzieją. Tą nadzieją był Związek Sowiecki. Sowińska czytała z zapartym tchem moskiewskie propagandowe książki i broszury, w których opisywano wspaniałą codzienność „raju robotników i chłopów”. Z zachwytem oglądała zdjęcia przedstawiające szczęśliwe traktorzystki i przodowników pracy.

Komunistka w Sowietach



Piotr Zychowicz

Spodziewała się szklanych domów – zobaczyła kurne chaty. Podróż do Związku Sowieckiego zszokowała młodą polską komunistkę

Cóż za kontrast z biedną, zacofaną Polską! Znakomicie zorganizowane kołchozy i pnące się ku niebu kominy fabryczne.

Czyste, piękne miasta pełne nowoczesnych samochodów. Traktory, maszyny, państwowe żłobki, biblioteki i szpitale.



świecie", choć chyba nie tak to sobie wyobrażała.

Pierwsze spostrzeżenie – obuwie młodego kierowcy ciężarówki, który miał ich zawieźć ze stacji kolejowej na miejsce pracy. Otóż nieszczęśnik ten – mimo strasznego mrozu – na nagie, posiniałe stopy miał wciągnięte tylko liche, za duże kalosze. W trakcie jazdy, żeby się nieco rozgrzać, szofer ów co pewien czas wyciągał „butelczynę” i pociągał z niej kilka małych łyčzków. Ku swojemu osłupieniu Sowińska zauważyła, że nie jest to wódka, tylko... tania woda kolońska.

„Samochód pomykał w dal – wspominała Sowińska. – Przed nami, za nami, z prawej i z lewej, w którą stronę odwróciłyśmy głowę, przesuwaliśmy się bezkresne, błotniste pola, wiało z nich dojmującym smutkiem. Tu i ówdzie nieprawdopodobnie chuda szkapina ciągnęła z wysiłkiem prymitywny sprzęt rolniczy. Daremnie wyteżałam wzrok – robił to również, bardziej ukradkiem, Stefan [tak nazywała męża] – czy nie ujrzę owych pięknych, nowoczesnych zabudowań, owych »szklanych domów«, o których tak marzyliśmy podczas naszych imaginowanych w Łodzi wycieczek po Związku Radzieckim”.

Jak na złość szklanych domów nie było widać. Ale para wkrótce dotarła do kołchozu w Uszaczach, w pobliżu Połocka. Kokoszyn miał zostać operatorem maszyny w miejscowej fabryce lnu.

„Z błota wyłoniła się grupa chałup, przypominały zmurzone ze starości grzyby – pisała Sowińska. – Samochód stanął. Z jednego z tych grzybów wypełzła i człapała ku nam dziwaczna istota. Miała na głowie zmierzwioną strzechę kudłów, skołtuniała wiecheć brody zasłaniała jej twarz, że ledwo widać było nos i oczy. Owinięta w szmaty ze zgrzebnego worka, podarte tak, że trzymały się na ciele jedynie zapewne dzięki sznurowi konopnemu, opasującemu je w kilku miejscach. Łapcie z łyka, również umocowane sznurkiem, zdawały się z nogami tak zrosnięte, że tworzyły naturalną jakby całość – rodzaj kończyn ze zrogowaciałymi stopami.

Chwyciłam Stefana za rękę, wyjąkałam:

– Co to? Kto to?

Stefan zawahał się.

– To chyba kołchoźnik. Nie jestem pewny. A te chałupy to chyba kołchoz.

Zaprotestowałam gwałtownie: – Niemożliwe! Żarty się ciebie trzymają! Chcesz mnie nastraszyć!”.

A jednak Stefan nie chciał jej wcale nastraszyć. Ba, sam był przestraszony. Ta wielka ruina i otchłań ludzkiej nędzy, w której się znaleźli, była właśnie kołchozem. Typowym kołchozem. Ani lepszym, ani gorszym od tysięcy innych ośrodków niewolniczej pracy rolnej rozsianych po całym terytorium czerwonego imperium.

Szybko okazało się, że ludzie sowieccy mieli również swoje wyobrażenia o Polsce. Wychodziło to podczas licznych rozmów prowadzonych z ciekawymi światła kołchoźnikami i kołchoźniczkami.

„– A to u was w Polsce jest? – pytali, pokazując na żarówkę pod sufitem.

– Jest! – odpowiadaliśmy ze Stefanem zgodnie z prawdą.

Kręcili niedowierzająco głowami, dlaczego kłamiemy. Wiadomo przecież powszechnie, że kapitalistyczna Polska tonie w ciemnościach.

– A to u was jest? – pokazywali z kolei na »kołchoźnika« [głośnik radiowęzłowy], ikonę w kacie.

Z czystym sumieniem wyjaśnialiśmy – nie, tego w Polsce nie ma. Początkowo dodawaliśmy, że kto miał pieniądze, nawet robotnik, mógł sobie kupić prawdziwy aparat, ale podobny komentarz wywoływał sprzeciw tak żywiołowy: »To nieprawda!«, że zaniechaliśmy. W końcu na każde z setek pytań, jakimi nas zarzucano, ograniczaliśmy się do krótkiej

odpowiedzi: „tak” lub „nie”, unikając wdawania się w szczegóły”.

Do takich komicznych sytuacji dochodziło nagminnie. Dla Stanisławy Sowińskiej największym znojem było zapewnienie przeżycia małej, dwuosobowej rodziny. Pensja Kokoszyna była głodowa. Zresztą w sklepie nigdy niczego nie było. Ani produktów spożywczych, ani zapalek, ani mydła. Kołchoźnicy siebie samych myli popiołem, a ubrania prali w ługu.

Największym wyzwaniem były właśnie zakupy. Zgodnie z propagandą komunistyczną spośród wszystkich narodów na świecie „ludzie sowieccy” byli wobec siebie nawzajem nastawieni najbardziej życzliwie i empatycznie. Zawsze gotowi do pomocy, do podzielenia się ostatnią kromką chleba z „towarzy-



„KARTA”
NR 106

Uśmiechnięci chłopci i robotnicy budują z zapalem socjalistyczną ojczyznę. „Nie znam innego takiego kraju, gdzie tak swobodnie oddycha człowiek”.

W KOŁCHOZIE

Do Stanisławy Sowińskiej uśmiechnęło się szczęście. Już wkrótce – zupełnie nieoczekiwanie – trafiła do swojej wysnionej krainy szczęśliwości i dobrobytu. Wrażenia z pobytu w Związku Sowieckim opisała we wspomnieniach, których fragmenty zostały opublikowane w nowym numerze „Karty” (106).

W 1939 r. Polska została rozebrana między Niemców i Sowieców. A ona wraz z mężem, białoruskim komunistą Aleksandrem Kokoszynem, znalazła się na terenach zagarniętych przez Sowieców. Konkretnie – w Białymstoku. Tam para zapisała się do pracy na sowieckiej Białorusi i wkrótce z entuzjazmem ruszyła w podróż na Wschód. Po przekroczeniu granicy para rzeczywiście znalazła się w „innym

szem". Tak zaś owa życzliwość wyglądała w praktyce:

„Pierwsze zakupy stały się dla mnie niezapomnianym przeżyciem, ściślej mówiąc – wstrząsem. Kierownik otworzył wreszcie sklep. Do wnętrza runęli ci z konduktu i ci z gromady, którzy znaleźli się na samym przodzie. Kierownik zamknął sklep. Nie otworzył go ponownie, póki tamci nie wyszli tylnymi drzwiami. Do wnętrza wpadli następni.

Znalazłam się wreszcie przy samym wejściu. Szeszenie, otwórz się! Już, już miałam przestąpić upragniony próg, gdy jakieś kołtuniaste chłopisko w szmatach z worka i łapciach z łyka odepchnęło mnie brutalnie łokciem. Znalazłam się na szarym końcu. Sytuacja powtórzyła się kilka razy. Na nic wszelkie próby! Odczekałam, już mniej spokojnie, póki wszyscy nie odejdą. Kierownik wytrzeszczył na mnie oczy: »Za późno przyszedłaś, nic już nie ma«.

Szokiem dla autorki była również pierwsza wizyta w zakładzie sowieckiego zbiorowego żywienia. Nie dość, że „posiłek” był po prostu obrzydliwy i urągał wszelkim cywilizowanym standardom, to jeszcze nie dane jej go było zjeść. Jedzenie wyzarli jej bowiem prosto z talerza okupujący stołówkę wygłodzeni, ślaniający się na nogach chłopcy.

Para polskich komunistów szybko zorientowała się, że cała sowiecka gospodarka oparta była na fikcji. Podczas propagandowych masówek dyrektorzy kołchozów uroczyście deklarowali znaczne przekroczenie planu. W rzeczywistości zaś wypełniali zaledwie jego niewielki procent. Mimo to do oficjalnych statystyk i dokumentów – dzięki rozmaitym trikom – trafiały nonsensownie wyśrubowane dane produkcji.

Taka była właśnie przyczyna permanentnych niedoborów. W Związku Sowieckim wszystkiego było w bród, ale na papierze. W rzeczywistości nie było niczego.

W CIENIU CZYSTKI

Nie mogąc dłużej wytrzymać, małżeństwo postanowiło szukać szczęścia dalej na wschód. Tak nie może być wszędzie! To jakiś wypadek przy pracy. Sowińska, wraz z mężem, ruszyła więc w wędrowną po Kraju Rad. Pierwszym sowieckim miastem, które odwiedzili, była Orsza. Nędza tamtejszej dzielnicy robotniczej przekraczała o stokroć warunki panujące w najbiedniejszych częściach Łodzi.

Sowińska nie tylko nie porzuciła swoich komunistycznych iluzji, lecz także wzięła czynny udział w narzucaniu Polsce tego chorego, zbrodniczego systemu

„Dzielnica o monotennie do siebie podobnych, zdewastowanych domach – pisała Sowińska – tak zwane obszczeżytyja, roiła się od lokatorów. W każdym pokoju jedna, często wieloosobowa rodzina. Wspólna kuchnia, wspólna ubikacja i woda na korytarzu. Brud i smród, wieczne kłótnie o to, kto ma posprzątać pomieszczenie. Okna gołe, bez firanki, bez kwiatka. Pluskwy, robaki i szczury”.

Potem pojechali do Kijowa, gdzie zapraszała ich listownie para znajomych. Niestety, na miejscu okazało się, że znajomi zostali w międzyczasie zabrani przez smutnych panów z NKWD i wszelki słuch po nich zaginął. Rękę wyciągnęła do nich polska komunistka, która – gdy usłyszała, że mówią po polsku na ulicy – zaprosiła ich do siebie na herbatę i chleb. Zapewniła nocleg.

„W trakcie jedzenia przyszła jej znajoma, również Polka – wspominała Sowińska. – Przypominała przedwcześnie zerwane jabłko, zwiędnięta nie od wieku, lecz trosk. Zobaczyła obcych. Cofnęła się do drzwi i, mimo protestów gospodyni, wyszła, przepaszając, dziwnie pokornie, za »natręctwo«. Jej nazwisko i pseudonim konspiracyjny wymienione przez kobietę w okularach nie były nam całkiem obce. Należały do jednej z wybitniejszych działaczek komunistycznych w Warszawie.

Uciekła z mężem z Polski, gdzie groził obojgu wieloletni wyrok. Znaleźli na Ukrainie azyl polityczny. Nie na długo. Męża aresztowali i wywieźli w nieznaną, została sama z synkiem w wieku szkolnym. Wyrzucali ją zewsząd z pracy. Wylądowała ostatecznie jako sprzątaczką i posługaczką zarazem w jednej z instytucji. Nie było dnia, żeby synek nie wracał ze szkoły pobity. Wołali na niego »polski szpieg« i ciskali kamieniami. Od »polskich szpiegów« wymyślali jej wszyscy sąsiedzi i współtowarzysze pracy. Znana bojowa działaczka zamieniła się w zaszczutą, wylęknioną jak mysz istotę”.

Jak wiadomo, Komunistyczna Partia Polski w latach 1937–1938 została dosłownie wymordowana przez NKWD na rozkaz Stalina. Uznano ją za formację trockistowską i zinfiltrowaną przez polskie służby. Owa Polka była niedobitkiem, który uratował się z czystki. Sowińska była świadkiem, jak sowieckie dziecko przechodząc obok grupy Polaków, splunęło na chodnik i krzyknęło: „Polszczyzny!”.

Wreszcie umęczone pobylem w Kraju Rad małżeństwo postanowiło wracać na „zachodnią Białoruś”. Czyli tereny wschodniej Polski okupowane przez Armię Czerwoną. Tam sowiecka dewastacja gospodarki i więzi międzyludzkich nie zaszła jeszcze tak daleko, a Aleksander miał w tamtych okolicach liczną rodzinę. Można było liczyć na pomoc.

Historia ta ma zdumiewające zakończenie. Gdybym zobaczył i przeżył jedną setną z tego, co zobaczyła i przeżyła w Związku Sowieckim Stanisława Sowińskiego, wyleczyłbym się na całe życie z wszelkiej sympatii czy ze złudzeń wobec komunizmu. Zrobiłbym wszystko, żeby wyrwać się spod władzy sowieckiej i zamieszkać w wolnym świecie.

Sowińska pokierowała jednak swoim życiem w zupełnie inny sposób. Otóż nie tylko nie porzuciła swoich komunistycznych iluzji, lecz także wzięła czynny udział w narzucaniu Polsce tego chorego, zbrodniczego systemu. Jej mąż przeszedł kursy NKWD w Smoleńsku, po czym oboje przedostali się do Warszawy, gdzie działali w Gwardii Ludowej.

Kokoszyn po wojnie zrobił karierę w służbach, został szefem Głównego Zarządu Informacji WP i Wojskowej Służby Wewnętrznej. W GZI – jako szefowa Biura Studiów – pracowała również jego żona. Co ciekawe, Sowińska, jako powiązana z Marianem Spychalskim, padła ofiarą wewnętrznych komunistycznych czystek. W latach 1949–1954 była więziona za „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”.

W PRL mieszkała jednak jeszcze wiele lat. Na Zachód, do Paryża, wyjechała dopiero w 1981 r. Doprawdy niezbadane są tajemnice ludzkiego umysłu. Komunistyczny fanatyzm i zaślepienie – głuche na najbardziej oczywiste fakty – powinny stać się przedmiotem szerokich badań psychologicznych i socjologicznych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Już 7 czerwca w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl e6733d6255

Latem 1883 r. na zamku Frohsdorf pod Wiedniem, tysiąc kilometrów od granic Francji, umierał hrabia Chambord. Nosił ten skromny tytuł, choć według prawa – jako wnuk wygnanego przez rewolucję lipcową Karola X – był, jako Henryk V, jego spadkobiercą, prawowitym królem Francji i Nawarry. Na łożu śmierci przyjął książąt orleańskich, synów Ludwika Filipa, który korzystając z rewolucji, zabrał tron jego dziadkowi. Gdy zmarł, wdowa dopilnowała jednak, by żaden z Orleanów nie występował na pogrzebie jej męża jako spadkobierca jego praw.

Hrabia Chambord, nieodrodny syn swojego romantycznego pokolenia, mógł objąć tron po wojnie francusko-pruskiej i upadku II Cesarstwa. Nie chciał jednak panować, by nie stać się kolejnym władcą patronującym dziedzictwu rewolucji, tak jak Ludwik Filip czy Napoleon III. Oczekiwał, że Francja zaakceptuje go jako tego, kim był, króla na mocy historii, a nie układów politycznych. Wydawało się, że sprawa monarchii definitywnie zgasła wraz z jego życiem i skrupułami.

W tym samym czasie, krótko po śmierci hrabiego Chambord, zjawiał się w Paryżu młody człowiek, który miał rozniecić na nowo monarchistyczne uczucia Francuzów, zaszczerpić je dużej części inteligencji, przywrócić życie przegranej sprawie. Ten młody Prowansalczyk, Charles Maurras, monarchistą początkowo nie był. W Paryżu zaprzyjaźnił się z Maurice'em Barrès'em, twórcą republikańskiego nacjonalizmu, i jak wielu Francuzów cierpiał po zaborze Alzacji i Lotaryngii przez jednoczące się Niemcy. Z czasem jednak doszedł do wniosku, że integralny nacjonalizm, chroniący całość dziedzictwa narodu i wytrwale realizujący jego dziejowe cele, spełnienie może znaleźć jedynie w narodowej, historycznej monarchii. Bez niej będzie tylko jeszcze jedną skażoną demagogią, demokratyczną ideologią. Do tego przeświadczenia doprowadziły go patriotyzm i obserwacja demokratycznej polityki we francuskiej III Republice.

REPUBLIKA WE FRANCJI

Jego krytyka demokracji była namiętna, ale bynajmniej nie totalna. Wierny klasycznemu dziedzictwu uważał, że polis jest naturalną formą życia małych wspólnot politycznych i przypominał, że „absolutny” (czyli po prostu suwerenny) król Francji był władcą tysiąca



FOT. PIERRE FETIT/GETTY IMAGES

Czytając Maurrasa



Marek Jurek

Dla Maurrasa monarchia była nie tyle wyborem, ile owocem rozumu, właściwą formą kultury europejskiej i polityczną formą jej narodów



CHARLES MAURRAS
„PRZYSZŁOŚĆ
INTELIGENCJI
I INNE PISMA”
DĘBOGÓRA 2021

republik: prowincjonalnych, miejskich, cechowych. Chwalił głosowanie powszechne, które zresztą wprowadzono we Francji dopiero po drugiej wojnie światowej, po przyznaniu praw wyborczych kobietom (III Republika, zdominowana przez związaną z wolnomularstwem Partię Radykalną, do końca przeciwstawiała się sufrażystom, obawiając się religijności i konserwatyzmu prowincjonalnych Francuzek).

Maurras uważał jednak, że zakres demokracji jako zasady rządów, na skalę narodową, powinien być odwrotnie proporcjonalny do bezpieczeństwa granic, powinien brać pod uwagę historię i geografę. Rządy demokratyczne nie osłabiły Stanów Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii, bo chronią je morza, tak jak Szwajcarię osłaniają góry, równowaga mocarstw i utrwalona neutralność. Co innego państwa, które wzniosła wola ludzka i kultura, nie natura. Takim jest Francja, zbudowana przez 40 królów, zachowana mimo wojen z Niemcami, Anglikami i Hiszpanami, mimo podziałów religijnych w czasach reformacji, będąca w istocie subkontynentem łączącym włoską Korsykę, celtycką Bretanię i germańską Alzację.

Dla Maurrasa monarchia była więc nie tyle wyborem, ile owocem rozumu, właściwą formą kultury europejskiej i polityczną formą jej narodów. Chociaż uważał, że dobro publiczne jest wyższe od formy suwerenności, która ma je realizować, to twierdził, że forma ta jest dobra publicznego zasadniczym elementem: daje największe szanse na jego realizację, tak jak w demokracji jego realizacja jest najtrudniejsza. Ale trudności nie dyspensują. Uważał więc, że zadaniem francuskich rojalistów jest promocja interesu narodowego, dbanie o dziedzictwo pod nieobecność prawowitego dziedzica. Elementem tej polityki powinna być stała gotowość do realizacji „nacjonalistycznego kompromisu”, praktycznej solidarności ze wszystkimi Francuzami popierającymi najważniejszą w danym momencie kwestię interesu narodowego. Dlatego z zasady wspierał rządy w czasie obu wojen światowych. Co nie przeszkodziło mu protestować przeciw cenzurze wojennej, bo – jak pisał – ta powinna chronić najważniejsze interesy i tajemnice państwa, a nie

„nieodpowiedzialność głupiego ministra”.

Restauracja jednak miała być stale horyzontem polityki, bo we Francji – jak pisał w „Moich ideach politycznych” – Republika nie jest ustrojem jak w Ameryce czy w Szwajcarii. Republika Francuska jest destrukcją tradycji narodowej, jej „logiką jest negacja: wykluczenie dziedzicznego przywódcy, opozycja wobec jego powrotu. W istocie to stan umysłu, który, owszem, okazjonalnie może być zgodny z interesem narodowym, ale który nie może stanowić tego interesu, który jest czymś innym, duchem walki wewnętrznej, podziałów, duchem partii, sumą wszystkich partii”.

MAURRAS I POLSKA

Maurrasowi udało się coś, co nie powiodło się u nas Stanisławowi Mackiewiczowi. Obaj, będąc zdeklarowanymi monarchistami, dążyli do kulturowej i politycznej restauracji w porewolucyjnym świecie. W praktyce więc chodziło o przerzucenie mostu ponad wiekiem XIX, odbudowę świadomości narodowej w oparciu o wielkie, przedrewolucyjne dziedzictwo państwowe. Maurras miał jednak zadanie łatwiejsze, bo ów wiek XIX we Francji to i restauracja z lat 1814–1830, i panowanie Ludwika Filipa (które Maurras uznawał za ułomną, ale jednak część tradycji kapetyńskiej), i prokatolickie wątki w polityce Napoleona III, i rządy ładu moralnego, czyli konserwatywna prezydentura (monarchisty skądinąd) marszałka Mac Mahona z lat 1873–1879. We Francji zerwanie z przeszłością nie było całkowite. U nas rozbiory dla tradycji były prawdziwym potopem, którego szwedzki potop był jedynie drobną zapowiedzią.

O Polsce właśnie (i o innej katolickiej Rzeczypospolitej, Wenecji) Maurras myślał w czasie swej medytacji na Akropolu, gdy mając 28 lat, uświadomił sobie, że jest monarchistą. Patrzył na gruzy wielkiej cywilizacji, która wspierawszy się na szczyty życia i myśli – upadła, pogrążona w demokratycznych i oligarchicznych walkach, pozbawiona jednoczącej siły.

Te lamentacje nad polską demokracją dziś mogą się nam wydawać kompletnym niezrozumieniem ducha naszej historii, naszej kultury. Jednak upadająca Polska przez cały wiek XVIII myślała

o wzmocnieniu monarchii, o przywróceniu dziedziczności tronu, o wprowadzeniu demokracji do bezpiecznych dla państwa rozmiarów. To właśnie stanowiło istotę Konstytucji 3 maja. Dopiero w wieku XIX, wskutek koniunkturalnych związków z rewolucją francuską, w polskiej kulturze pojawiło się przekonanie, że wyidealizowana demokracja stanowi esencję naszej narodowej tożsamości, wraz z liberalnym uniwersalizmem „za wolność waszą i naszą”.

Ale jeszcze w II Rzeczypospolitej sytuacja wyglądała inaczej, polski monarchizm był ciągle ważną formacją intelektualną (zanim wspomnę innych, dość wskazać Mariana Zdziechowskiego, ulubionego nauczyciela Czesława Miłosza). Również recepcja Maurrasa odegrała ważną rolę w polskiej myśli politycznej. Przede wszystkim poprzez pisarstwo wspomnianego już Cata-Mackiewicza i Adolfa Bocheńskiego. Cat od Maurrasa przejął konserwatywną syntezę nacjonalizmu i regionalizmu. Twierdził, że Polska jedynie poprzez restaurację monarchii może zbudować patriotyzm państwowy, który (choć częściowo) politycznie zintegruje mniejszości narodowe. Bocheński był przekonany, że demokracja nie jest w stanie prowadzić polityki zagranicznej pomiędzy sowiecką Scyllą, niemiecką Charybdą i zwodzającymi syrenami Zachodu.

Obaj byli ważnymi postaciami na prawym skrzydle obozu Piłsudskiego. Obu refleksja Maurrasa utwierdzała w poparciu zarówno dla przewrotu majowego, jak i dla „monarchii republikańskiej” ustanowionej przez konstytucję kwietniową. Bo gdy o tym myślimy, zawsze warto pamiętać, że o ile Brześć był hańbą rządów pomajowych, o tyle późniejsza konstytucja kwietniowa dała Polsce suwerenną reprezentację w ciągu całej drugiej wojny światowej, a nawet dłużej (na Watykanie aż do Pawła VI). A zamiast tej niewybiecalnej, ale suwerennej i jednoczącej naród władzy alianci w Jącie dali nam „wybory” pod sowieckim nadzorem. Suwerenność Ojczyzny, najważniejsza gwarancja wszystkich pozostałych swobód, to jednak coś więcej niż wyborcza władza i jej procedury. Inna rzecz, że demokracja, ukonstytuowana na prawie do krytyki, krytycznej refleksji potrzebuje jak każdy ludzki ustrój. Tym bardziej że krytykę tę gorzej od innych znosi, uważając, że wystarczy krytykować jej funkcjonariuszy. I na tym również polega aktualność Maurrasa.

0 wiele więcej niż jeden donos...

Tomasz Rowiński w tekście: „Za co skazano kardynała?” („Do Rzeczy” 20/2021) wskazał, powołując się na artykuł Agnieszki Bugały, że dokumenty SB nie są jednoznaczne w zakresie homoseksualnych inklinacji/skłonności kard. Henryka Gulbinowicza. Przywołano w tym zakresie tylko jeden donos TW „Tadka”, który miał nie wierzyć w takie podejrzenia. Prawda jest inna, gdyż materiałów źródłowych dotyczących tej kwestii jest znacznie więcej. Z kilku dokumentów aparatu bezpieczeństwa wynika dość jednoznacznie, że niemoralny tryb życia hierarchy nie budził w SB większych wątpliwości, zaś bezpieka dążyła stale do dalszego potwierdzenia zdobytej przez siebie wiedzy.

Materiały dotyczące tej kwestii wymienione zostały zarówno w moim tekście opublikowanym na łamach „Glaukopisu”, jak i w książce „»Dialog należy kontynuować...«. Rozmowy operacyjne Służby Bezpieczeństwa z ks. Henrykiem Gulbinowiczem 1969–1985. Studium przypadku” napisanej wspólnie z prof. Filipem Musiałem. Były to następujące dokumenty: AIPN BU 1052/1076 Gulbinowicz Henryk Roman. k. 21; Notatka służbowa ppłk. Józefa Maja, 13 VIII 1969, Warszawa; ibidem, k. 37–41; Analiza dotycząca agenturalnych tajnych współpracowników Wydziału III KW MO w Białymstoku, studentów Akademii Medycznej ob. Tureckiego Eugeniusza ps. Tadek; ob. Żbikowskiego Jacka ps. Rp/Jacek, oprac. kpt. J. Szerszeń, insp. Wydziału IV KW MO w Olsztynie, 14 X 1969, Olsztyn; ibidem,



Rafał Łatka

Niemoralny tryb życia kard. Henryka Gulbinowicza nie budził w SB większych wątpliwości



k. 42–43; Notatka służbowa (ze słów tajnego współpracownika ps. Rp), oprac. por. E. Rodziewicz, st. oficer operacyjny Wydziału III, 2 VIII 1962, Białystok; ibidem, k. 93–94; Doniesienie TW ps. Perkoz, przyjął kpt. J. Kuncewicz dnia 13 marca 1970 r., 16 III 1970, Poznań; k. 103–105; Doniesienie TW ps. Perkoz, przyjął kpt. J. Kuncewicz 22 maja 1970 r., 27 V 1970, Poznań; ibidem, k. 108–109; Wyciąg z doniesienia TW ps. Perkoz z dnia 3 kwietnia 1970 r., 14 IV 1970, Poznań, ibidem, k. 176–178; Informacja od źródła: „Krzysztof”, przyjął ppłk Z. Baranek, 10 VIII 1974, Warszawa; AIPN, 001043/3237 J, Piotr Maziewski, TW „Profesor”, k. 34–35; Notatka informacyjna z przeprowadzonej rozmowy z TW „Marian”, 12 VIII 1969, Warszawa.

Jak widać, jest to osiem raportów, z kilku różnych źródeł, z kilku regionów kraju. Zatem prawdopodobieństwo, że każdy z tych dokumentów mówi nieprawdę o skłonno-

ściach homoseksualnych hierarchy, jest minimalne. Dodać w tym miejscu należy, że wspólnie z F. Musiałem skoncentrowaliśmy się w wydanej w tamtym roku książce na opisie dialogu operacyjnego bezpieki z hierarchą, a nie na kwestiach obyczajowych, niemniej jednak każdy badacz lub dziennikarz może się zapoznać z wymienionymi wyżej materiałami i wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Nie są to bynajmniej jedyne materiały archiwalne dotyczące homoseksualnych skłonności ks. Gulbinowicza, znajdujące się w dokumentacji SB. Profesor Sławomir Cenckiewicz przypomniał 7 listopada 2020 r. jeden z analitycznych materiałów Dept. IV MSW (z 30 stycznia 1978 r.), gdzie wprost pisano, by do skompromitowania abp. Gulbinowicza wykorzystać jego homoseksualne inklinacje. Mnie udało się z kolei odnaleźć donos TW ps. X-62 (czyli ks. Franciszka Stopniaka) z 30 kwietnia 1979 r., w któ-

rym informuje on, że „ogólnie wiadomo”, iż abp Gulbinowicz jest homoseksualistą.

Kolejnym źródłem potwierdzającym homoseksualne skłonności ks. Gulbinowicza jest relacja, którą otrzymałem latem 2020 r., już po tym, jak książka moja i F. Musiała została skierowana do druku. Jest to relacja dr. Tadeusza Grzesika, który w latach 70. był wikariuszem w jednej z londyńskich parafii i miał tam okazję spotkać się z bp. Gulbinowiczem. Przytaczam jego słowa w brzmieniu oryginalnym: „Incident, którego doświadczyłem, świadczy o skłonnościach grzesznych kardynała. Działo się to w czasach, kiedy był biskupem, administratorem apostolskim w Białymstoku w latach 70. i przyjechał do Londynu. Pracowałem wtedy jako wikary przy parafii św. Andrzeja Boboli w Londynie. Oglądając ów kościół, Gulbinowicz wziął mnie pod rękę i szczyptał. Zareagowałem na to, mówiąc: »Księżu biskupie, nie wiem jak w Polsce, ale takie szczypanie w Anglii jest bardzo dwuznaczne«. Gulbinowicz nieco się zmytygował i udawał, że nic się nie stało. Mnie, młodego wówczas księdza, trochę to zszokowało, bo w tych latach 70. niewiele się wiedziało o »lawendowej mafii«.

Dodać należy także, że Tomasz P. Terlikowski w tekście „Trwa proces rozmywania sprawy kard. Gulbinowicza” opublikowanym w „Rzeczpospolitej” 30 listopada 2020 r. pisał, że wiedza na temat skłonności hierarchy była we Wrocławiu tajemnicą poliszynela. ©©

Autor jest historykiem, doktorem habilitowanym, pracownikiem naukowym BBH IPN.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Głupota Hitlera

Nowa książka Marka Sołonina to bez wątpienia duże wydarzenie. Sołonin to jeden z najciekawszych rosyjskich badaczy zajmujących się operacją „Barbarossa” i – szerzej – wojną totalną między Hitlerem a Stalinem.

Książka „Jak Związek Radziecki wygrał wojnę” to zbiór artykułów, z których najciekawszy jest bez wątpienia tekst tytułowy. Zdaniem Sołonina niewiele zabrakło, aby historia potoczyła się zupełnie inaczej. Niemcy byli o włos od zwycięstwa na froncie wschodnim i zniszczenia bolszewizmu.

Jak Stalinowi udało się uciec spod gilotyny? Według Sołonina były trzy główne czynniki, które zadecydowały o klęsce Wehrmachtu na Wschodzie:

1) Opóźnienie przez Hitlera o dwa i pół miesiąca ataku na Moskwę. Gdyby Wehrmacht z marszu zdobył sowiecką stolicę – dowodzi rosyjski badacz – szok byłby tak potężny, że system komunistyczny by implodował. Nie mówiąc już o tym, że Moskwa była kluczowym węzłem komunikacyjnym Związku Sowieckiego.

2) Kolosalna ilość sprzętu, którą Stany Zjednoczone dostarczyły Armii Czerwonej. Niewydolna sowiecka gospodarka

nigdy nie byłaby w stanie wyprodukować tyle broni i zaopatrzenia, żeby sprostać Niemcom. Udało się to dzięki amerykańskiemu jeepom, czołgom, samolotom, butom i konserwom.

3) Niewykorzystanie przez Hitlera antysowieckich nastrojów Rosjan, Ukraińców, Białorusinów i innych narodów uciemnionych przez bolszewików. Jak wiadomo, w trakcie operacji „Barbarossa” Niemcy byli witani przez ludność cywilną jak wyzwoliciele. Na ich stronę przeszły setki tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej, którzy nie mieli najmniejszej ochoty walczyć za zniecierkowanego reżimu sowieckiego.

Hitler odrzucił wyciągniętą ku niemu dłoń. Na Wschód nie przyszedł jako wyzwoliciel, ale jako ciemniejszy realizujący rasistowską koncepcję Lebensraum. Jeńców Armii Czerwonej zamknął w straszliwych obozach śmierci, nie zlikwidował kołchozów, nie zgodził się na stworzenie niepodległych państw bałtyckich i Ukrainy.

Terror NKWD zastąpił terrorem SS i gestapo. W efekcie nastroje ludności się odwróciły.

Według Sołonina Hitler wojnę ze Stalinem przegrał więc na własne życzenie. Przez swoją głupotę i ideologiczne zaślepienie. Trudno się nie zgodzić z tym wnioskiem. ©©



★★★★★

MARK SOŁONIN

„JAK ZWIĄZEK
RADZIECKI
WYGRAŁ WOJNĘ”
REBIS 2021



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zgaszone miasto

Represje po stłumieniu powstania listopadowego dotyczyły wszystkich ziem polskich pod panowaniem rosyjskim, lecz szczególnie dotknęły Królestwo Polskie i jego stolicę.

„Jeżeli upierać się będziecie – mówił car Mikołaj I do polskich arystokratów w Łazienkach w 1835 r. – przy waszych marzeniach o odrębnej narodowości, o Polsce niepodległej i przy wszystkich tych złudzeniach, ściąganie na siebie wielkie nieszczęście. Kazałem tu zbudować Cytadelę Aleksandrowską i oświadczam wam, że przy najmniejszym zaburzeniu każę miasto zbombardować, zburzę Warszawę i z pewnością nie ja ją odbuduję”.

Car nie rzucał słów na wiatr. 31 maja namiestnik, generał-marszałek Iwan Paskiewicz, wmurował kamień węgielny pod budowę Cytadeli. Wzniesiona w ciągu dwóch lat forteca miała utrzymywać Warszawę w posłuszeństwie, a jej załoga (i armaty) mogła spacyfikować miasto. Inna sprawa, że z chwilą budowy Cytadeli stolica zaczęła być traktowana przez Rosjan jako twierdza. Wraz z umocnieniami w Modlinie miała stanowić zaporę dla obcych wojsk, które wtargnęłyby w granice Rosji od zachodu czy północy.

Cytadela terroryzowała Warszawę, lecz ważniejsze były inne decyzje władz Rosji. W stolicy i na pozostałych ziemiach Królestwa Polskiego wprowadzono stan wojenny, który trwał do 1856 r. Niemal całkowicie zlikwidowano od-

rębność Królestwa Polskiego, zamykano placówki oświatowe i kulturalne. Z zajądłością tropiono też ślady dawnych polskich zwycięstw i z katedry św. Jana usunięto wojskowe chorągwie i sztandary. W dbałości o niszczenie symboli posunięto się nawet do wycięcia Olszyny Grochowskiej, gdzie w lutym 1831 r. polska armia odparła Rosjan. Kościół przy

Cytadela terroryzowała Warszawę

ul. Długiej przebudowano na cerkiew, podobny los spotkał wolski kościół św. Wawrzyńca. Największym jednak upokorzeniem dla warszawiaków było odsłonięcie – w 10. rocznicę wybuchu powstania – pomnika na cześć wyższych polskich oficerów, którzy zginęli 29 listopada 1831 r., sprzeciwiając się zrywowi narodowemu. „Pomnik siedmiu łajdaków” – jak powszechnie nazywano monument – stanął na pl. Saskim. Warszawa blokowana w rozwoju przez rosyjskie fortyfikacje i przygnieciona represjami powoli zapadała w letarg. Wprawdzie jej mieszkańcy przekonali się, że pod rządami Paskiewicza też można żyć, jednak potrzeba było sporo czasu, by zaczęto myśleć o przezwyciężeniu zastoju. Niestety, wiązało się to z jeszcze większymi nieszczęściami dla miasta i jego mieszkańców. ©©



Tacy aktywiści jak Raman Pratasiewicz (na zdjęciu zatrzymywany w Mińsku w 2017 r.) odegrali decydującą rolę w koordynacji antyłukszenkowskich protestów i zagrzewaniu przeciwników reżimu do walki FOT. STRINGER/EPA/PAP

Łukaszenka zakładnikiem Putina



Maciej Pieczyński

Zeznania Pratasiewicza, wymuszone podczas śledztwa, zapewne pozwolą Łukaszence „zdemaskować” rzekomy polski spisek przeciwko niemu

Obecnie znajduję się w areszcie śledczym nr 1 miasta Mińska. Mogę oświadczyć, że żadnych problemów ze zdrowiem, w tym z sercem czy z jakimikolwiek innymi organami, nie mam. Stosunek funkcjonariuszy do mnie jest maksymalnie poprawny. Również obecnie kontynuuję współpracę ze śledczymi, składam zeznania w sprawie organizacji masowych zamieszek w mieście Mińsku” – oświadczył Raman Pratasiewicz. Na twarzy opozycyjnego blogera bez trudu można było dostrzec ślady pobicia. Grozi mu od 2 do 15 lat więzienia. A być może nawet kara śmierci. Twórca antyłukszenkowskich mediów zostanie też – właściwie to już został, sądząc po wypowiedziach polityków oraz liderów opinii na Białorusi i w Rosji – narzędziem do uderzenia w Polskę, Litwę, szerzej – w tzw. przez Mińsk i Moskwę „kolektywny Zachód”.

26-letni Raman Pratasiewicz był jednym z twórców opozycyjnego białoruskiego kanału NEXTA. Pod koniec 2019 r. wyjechał do Polski. Do jesieni 2020 r. kierował kanałem NEXTA wspólnie z bardziej znanym Siciapanem Puciłą, również przebywającym nad Wisłą. Później był związany z projektem „Białoruś mózgu”. To właśnie tacy aktywiści jak Puciła czy Pratasiewicz odegrali decydującą rolę w koordynacji antyłukszenkowskich protestów i zagrzewaniu przeciwników reżimu do walki. Dlatego, z punktu widzenia oficjalnego Mińska, to szczególnie niebezpieczni, „ekstremiści”, „terroryści”, „agenci Zachodu”. Zatrzymanie Pratasiewicza jest jednak na rękę nie tyle nawet Łukaszence, ile Putinowi. Wszystko wskazuje na to, że Kreml nie tylko pobłogosławił ten „akt terroryzmu państwowego”, lecz także pomógł go wykonać.

TEN ZŁY ZACHÓD

Jest wielce prawdopodobne, że zmuszenie samolotu z Pratasiewiczem na pokładzie do lądowania w Mińsku było kolejną już wspólną operacją białoruskich i rosyjskich służb specjalnych. Kolejną, bo przecież KGB i FSB ramię w ramię udaremniły rzekomy zamach na Łukaszenkę, zaplanowany jakoby przez Waszyngton przy współudziale Warszawy i białoczerwono-białej opozycji. Pratasiewicz najprawdopodobniej śledzony był już na lotnisku w Atenach. Rosyjskie specsłużby

z pewnością mają o wiele większe niż ich białoruscy koledzy możliwości operacyjne na terenie „wrażeń” Europy. Poza tym wiadomo, że poza Pratasiewiczem samolot na przymusowym postoju w Mińsku opuściło jeszcze sześć osób, z czego dwie to obywatele Białorusi, a cztery – Federacji Rosyjskiej (w tym dziewczyna opozycjonisty, Sofia Sapiega).

Mińsk oficjalnie wmawia światu, że powodem uprowadzenia samolotu był alarm bombowy, zaś aresztowanie opozycjonisty to czysty przypadek. Moskwa broni sojusznika, ale czyni to w nieoczywisty sposób. Dominującą narrację można podsumować następująco: „Nawet jeśli to była operacja służb specjalnych, to, po pierwsze, białoruskich, nie rosyjskich, a po drugie, Łukaszenka miał do tego pełne prawo!”. Siergiej Ławrow zaapelował, by powstrzymać się od emocjonalnych reakcji. Jednocześnie przypomniał, że w przeszłości miały miejsce podobne sytuacje, gdy to z kolei zachodnie państwa pozwalały sobie na zatrzymywanie cywilnych samolotów przez służby specjalne. Tę narrację kontynuowała rzeczniczka Ławrowa, Maria Zacharowa, nazywając „szokującym” fakt, że cywilizowany świat jest „zaszokowany” incydem w Mińsku, skoro sam robił wcześniej to samo. Szef Roskosmosu Dmitrij Rogozin z kolei stwierdził, że to nie Łukaszenka, tylko „polscy panowie” są piratami powietrznymi. Powód? Samolot, którym trzy

lata temu leciał Rogozin (objęty sankcjami personalnymi za Krym!), nie został wypuszczony w polską przestrzeń powietrzną. Tak czy inaczej, Rosja w obronie Białorusi stosuje swoją ulubioną retorykę, dającą się streścić jednym zdaniem: „Co z tego, że nasi są źli – Zachód też jest zły, a może nawet gorszy!”. Wymarzona dla Kremła jest sytuacja, w której wszystko jest dozwolone. W tym porywanie samolotów, mordowanie wrogów daleko od swoich granic itp. Bo wtedy wygrywa agresywniejszy, bardziej zdecydowany. Czyli Kreml.

Goście programu „60 minut” na antenie kanału Rossija 1 jak mantrę powtarzali, że niezależnie od oceny tego, co zrobił Łukaszenka, miał do tego prawo już z tego jednego powodu, że Amerykanie „też tak robili”. Głosem rozsądku był ekspert ds. międzynarodowych Aleksiej Naumow. Stwierdził, że cała awantura to niebezpieczna i kosztowna zabawa Łukaszenki, za którą przyjdzie płacić Rosjanom, bo jak trwoga, to zduszony sankcjami „Bačka” znowu poprosi o pomoc Putina. Pozostali goście i prowadzący pytali z oburzeniem: „To co, mamy się ukorzyć przed Waszyngtonem?!”. Bo w końcu „święta wojna” już tradycyjnie dla Rosjan jest „droższa od pieniędzy”.

Z kolei najpopularniejszy kremowski propagandysta Władimir Sołowjow porwanie samolotu interpretuje wręcz jako poryw serca dobrego ojca, który postanawia z bronią w ręku obronić swoją rodzinę przed zagrożeniem z zewnątrz. Przecież już raz był szykowany zamach na niego i jego syna! Nic dziwnego, że Łukaszenka, zgodnie z etosem „człowieka sowieckiego”, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i wejść na wojenną ścieżkę! Igor Korotczenko, redaktor naczelny czasopisma „Obrona Narodowa”, stwierdził, że każdy inny kraj na miejscu Białorusi zrobiłby to samo – czyli wszystko, aby zatrzymać „ekstremistę, zbrodniarza”, stanowiącego zagrożenie dla ustroju państwa. Pratasiewicz to w jego opinii żaden opozycjonista, tylko „agent zachodnich wywiadów”, którego celem było przygotować grunt pod krwawy zamach stanu i zmianę władzy na bardziej prozachodnią. Białoruski politolog Alaksiej Dziermant w programie „60 minut” zasugerował nawet, że to zachodnie służby celowo wsadziły blogera w samolot lecący nad Białorusią. Po to właśnie, by doprowadzić do jego zatrzymania i by zyskać pretekst do uderzenia zarówno w Mińsk, jak i w Moskwę.

Pratasiewicz przez rok pracował jako fotoreporter na froncie w Donbasie. Dlatego też Mińsk, oprócz organizowania „masowych zamieszek” po wyborach prezydenckich, zarzuca mu również udział w zbrodniach wojennych, dokonywanych przez pułk „Azow”. Szef białoruskiego KGB Iwan Tertel nazwał Pratasiewicza nie tylko „terrorystą”, lecz także „bojownikiem-najemnikiem”. Co oczywiste, tę linię szczególnie chętnie podchwyciły prokremłowskie media. Antyłukszenkowski opozycjonista, jako „banderowiec”, jest więc wymarzoną wrogiem publicznym numer jeden także dla rosyjskiej propagandy. Akurat w sprawie konfliktu na Ukrainie Mińsk wyjątkowo konsekwentnie starał się utrzymywać neutralną pozycję. Sołowjow wielokrotnie krytykował Łukaszenkę za to, że nie chce jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, „czy jest Krym”. Dlatego też akcentowanie „wątku donbaskiego” jest niewątpliwie czytelnym ukłonem w stronę Kremła i również odbija się wdzięcznym echem w jego propagandowych tubach. Zachar Prilepin, pisarz, polityk o poglądach narodowo-bolszewickich, który własnym sumptem założył w Donbasie prorosyjski batalion ochotniczy, wypominał Łukaszenkę prześladowania Białorusinów walczących w szeregach separatystów. Tenże Prilepin, goszcząc w programie Sołowjowa, wyraził nadzieję, by Zachód nałożył na Mińsk jak najostrejsze sankcje. Żeby Łukaszenka, zamęczony presją „demokratycznego świata”, zrozumiał, że jego jedynym wyjściem w tej beznadziejnej sytuacji jest zapomnieć raz na zawsze o „wielowektorowej polityce” i rzucić się w ramiona Putina.

Tym samym poczytny autor prozy wojennej najpełniej wyłożył cele kremłowskiej polityki wobec „młodszego brata”. Putin nie może wypuścić Białorusi z rąk. Dlatego robi wiele, jeśli nie wszystko, aby Łukaszenkę odizolować od Zachodu i z tymże Zachodem skłócić. „Bačka”, porywając polski, należący do holenderskich linii, lecący z Grecji samolot z opozycyjnym blogerem na pokładzie, przy cichej pomocy Rosji, za jednym nomen omen zamachem rozwiązuje dwie kwestie. Po pierwsze, zamyka niebezpiecznego dla obu reżimów „siewcę kolorowej rewolucji”, siejąc przy tym postrach wśród innych opozycjonistów, którzy wiedzą, że nie mogą się czuć bezpiecznie nawet za granicą. Po drugie, ściąga na siebie wściekłość „kolektywnego Zachodu”, odciągając nieco uwagę od grzechów „większego brata”, ale też kompromitując się do tego stopnia, że

już nikt, poza Putinem, nie będzie chciał z nim poważnie rozmawiać. Łukaszenka w ramionach Putina to najczarniejszy dla nas scenariusz. Niestety, niezwykle realny, bo „ostatni dyktator Europy”, idąc na krwawą wojnę z opozycją i odgrzając się Zachodowi przy każdej okazji, zrobił bardzo wiele, aby stać się podnóżkiem prezydenta Rosji.

POLSKI WĄTEK

Pratasiewicz, jako zamieszkały na Zachodzie bloger, nawołujący do rewolucji, jest dla Moskwy i Mińska uosobieniem wspólnego zagrożenia. Ale to „zagrożenie” działa za czyjeś pieniądze, ma swoich mocodawców! To oczywiście, za czyje i kogo. Białoruscy i rosyjscy prorządowi komentatorzy zgodnie wskazują na Warszawę, skąd nadaje NEXTA, i na Wilno, gdzie mieszka Cichanouska i gdzie przed aresztem przebywał sam Pratasiewicz. Wedle tej narracji opozycyjne media mają być finansowane i kierowane przez polskie czy litewskie służby specjalne. Wiele wskazuje na to, że KGB zmusi Pratasiewicza za pomocą tortur do zeznania tego, co chciałby usłyszeć Łukaszenka. Siergiej Markow, wpływowi polityk Jednej Rosji, doradca Putina, prognozuje, że opozycjonista dostanie krótki wyrok w zamian za to, że opowie m.in. o tym, jak „polskie specsłużby organizowały próbę zamachu stanu na Białorusi”.

Mińsk początkowo utrzymywał, że rzekomy alarm bombowy, który posłużył jako pretekst do zatrzymania samolotu, został wysłany ze Szwajcarii. Później Łukaszenka obwieścił, że jednak z polskiego IP. Markow na tej podstawie wysnuł taką oto teorię: to mogła być operacja polskich służb specjalnych. Cel – utrudnić porozumienie pomiędzy Bidenem a Putinem. Tak czy inaczej pewne jest jedno – wymuszone torturami zeznania Pratasiewicza będą dla białoruskiej i rosyjskiej propagandy pretekstem do uderzenia w Polskę. W to awanturnicze państwo, które w imię swoich interesów próbuje obalić władzę Łukaszenki i wbić klin pomiędzy Rosję i Białoruś z jednej strony, a „demokratyczny świat” z drugiej. Bo niezależnie od nienawiści do „kolektywnego Zachodu” Putin z tym dalszym, silniejszym Zachodem chętnie by się dogadał, byle ponad głowami wiecznie niepokornych Polaków. A Łukaszenka po prostu chce być dalej dyrektorem wielkiego, centralnie zarządzanego, postsowieckiego kołchozu, na swoich zasadach. A to gwarantuje mu tylko Putin.



Łukasz Warzecha

Dzieje się to, przed czym przestrzegała część komentatorów przed wyborami prezydenckimi w USA: wraz z odejściem Donalda Trumpa zmienia się zasadniczo spojrzenie na sprawę dla Polski ważne

Na razie widać to najlepiej w strategicznej dla nas kwestii budowy gazociągu Nord Stream 2. Jeszcze niedawno wydawało się, że za sprawą twardego stanowiska Waszyngtonu istnieje realna szansa przynajmniej na bardzo znaczące opóźnienie jego budowy lub chociaż rozpoczęcia użytkowania. Teoretycznie ta szansa nadal istnieje, ale zmiana kursu przez Białą Dom znacznie ją zmniejsza.

NOWE PRIORYTETY

Żeby zrozumieć, co się wydarzyło i czym kieruje się obecny gospodarz Białego Domu, trzeba przede wszystkim odrzucić wszelkie emocje – a o to w polskiej debacie w ogóle trudno, nawet w dyskusji o polityce międzynarodowej. Prezydentura Trumpa była w Polsce odbierana skrajnie emocjonalnie, nie mniej niż w samych Stanach Zjednoczonych – podobnie zresztą jak wybory, w których ostatecznie przegrał. Trump podchodził polską publiczność, ale też niestety rządzących, ostatecznie okazując Polsce przychylność. Najbardziej radykalni komentatorzy nazywali to rzucaniem paciorków. Tak komentowano również pamiętne wystąpienie Trumpa w Warszawie w lipcu 2017 r. To był również rodzaj transakcji: główny lokator Białego Domu pozwalał rządzącym ogrzać się w blasku promieniującym z Waszyngtonu, my zaś kupowaliśmy za niemałe pieniądze amerykański sprzęt wojskowy (czy zawsze najlepszy – to już pytanie do ekspertów). Amerykański przemysł zarabiał, my w zamian dostawaliśmy silniejszą amerykańską obecność w Polsce, co faktycznie przekłada się na kwestie bezpieczeństwa. Nie działało się to jednak za darmo i na piękne oczy – to był układ dobrze przez Trumpa przekalkulowany, kosztujący nas ogromne pieniądze.



Zmiana Bidena

FOT. SPUTNIK/EAST NEWS

Teraz jednak priorytety się zmieniły. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że zwrot Bidena w sprawie gazociągu nie jest całkowity. Amerykanie nie znieśli całkowicie sankcji nałożonych na różnego rodzaju podmioty zaangażowane w kończącą się już budowę NS2. Na aktualnej, nowej liście sankcyjnej są nadal cztery statki pracujące przy gazociągu (niekoniecznie bezpośrednio – także dowożące zaopatrzenie), a także cztery podmioty gospodarcze. Znaleźli się tam również operator gazociągu, będąca w stu procentach własnością Gazpromu firma Nord Stream 2 AG, oraz jej prezes – lecz właśnie te dwie ostatnie pozycje zostały z sankcji ostatecznie wyłączone

decyzją amerykańskiej administracji, mimo sprzeciwu Kongresu.

Nie ma właściwie problemu z interpretacją tego postanowienia, ponieważ o motywacjach jasno mówili i sam prezydent Biden, i sekretarz stanu Antony Blinken. Zresztą sama decyzja o wyłączeniu z zakresu sankcji została podjęta z formalnym uzasadnieniem w postaci ochrony narodowego interesu USA. Prezydent USA oznajmił, że „pójście naprzód i wprowadzenie sankcji teraz byłoby, moim zdaniem, kontraproduktywne w odniesieniu do naszych relacji europejskich”. Argumentował też, że nie ma większego sensu wobec faktu, że gazociąg jest niemal całkowicie ukończony. Tak jest faktycznie – do zakończenia budo-

wy brakuje zaledwie 5 proc. wymiaru prac. Czy jednak rzeczywiście amerykańskie sankcje nie byłyby w stanie uniemożliwić ukończenia budowy – to już sprawa dyskusyjna. Część specjalistów twierdzi, że jest to możliwe, a zatem, że decyzja Waszyngtonu to de facto otwarcie furtki do doprowadzenia projektu do finału. Przy czym trzeba tu poczynić zastrzeżenie, że samo zakończenie układania rury nie oznacza, iż od razu popłynie nią gaz. W przyszłości sankcjami mogą zostać obłożone na przykład firmy wystawiające niezbędne certyfikaty, umożliwiające uruchomienie instalacji, gdyby chciały się takiej certyfikacji NS2 poddać.

Tutaj dodać trzeba, że NS2 AG i jego prezes Matthias Warnig pozostają na liście podmiotów objętych sankcjami, a wyłączenie może zostać w każdym momencie skasowane. Jest to więc jakaś dźwignia nacisku, ale wobec dość jasnego stanowiska Białego Domu trudno oczekiwać, żeby z niej skorzystano. Obecność Warniga i kierowanej przez niego firmy na liście powinno się raczej odczytywać jako podtrzymanie pozorów szeroko sięgających sankcji. Zresztą o liście sankcjonowanych podmiotów decyduje Kongres, administracja zaś ma w ręku instrument w postaci uchylenia sankcji na podstawie interesu narodowego USA.

Biden postanowił zmienić punkt ciężkości amerykańskiej polityki wobec Europy. W kontekście najważniejszego wyzwania dla USA na przyszłość, jakim są Chiny, ma to sens. Być może mielibyśmy dzisiaj do czynienia z nieco inną sytuacją, gdyby spełniły się początkowe prognozy przetarasowań na globalnej scenie, również gospodarczej, w związku z pandemią. Na wiosnę ubiegłego roku, gdy COVID-19 uderzył potężnie w Chiny, prorokowano, że zatrzyma to Państwo Środka w jego pędzie ku coraz mocniejszej globalnej pozycji. Była mowa o tym, że w związku z zakłóceniem łańcuchów dostaw produkowanych w Chinach komponentów dla światowego przemysłu, głównie elektronicznego, firmy zrezygnują z lokowania tam swojej produkcji w całości lub chociaż w części, a to z kolei osłabi impet chińskiej ekspansji gospodarczej, a więc i w ogóle – politycznej. Tak się jednak nie stało. Zamordystyczny chiński system kontroli obywateli na każdym kroku okazał się dość szczelny, aby z jego pomocą uporać się z zarazą wystarczająco szybko i wznowić produkcję. Jakim kosztem się to stało – możemy się jedynie domyślać. W każdym razie pozycja Chin nie spadała,

a to oznacza, że państwo to pozostaje najpoważniejszym globalnym rywalem Ameryki. Poważniejszym, niż jest nim Rosja. W tej rywalizacji Biały Dom potrzebuje europejskich sojuszników – to kwestia choćby nabywania amerykańskich, a nie chińskich technologii w takich dziedzinach jak komunikacja – a ze strony Rosji chciałby uzyskać przynajmniej neutralność. Jasne jest, że temu ma posłużyć złagodzenie stanowiska wobec NS2.

POWAŻNE OSTRZEŻENIE

O tym zapewne będzie rozmawiał Joe Biden z Władimirem Putinem, gdy obaj przywódcy spotkają się 16 czerwca w Genewie. Ze strony Bidena dużo było ostrej retoryki wobec rosyjskiego faktycznego dyktatora – w pewnym momencie nazwał go nawet mordercą. Jednak polityka, a już zwłaszcza międzynarodowa, to bardzo często sztuka robienia określonego wrażenia, podczas gdy fakty przemawiają same za siebie. Owszem, Biden nie może tutaj odpuścić całkowicie. Trwa dramat Aleksieja Nawalnego, a i zmuszenie do lądowania w Mińsku samolotu Ryanair pośrednio łączone jest z Moskwą. W dodatku w USA wciąż żywy jest temat ataku cybernetycznego znanego jako SolarWinds Hack, przypisywanego rosyjskim służbom. Hakerzy włamali się do amerykańskich systemów rządowych za pośrednictwem oprogramowania firmy SolarWinds, używanego przez wiele instytucji. Włamanie odkryto w grudniu, ale prawdopodobnie aktywność hakerska trwała dużo wcześniej. Biden w Genewie z pewnością będzie jednak próbował wysłać sygnał gotowości do jakiejś formy odprężenia we wzajemnych relacjach.

Tutaj pojawia się pytanie: Gdzie jest w tym wszystkim nasze miejsce? Otóż niestety nigdzie. Przesunięcie punktu ciężkości po wygranej Bidena można było przewidzieć. Dobrych kilka miesięcy przed listopadowymi wyborami w USA w Polsce słychać było głosy, że rząd powinien na gwałt opracowywać alternatywny plan działania na wypadek wygranej kandydata demokratów (taki plan powinien być zresztą opracowany o wiele wcześniej, równoległe z pielęgnowaniem kontaktów z drugą stroną amerykańskiej sceny politycznej). Wygląda jednak na to, że nic takiego się nie działo. Kilka miesięcy po zmianie w Białym Domu stosunki polsko-amerykańskie wydają się uśpione, jeśli nie liczyć łzawych tweetów amery-

kańskiego chargé d'affaires w Warszawie Bixa Aliu z okazji na przykład rocznicy śmierci George'a Floyda. Od wyjazdu Georgette Mosbacher stanowisko ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce pozostaje nieobsadzone. Widać dzisiaj, jak gigantycznym błędem strategicznym było opieranie się na rzekomo szczególnej personalnej relacji polskich przywódców z Donaldem Trumpem.

Słabo też jednak wypada opozycja. Jej historyczna wręcz niechęć wobec Trumpa i skrajnie emocjonalne peany na cześć Bidena w obecnej sytuacji dowodzą swojej jałowości. Żadna z partii opozycyjnych, deklarujących swoją niechęć wobec poprzedniego prezydenta USA i oczekiwanie na zmianę w Waszyngtonie, nie kwestionowała nigdy szkodliwości NS2. Po decyzji administracji dotyczącej najnowszego pakietu sankcji nie było jakoś słychać szczególnie donośnych komentarzy ze strony tych, którzy wcześniej zapewniali, jaką to wspaniałą odmianą będzie przejęcie rządów przez kandydata demokratów.

Sytuacja z amerykańskimi sankcjami wobec NS2 nie oznacza oczywiście, że Amerykanie za moment wycofają się z Polski i porzucone zostaną plany wzmocnienia obecności w naszym kraju. Jest to natomiast bardzo poważne ostrzeżenie, pokazujące, jakie są porządek i waga poszczególnych aktorów w Europie z punktu widzenia obecnej amerykańskiej administracji. Polska jest w tej hierarchii znacznie niżej niż Niemcy – i trudno się dziwić.

Chociaż w polityce nigdy nic nie powtórza się jeden do jednego, to nie sposób odpędzić poczucia déjà vu z czasów prezydentury Baracka Obamy. Jego zwycięstwo w naszym kraju również towarzyszyły ogromne emocje, rozłożone politycznie bardzo podobnie, jak dziś rozkładają się emocje wobec Bidena. Okazało się szybko, że w planie strategicznym demokratyczny prezydent jest zainteresowany Europą w niewielkim stopniu, a Europą Środkową już niemal w ogóle. Kulminacją było ogłoszenie decyzji o rezygnacji z instalacji elementów tarczy antyrakietowej na terenie naszego kraju 17 września w 2009 r., równiutko w 70. rocznicę sowieckiej agresji na Polskę. Była to dramatyczna gafa dyplomatyczna, która pokazywała, jak małą wagę ówczesna administracja przywiązywała do relacji z naszym krajem. Różnica z czasem obecnym polega na tym, że na nasze nieszczęście dzisiaj świat jest wyraźnie mniej stabilny, niż był 12 lat temu.



Paweł Chmielewski

Czy udzielać Komunii Świętej Joe Bidenowi i innym proaborcyjnym politykom? Takie pytanie zadają sobie biskupi w Stanach Zjednoczonych. Przewodniczący amerykańskiego episkopatu, konserwatywny abp José Gómez, chciałby wydać w tej kwestii jednoznaczne oświadczenie, ale... blokuje je Stolica Apostolska

Najnowsza kontrowersja wokół Komunii Świętej dla proaborcyjnych polityków wybuchła w USA z powodu Joe Bidena. Prezydent, praktykujący katolik, realizuje proaborcyjną politykę. Jeszcze w trakcie kampanii wyborczej w Ameryce dyskutowano, czy powinien przyjmować Eucharystię – obiecywał przecież zmiany prawne w duchu cywilizacji śmierci. W październiku 2019 r. ks. Robert Morey z diecezji Florence w Karolinie Południowej odmówił mu ciała Pańskiego. Wywołało to różnicowane komentarze wśród biskupów, ujawniając dużą polaryzację. Jako prezydent USA Biden przywrócił możliwość finansowania z budżetu federalnego tych organizacji, które w ubogich krajach pod płaszczykiem troski o „zdrowie reprodukcyjne” kobiet zabijają dzieci i szerzą antykoncepcję. W przyszłości administracja nowego prezydenta planuje kolejne, jeszcze bardziej agresywne ruchy proaborcyjne. Legalność uśmiercania nienarodzonych – jako „prawo do aborcji” – miałyby zostać zapisana w prawie federalnym. To bardzo poważny zamiar. Obecnie według Instytutu Guttmachera zabija się w USA ponad 800 tys. dzieci rocznie. W niektórych stanach trwa batalia o ograniczenie tego proceduru; zagadnieniem dopuszczalności aborcji zajmie się niedługo także Sąd Najwyższy. Ekipa Bidena chciałaby uniemożliwić jakiegokolwiek zmiany na rzecz ochrony życia.

UPÓR W GRZECHU

Mimo popierania praw proaborcyjnych Joe Biden przyjmuje Komunię Świętą. Czy ma do tego prawo? Oczywiście

Polityka przed doktryną

– nie. W encyklice „Evangelium vitae” św. Jan Paweł II w bardzo mocnych słowach pisał o odpowiedzialności polityków za stanowienie prawa w kwestiach dotyczących życia, wykluczając możliwość poparcia przez katolika jakiegokolwiek ustawy, która miałaby pogorszyć sytuację nienarodzonych.

Tę ocenę w 2002 r. powtórzyła Kongregacja Nauki Wiary, publikując tzw. notę doktrynalną „o niektórych aspektach działalności i postępowania katolików w życiu politycznym”. Wreszcie w roku 2004 prefekt tejże Kongregacji, kard. Joseph Ratzinger, napisał list do kard. Theodore’a McCarricka. McCarrick, w 2019 r. pozbawiony godności kardynalskiej w związku z nadużyciami seksualnymi, był zwolennikiem dopuszczania do Eucharystii polityków ułatwiających zabijanie dzieci. Kardynał Ratzinger w swoim liście wskazał, że to niemożliwe. Wyłożył proste zasady: najpierw trzeba danego polityka upomnieć, a jeżeli trwa przy swoim stanowisku – to nie można dopuścić go do stołu Pańskiego.

Późniejszy papież Benedykt XVI nie mógł napisać nic innego. Kodeks prawa kanonicznego (kan. 915) stanowi jednoznacznie, że do „Komunii Świętej nie należy dopuszczać [...] osób trwających z uporem w jawnym grzechu ciężkim”. Nie można mieć wątpliwości, że ułatwianie aborcji jest grzechem ciężkim. Gdyby jakiś amerykański prezydent postanowił zalegalizować zabijanie Murzynów, twierdząc, że wprowadzie on osobiście to odrzuca, jednak nie chce narzucać swoich poglądów innym obywatelom, to sytuacja byłaby dla wielu jasna. Tak samo jest w wypadku dzieci poczętych. Nie wolno ułatwiać zabijania. Ułatwiasz mordowanie, jesteś w stanie grzechu ciężkiego; idziesz prostą drogą do piekła – nie możesz przyjąć Komunii. Nie ma wtedy znaczenia sprzeciw wobec aborcji w życiu osobistym. Katolikiem jest się zawsze, także w polityce.

SZOKUJĄCA PUBLIKACJA WATYKANU

Przewodniczący episkopatu USA, metropolita Los Angeles abp José Gómez,





FOT. AGENCE SYGMA

Newark Joseph Tobin, obaj kreowani kardynałami przez Franciszka w 2016 r. Są członkami Kongregacji ds. Biskupów, watykańskiego urzędu, który współdecyduje o polityce personalnej w diecezjach. Mają mocną pozycję – i grają ostro. Cupich na Twitterze odciął się od stanowiska abp. Gómeza, określając jego list jako „nieprzemyślany” i „nieuzgodniony” z innymi biskupami. Wkrótce pojechał do Watykanu i spotkał się z Franciszkiem na prywatnej audiencji, co oznacza, że papież chciał, by o rozmowie było głośno. To prawdopodobnie wówczas ustalono, że do Kongregacji ds. Biskupów, w której Cupich działał od kilku lat, dołączy też Tobin. Nominację ogłoszono 4 marca. Następnie ta właśnie para kardynałów udała się do Rzymu pod koniec kwietnia. Rozmawiali z prefektem Kongregacji Nauki Wiary, Hiszpanem kard. Luisem Ladarią. Prawdopodobnie efektem tej rozmowy była szokująca publikacja Stolicy Apostolskiej z 7 maja. Papież postanowił przekreślić szanse abp. Gómeza na publikację jakiegokolwiek jednoznacznego stanowiska.

W liście kard. Ladarii do przewodniczącego USA wprost zerwano z linią św. Jana Pawła II. Hiszpan napisał, że „byłoby mylące, gdyby oświadczenie sprawiało wrażenie, iż aborcja oraz eutanazja są jedynymi poważnymi zagadnieniami katolickiej moralności i nauczania społecznego, które wymagają najpełniejszego poziomu odpowiedzialności ze strony katolików”. Tym samym zaprzeczył „priorytetowości” kwestii ochrony życia dzieci.

Co więcej, ten „strażnik wiary” postawił arcybiskupowi Los Angeles warunki niemożliwe do spełnienia. Poprosił, by ewentualne oświadczenie było wyrazem pełnego konsensusu wśród biskupów USA oraz by skonsultować je z innymi episkopatami. Jeżeli abp Gómeza posłucha prefekta Kongregacji, to oświadczenia nie będzie lub zostanie pozbawione treści. Z frakcją Cupicha nie da się wypracować satysfakcjonującego dokumentu, a rozmowy z innymi episkopatami to jakiś żart – czy Amerykanie mieliby radzić się np. Niemców?

Nie ma wątpliwości, że papież Franciszek musiał zaakceptować list Ladarii. Wskazuje na to nie tylko waga tematu, lecz także to, że pismo Hiszpana jest w pełni zgodne z papieskim ujęciem problemu. Papa Bergoglio wprowadzie co pewien czas potęgę aborcji, jednak

wyrażnie nie przywiązuje do tego zbyt dużej wagi. Do tego stopnia, że w encyklice „Fratelli tutti”, w której prezentuje programową wizję przebudowy zasad rządzących światem, do mordowania dzieci odnosi się tylko raz – i to na marginesie kwestii handlu ludźmi.

Dla Franciszka priorytety są inne: to imigracja, ekonomia, powszechne braterstwo, wspieranie edukacji. Konsekwentnie wzmacnia też w USA skrzydło liberalne. Cupich i Tobin to jego ludzie. Podobnie jak arcybiskup Waszyngtonu, Wilton Gregory. Ten czarnoskóry hierarcha zadeklarował już, że on Bidenowi Komunii Świętej nie odmówi. Na ubiegłorocznym konsystorzach to właśnie Gregory został kardynałem. Franciszek pominął wtedy abp. Gómeza, chociaż to właśnie jemu, jako metropolicie Los Angeles, tradycyjnie należałby się czerwony biret. Cóż – priorytety.

W ostatnich tygodniach bardzo dużo mówi się o sytuacji w Kościele katolickim w Niemczech. Tamtejsi biskupi nie kryją poparcia dla błogosławienia związków homoseksualnych, udzielania Komunii Świętej protestantom, kapłaństwa kobiet. Nie wyciągają żadnych konsekwencji wobec księży, którzy dopuszczają się nadużyć duszpasterskich. Doktryna za Odrą nie istnieje, liczy się tylko wola modernizacji. W tych okolicznościach wielu mówi o możliwej schizmie. Niemcy, odrzucając wiele punktów nauki katolickiej, mieliby zerwać jedność z Rzymem. W kontekście amerykańskim warto jednak spojrzeć na problem grożącej Kościołowi schizmy nieco szerzej. Pobłogosławienie jednopłciowego związku i okrywanie ołtarza tęczową flagą to niewątpliwie rażąca bezbożność. A co z udzielaniem Komunii Świętej politykowi o rękach ubroczonych krwią nienarodzonych dzieci? Co z tymi, którzy wydają mu ciało Pańskie? Co z tymi, którzy blokują próbę przypomnienia o nauce katolickiej w tym zakresie? Czy to również nie jest krzyżująca bezbożność? Niestety, dla watykańskich decydentów ważniejsze jest mieć amerykański mainstream polityczny po swojej stronie, niż przyznać się do nauki Chrystusa i wszcząć z tym mainstreamem wojnę. Trudno byłoby budować nowy, lepszy świat, nie mając Joe Bidena w swojej drużynie. A mordowane dzieci nienarodzone? Dzieci przecież głosu nie mają. Poczęte tym bardziej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

w przededniu zaprzysiężenia nowego prezydenta skierował do niego list. Upomniał go w kwestii ochrony życia, podkreślając, że sprawa aborcji jest dla biskupów Ameryki priorytetem. W tym samym czasie papież Franciszek wysłał lakoniczne gratulacje. Biden stanowiska nie zmienił. W efekcie wiosną abp Gómeza zaproponował biskupom USA opracowanie wspólnego oświadczenia. Miałoby zostać ogłoszone jesienią tego roku na zebraniu plenarnym episkopatu. Gómeza ma wsparcie wielu hierarchów, choćby metropolitów Kansas City i San Francisco, Josepha Naumanna i Salvatore’a Cordileone. Jasno na temat Komunii Świętej i aborcji wypowiada się też kardynał kurialny Raymond Burke. Niestety, nie wszyscy podzielają tę linię. W Ameryce działa duża i wpływowa grupa biskupów wyrosła w środowisku zbudowanym przez byłego kardynała McCarricka. Tak samo jak on przedkładają dobre relacje z politykami nad wierność katolickiej doktrynie. To przede wszystkim metropolita Chicago Blase Cupich i metropolita

Do połowy maja tego roku Matthew Lohmeier z pewnością nie mógł narzekać na przebieg swojej kariery. Przez wiele lat robił to, co kochał najbardziej – pilotował najnowocześniejsze myśliwce. W zeszłym roku postawiono przed nim wyjątkowo ambitne zadanie. Podpułkownik Lohmeier objął dowództwo nad jednostką Sił Kosmicznych Stanów Zjednoczonych (jeden z sześciu rodzajów Sił Zbrojnych USA) w Kolorado, która zajmuje się wczesnym ostrzeganiem przed atakami raketowymi. Ta błyskotliwa kariera nieoczekiwanie jednak rozsypała się jak domek z kart. Powodem był półgodzinny wywiad, którego ppłk Lohmeier udzielił w zeszłym miesiącu Toddowi Woodowi, prowadzącemu program „Information Operation”. Punktem wyjścia do dyskusji była książka, którą Lohmeier wydał kilka dni wcześniej – „Irresistible Revolution. Marxism’s Goal of Conquest & The Unmaking of the American Military” („Zniewalająca rewolucja. Marksistowski Plan Podboju i Rozbrojenia Amerykańskich Sił Zbrojnych”).

„Celem dla marksizmu nie jest samo wojsko. Jego celem są cywilizacja zachodnia, kapitalizm, silne rodziny. Marksizm jest niezwykle efektywny w budowaniu narracji o uciskanych i uciskających. W istocie jest to zaszczepianie mentalności ofiar. Każdy musi wiedzieć, czym jest krytyczna teoria rasy, jak głęboko jej korzenie sięgają do marksizmu. Sprawia ona, że rasę traktujemy jak soczewkę, przez którą patrzymy na świat. Rasa używana jest jako broń, by siać podział, by ludzie rzucali się sobie do gardeł” – za sprawą tych słów ppłk Lohmeier ściągnął na swoją głowę gromy ze strony dowództwa US Space Force. Choć wywiadu udzielał w cywilnym ubraniu i nie odnosił się do sporu na linii republikańskie–demokraci, a jedynie przestrzegał przed promowaniem neomarksistowskiej wizji stosunków społecznych, to jego przełożeni stwierdzili, że posunął się o krok za daleko.

Rzeczniczka prasowa US Space Force poinformowała opinię publiczną, że dowództwo tej formacji rozpoczęło dochodzenie, by sprawdzić, „czy te komentarze łamią zakaz działalności politycznej”. Generał Stephen Whiting, przełożony ppłk. Lohmeiera, stwierdził, że odwołał go ze stanowiska, ponieważ



FOI UNITED STATES AIR FORCE

Marks pod ochroną Pentagonu?



Piotr Włoczyk

Amerykański oficer znalazł się w oku politycznego cyklonu za sprawą swojej książki, w której zwraca uwagę, że neomarksistowska ideologia wkracza coraz śmielej do wojska. Po tym, gdy Pentagon pozbawił go dowództwa nad jednostką, w obronę wzięli go republikanie

stracił zaufanie do niego po tym, co usłyszał w wywiadzie.

IDEOLOGIA BLM

Dzień po ogłoszeniu, że US Space Force zawiesza go, ppłk Lohmeier udzielił swojego ostatniego wywiadu (od tego czasu przestał zabierać głos w mediach – mimo kilku prób nie udało nam się uzyskać od niego komentarza). Lohmeier wziął udział w bardzo popularnym politycznym talk-show Seana Hannity'ego na antenie Fox News. W wywiadzie tym tłumaczył, dlaczego postanowił uderzyć w dzwon alarmowy.

„Nie będę tolerował żadnego rodzaju dyskryminacji w związku z wyznawanymi poglądami politycznymi. W naszej bazie wojskowej wysyłano każdemu żołnierzowi film, który mieliśmy obejrzeć. Usłyszeliśmy w nim, że nasz kraj jest zły, że został założony w 1619 r., a nie w 1776 r. Dodatkowo wynikało z niego, że biali są z natury rzeczy źli” – powiedział Lohmeier w rozmowie z Seanem Hannitym. – Nie wydaje mi się, żebym mieszał się do polityki. Ktoś, kto zajmuje się przeświadczeniem krytycznej teorii rasy czy marksizmu, nie staje po żadnej ze stron naszego sporu politycznego”.

W swojej książce Lohmeier opisuje niebywałe sytuacje. Przymuszanie żołnierzy do czytania się w ulotki produkowane przez skrajnie lewicowych aktywistów, w których Ameryka przedstawiana jest jako kraj, który jeszcze dziś masowo dyskryminuje przeróżne mniejszości. Organizowanie „pogadek” na temat zejść na Kapitolu, podczas których tworzy się kaski myślowe: biały kolor skóry to ekstremizm zagrażający mniejszościom. Tymczasem, jak zwraca uwagę Lohmeier, gdy w zeszłym roku płonęły całe kwatery amerykańskich miast, nikt nie organizował w wojsku spotkań na temat ekstremizmu spod znaku Black Lives Matter. Przy czym Lohmeier jasno mówi, że proces przenikania do wojska skrajnie lewicowej, neomarksistowskiej propagandy wcale nie rozpoczął się wraz z pojawieniem się w Białym Domu Joe Bidena. Również za czasów Donalda Trumpa wojsko było „infiltrowane” – jak nazywa to Lohmeier – przez sympatyków szkoły Marksa.

Lohmeier szczególnie uwagę poświęca w swojej książce krytycznej teorii rasy (Critical Race Theory – CRT), która od mniej więcej dekady robi olbrzymią karierę na amerykańskich uniwersytetach. Ideologia ta, będąca teoretyczną podbudo-

wą ruchu Black Lives Matter, największy problem naszej planety upatruje właśnie w białych ludziach. Z samej definicji biali, choćby należeli do najbardziej liberalnych kręgów, muszą uciskać ludzi o innym kolorze skóry. Nawiasem mówiąc, ucisk może się odbywać również poza ich świadomością. Owocem takiego myślenia jest m.in. „Biała kruchość. Dlaczego białym tak trudno rozmawiać o rasizmie” („White Fragility: Why It's So Hard for White People to Talk about Racism”) – bestsellerowa książka dr Robin DiAngelo, czołowej amerykańskiej „antyrasistki” (sama jest biała), która 10 dni po zabójstwie George'a Floyda została poproszona o wygłoszenie specjalnego referatu-szkolenia antydyskryminacyjnego dla śmietanki Partii Demokratycznej. W promowanej przez nią wizji świata każdy biały to rasista (jawni lub „podświadomi”) i jedynym wyjściem jest ciągle biczowanie się za przynależność do takiej, a nie innej rasy. Dopiero mając to wszystko w pamięci, przestajemy się dziwić generalnie ciepłemu przyjęciu przez największe amerykańskie media pomysłu burmistrz Chicago, która stwierdziła, że nie będzie udzielała wywiadów białym dziennikarzom.

Lohmeier powołuje się na wywiady oraz w książce na prace prof. Carol M. Swain z Vanderbilt University, która jasno określa CRT jako jedno z największych zagrożeń dla Ameryki – rodzaj zarazy intelektualnej, która infekuje umysły młodych ludzi i generuje nowe napięcia na tle rasowym, zamiast leczyć stare rany.

„Krytyczna teoria rasy to rasizm w najczystszej formie. To odwrócona supremacja. Według tej ideologii wszyscy biali to prześladowcy, których trzeba siłą zmusić do stania się antyrasistami” – podkreśla prof. Swain (sama jest czarna).

1619 FUNDAMENTEM

Lohmeier nie przez przypadek wspominał w programie Seana Hannity'ego o roku 1619 w kontekście utworzenia Ameryki. Skrajnie lewicowi aktywiści związani z ruchem BLM twierdzą bowiem, że w gruncie rzeczy to właśnie wówczas doszło do wyłania fundamentów pod budowę Ameryki (w 1619 r. do Wirginii dotarł pierwszy transport niewolników z Afryki). Dwa lata temu „The New York Times” uruchomił specjalny projekt, który miał nagłośnić 400. roczni-

cę tego wydarzenia. Jego treść dalece wychodziła jednak poza opisanie początków niewolnictwa na amerykańskich plantacjach. „Projekt 1619” w zamyśle twórców tłumaczyć ma wszelkie niepowodzenia Amerykanów o innym kolorze skóry niż biały. Siłą rzeczy Ameryka nie może działać dobrze jako społeczeństwo, ponieważ została zaprojektowana przez białych rasistów. Jak tłumaczył nowojorski dziennik, projekt „ma na celu opowiedzenie na nowo historii naszego kraju, stawiając konsekwencje niewolnictwa i wkład czarnych Amerykanów w centrum naszej narodowej narracji”.

„Jeżeli ktoś nie miał jeszcze okazji bezpośrednio zapoznać się z »Projektem 1619«, to niedługo pozna go pośrednio, patrząc, jak zmienia się nasze społeczeństwo” – przestrzega Lohmeier.

„Widząc, jak rozprzestrzeniana jest ta antyamerykańska narracja na temat

naszej historii i jak dociera to do mojej własnej bazy wojskowej, uznałem, że to najwyższy czas, by wszcząć alarm”.

Również Donald Trump ostro krytykował to, jak „NYT” opowiedział o wydarzeniach z 1619 r.

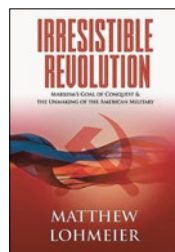
„Ten projekt zmienia amerykańską historię, ucząc dzieci, że nasz kraj został powołany na fundamencie ucisku, a nie wolności”

– powiedział były prezydent.

Odsunięcie Lohmeiera od dowodzenia bazą w Kolorado wywołało falę krytycznych komentarzy po stronie republikańskiej. Czołowi politycy tej partii prześcigali się w wyrażaniu wsparcia dla niego.

„Mam wiele pytań odnośnie do tego, jak zajęto się sprawą ppłk. Matthew Lohmeiera” – powiedział senator Jim Inhofe z senackiej komisji sił zbrojnych. – Nasi wojskowi nie tylko powinni móc wypowiadać się przeciw marksizmowi, lecz także powinni być wręcz do tego zachęcani”.

Lohmeier nie jest jedynym amerykańskim wojskowym, który widzi ten problem. Niemal równolegle z premierą jego książki 120 emerytowanych amerykańskich generałów i admirałów opublikowało list otwarty, w którym przestrzegają oni, że USA skracają w kierunku „marksistowskiej tyranii”. „Konflikt toczy się między zwolennikami socjalizmu i marksizmu a zwolennikami konstytucyjnej wolności i swobody” – napisali emerytowani wojskowi.



KONIEC Z CAŁOWANIEM PTAKÓW

Amerykańskie Centra Kontroli i Prewencji Chorób (CDC) publicznie zaapelowały do mieszkańców kraju, by ci powstrzymali się od całowania drobiu. Chodzi o wzrost zarażeń salmonellą. Po wykryciu 163 chorych w 43 stanach urzędnicy badają ogniska rozprzestrzeniania się tej choroby. Ustalono już, że do zakażeń dochodziło m.in. przez kontakt z drobiem. Dlatego amerykańska agencja publicznie poprosiła, by nie przytulać drobiu ani go nie całować. Zaleca też mycie rąk po kontakcie z ptakami.

FOT. ADOBE STOCK



w ustach, odwodnienie, przegrzanie, dezorientację i paranoję. Uznano, że to wynik nieświadomego spożycia babeczek, które zawierały marihuanę. Podać je kolegom wojskowym miał pracujący wówczas w kantine Chelsea Cogswell. Żołnierz usłyszał w sumie 18 zarzutów.

URZĘDNICY SZPIEGUJĄ MIESZKAŃCÓW

Uniwersytet Nauk Stosowanych NHL Stenden i Uniwersytet w Groningen przeprowadziły badanie. Wynika z niego, że urzędnicy z co szóstej holenderskiej gminy używają Internetu do szpiegowania mieszkańców. Zakładają fałszywe konta w serwisach społecznościowych, by dowiedzieć się, czy mieszkańcy np. nie zamierzają zorganizować jakiegoś protestu albo czy nie wyludniają zasiłków. Na celownik biorą też osoby zarejestrowane jako bezrobotne, które w Internecie mogą ukradkiem oferować jakieś usługi. Interwencję zapowiedziało holenderskie MSW. ©©

Łukasz Zboralski

NARKOTYKOWA KONTROLA PO EUROWIZJI

Podczas transmisji finału Eurowizji w pewnym momencie kamera skierowana została na stolik, przy którym siedzieli zwycięzcy konkursu – grupa

Måneskin z Włoch. Akurat wokalista tego bandu pochylił głowę i wyglądało na to, że chce... powąchać stolik. Poderwał się, gdy perkusista cichaczem trącił go w nogę. Internet okrzyknął, że muzyk został przyłapany na próbie wciągania do nosa narkotyków. Oskarżony o to Damiano David zapowiedział, że podda się testowi na obecność narkotyków, by

uciąć takie spekulacje. Tłumaczył, że kamera przyłapała go, gdy schylał się po rozbitą szklankę.

WOJSKO NA HAJU

W 2018 r. w Centrum Szkolenia Bojowego CFB Gagetown podczas manewrów żołnierze zaczęli zgłaszać niepokojące objawy – suchość



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Biali już głosu nie mają?

Burmistrz Chicago Lori Lightfoot już dwa lata temu zapisała się na kartach historii jako pierwsza czarna lesbijka piastująca ten urząd. Przed kilkoma dniami przeszła też do historii jako pierwsza czarna rasistka. Oficjalnie ogłosiła bowiem, że o tym, kto będzie miał okazję do przeprowadzenia wywiadu z okazji dwuletniej rocznicy jej zaprzysiężenia, zadecyduje... kolor skóry.

„To wstyd, że w 2021 r. korpus prasowy ratusza jest w przeważającej większości biały w mieście, w którym ponad połowa mieszkańców identyfikuje się jako czarnoskórzy, Latynosi, Amerykanie po-

chodzący z Azji i Wysp Pacyfiku lub rdzenni Amerykanie” – napisała na Twitterze dumna z siebie polityk, „rzucając wyzwanie” właścicielom mediów w Chicago, by tak zmienili redakcję, aby „odzwierciedlały wiele kultur”. Pani burmistrz narzekała bowiem na „przytłaczającą biel” w mediach i ogromne „nasylenie mężczyznami”.

Niestety, choć tweet czarnej burmistrz jest dowodem na to, jak kiepsko niektórzy lewicowi politycy radzą sobie ze zrozumieniem koncepcji „równości”, jej decyzja przez wielu została uznana za „sprawiedliwość” i krok naprzód. Pani burmistrz w podobny sposób chce

też promować biznesy kolorowych mieszkańców. Biali mogą być więc dowolnie atakowani ze względu na kolor skóry, ale nie mają prawa skarżyć się na rasizm.

Biali nie mogą też oczywiście przestać płacić podatków na rzecz urzędnika, który odmawia białym prawa do pełnienia funkcji czwartej władzy, czyli do patrzenia rządzącym na ręce. Powstaje też pytanie, kto następny zostanie wykluczony. Heteroseksualiści? Katolicy? A może ludzie bez widocznej niepełnosprawności? Miejmy nadzieję, że politycy wreszcie zrozumieją, iż rozliczać może ich każdy. To odróżnia demokrację od dyktatury. ©©

POLSKA WIELKI PROJEKT



LUDWIKA OGORZELEC

Laureatką nagrody im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego

XI KONGRES POLSKA WIELKI PROJEKT

Rzeźba Ludwika Ogorzelec *Sięgając po niemożliwe* z cyklu *Krystalizacja przestrzeni*
Zamek Królewski 29.05 - 20.06.2021



PARTNER STRATEGICZNY



U-jazdowski

12/04/2020 — 27/06/2021

wystawa

Ludwika Ogorzelec

Centrum Sztuki Współczesnej
Zamek Ujazdowski

Jazdów 2, Warszawa
www.u-jazdowski.pl

Patronat honorowy



Prezydent Rzeczypospolitej
Prezesa Rady Ministrów
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

Partner



Wystawa sfinansowana przez

Ministerstwo
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

KGHM

fundacja „arp”

FUNDACJA
BGK

Patronat medialny

artension

dwójka

RZECZY

AKTIVIST

TYGODNIK
SAPORI

KULTURA

eprasa.pl e6733d6255



Z prof. Łukaszem Hardtem, ekonomistą,
członkiem Rady Polityki Pieniężnej
rozmawia Jacek Przybylski

Nie lekceważmy inflacji

JACEK PRZYBYLSKI: Liczba zakażeń spada, a polska gospodarka wchodzi na coraz wyższe obroty. Pana zdaniem trwale wróciliśmy już na szybką, przedpandemiczną ścieżkę wzrostu PKB?

PROF. ŁUKASZ HARDT: Najuczciwsza odpowiedź ekonomisty na każde takie pytanie brzmi: to zależy. Jeśli pandemia wygaśnie, a na razie na to się zapowiada, to w tym roku mamy szansę na wzrost gospodarczy nawet na poziomie zbliżonym do 5 proc.

Oczywiście nas również dotknęła recesja, ale była ona płytsza niż w wielu innych krajach UE. Stało się tak z wielu powodów. Po pierwsze, sektor usług w naszej gospodarce waży dużo mniej niż np. w krajach południa Europy, a dużo większą rolę odgrywa przemysł. Lokodowny w różnych państwach, w tym w Niemczech, ograniczając dostępność usług, sprzyjały również eksportowi polskich towarów. Polską gospodarkę przed głębszym spadkiem uchroniła również zdecydowana reakcja w postaci polityki fiskalnej, tarcz antykrzysowych, co umożliwił m.in. skup aktywów przez NBP.

Wzrost zbliżony do 5 proc. to nie przesadny optymizm? W ostatnich tygodniach prognozy tegorocznego wzrostu PKB dla Polski obniżyli analitycy wielu instytucji – od Banku Światowego (do 3,3 proc.) poprzez S&P Global Ratings (do 3,4 proc.) do Moody's Investors Service (do 3,3 proc.).

Pozostaję umiarkowanym optymistą. Polska gospodarka szybko odbija po pandemicznym spowolnieniu, a dane, które do nas płyną, są dość optymistyczne.

Dynamika eksportu jest bardzo dobra. Pod koniec zeszłego roku jego wartość miesięczna zaczęła już przekraczać 100 mld zł. Eksport będzie nadal jednym z głównych silników polskiej gospodarki.

Spodziewane jest też odbicie konsumpcji. Pytanie jednak, co zrobią konsumenci w sytuacji, gdy gospodarka zupełnie się otworzy. Pierwsza hipoteza jest taka, że gremialnie zaczną wydawać odłożone podczas pandemii pieniądze np. na wyjazdy wakacyjne, posiłki w restauracjach, pobyty w hotelach etc. Druga hipoteza mówi jednak, że pandemia była tak dużym szokiem dla Polaków, pokazującym kruchość świata, że w związku z tym konsumenci nie będą wcale masowo realizować odłożonej konsumpcji, ale nadal będą oszczędzać na czarną godzinę.

Na razie wszystko wskazuje na to, że Polacy raczej rzucą się w wir zakupów i wyjazdów. A co z inwestycjami?

Tutaj może być większy problem. Dla inwestycji najważniejszy jest spokój. Jeśli niepewność jest wysoka – a tak wciąż w związku z pandemią jest – to firmy długo zastanawiają się nad podejmowaniem inwestycji. Tu jest więc pole do aktywności państwa, które powinno prowadzić programy inwestycyjne na dużą skalę.

Po szoku pandemicznym Polacy doświadczają szoku inflacyjnego. W ostatnich miesiącach ceny rosną wyjątkowo gwałtownie. A zdaniem wielu bankowych analityków wcale nie jest to przejściowe zjawisko. Polacy powinni się przygotować na wiele miesięcy lub wręcz wiele lat z wysoką inflacją?

Inflacją trzeba się przejmować, jeśli nie jest zjawiskiem tymczasowym, jeśli dostępne prognozy wskazują na to, że będzie utrzymywała się dłużej na podwyższonym poziomie i przekraczała cel inflacyjny, a także wtedy, jeśli firmy i konsumenci zaczynają się spodziewać, że ceny w najbliższych miesiącach i kwartałach będą rosły coraz szybciej.

Tak już przecież jest. Drożyznę widać wszędzie.

Tak powoli zaczyna być. Inflacja rośnie nie tylko w Polsce, lecz także w wielu państwach na świecie. To, co nas radykalnie wyróżnia, to fakt, że my wchodziliśmy w pandemię koronawirusa z wysoką inflacją. W lutym 2020 r. inflacja w Polsce osiągnęła poziom aż 4,7 proc., a oczekiwania inflacyjne zaczęły szalbować, podczas gdy w strefie euro nie przekraczała 1 proc.

Moim zdaniem, gdyby nie pandemia, to prawdopodobnie inflacja w Polsce wzrosłaby do poziomu 5 proc. w pierwszej połowie zeszłego roku. Nie możemy więc w Polsce mówić o tym, że inflacja jest zjawiskiem tymczasowym. Ponownie widać również wzrost oczekiwań inflacyjnych. Polacy są zresztą narodem, który w porównaniu z innymi w Europie wyjątkowo mocno boi się inflacji.

Czynniki inflacyjne są zaś obecnie w Polsce mocno widoczne, i to z wielu stron. Wzrosły ceny ropy, podrożały prawa emisji CO₂, na podwyżki wpłynęły poprzerywane łańcuchy dostaw etc. Widać też pierwsze symptomy presji inflacyjnej wywoływanej zwiększającym się popytem w wielu obszarach gospodarki. Rosną też ceny regulowane.

W Czechach ceny rosną wolniej niż w Polsce, a mimo to Narodowy Bank Czech już sygnalizuje możliwość podwyżek stóp. Również Węgrzy, którzy w kwietniu zastąpili Polskę na niechlubnej

pierwszej pozycji kraju o najwyższej inflacji w całej Unii, sugerują, że już w czerwcu mogą podnieść stopy. Dlaczego polska Rada Polityki Pieniężnej wciąż udaje, że nie widzi zbyt wysokiej inflacji, i nadal próbuje komunikować rynkowi, że bardziej prawdopodobna jest możliwość obniżenia niż podwyższenia stóp procentowych?

Jedyną osobą, która ma ustawowy mandat do mówienia w imieniu Rady Polityki Pieniężnej, jest jej przewodniczący prof. Adam Glapiński. Moje stanowisko jest jasne i mam nadzieję, że dość jasno prezentuję je od dłuższego czasu. W styczniu 2020 r. poparłem wniosek o symboliczną podwyżkę stopy procentowej o 15 punktów bazowych, ponieważ sytuacja inflacyjna robiła się niebezpieczna. Gdybyśmy ją wtedy podwyższyli, to dzisiaj rzeczywiście moglibyśmy wiarygodnie komunikować, że nie reagujemy na wysoką inflację, bo gospodarka wychodzi z pandemii.

Przecież to właśnie RPP komunikuje, a jeszcze kilka miesięcy temu prezes NBP mówił o ryzyku deflacji w Polsce. Rynek wprost zadaje pytanie: Dlaczego nie robiliście nic nawet wówczas, gdy nie było jeszcze pandemii?

Brakiem reakcji na początku zeszłego roku RPP postawiła się w bardzo trudnej sytuacji. Komunikacja RPP powinna była więc się zmienić już kilka miesięcy temu. Jak najszybciej powinna się też zmienić stopa rezerwy obowiązkowej.

Czy prawie dwucyfrowy wzrost płac w kwietniu powinien nas cieszyć?

W kwietniu wynagrodzenia wzrosły o 9,9 proc. Cieszyć się ze wzrostu płac można wtedy, gdy nie towarzyszy temu silnie rosnąca inflacja. Chodzi przecież o to, by rosły realne wynagrodzenia. Ten szybki wzrost płac może być oczywiście naturalnym symptomem odradzania się gospodarki i oby tak było. Może być też sygnałem tego, że ludzie dostrzegają silnie rosnące ceny i spodziewając się wyższej inflacji, żądają wyższych wynagrodzeń, co sprawia, że przedsiębiorcy podnoszą ceny, bo też spodziewają się wyższej inflacji.

Jesteśmy na początku spirali inflacyjno-płacowej?

Nie chcę stawiać takiej tezy, choć trzeba odnotować, że przeciętna płaca w Polsce już teraz jest powyżej trendu sprzed pandemii. Słyszemy więc wyraźne dzwonki ostrzegawcze i jako Rada Polityki Pieniężnej nie możemy być na nie głusi. Inflacja dochodząca do poziomu 5 proc. to już wysoka inflacja.

■ A żadna z prognoz, którymi dysponuje, nie zakłada możliwości powrotu inflacji poniżej poziomu 3,5 proc. w perspektywie końca tego roku.

Jeśli stopa procentowa w Polsce wynosi 0,1 proc., a inflacja zbliża się do 5 proc., to realna stopa procentowa jest na poziomie bliskim minus 5 proc.

I chociaż niski koszt pieniądza działa pozytywnie nie tylko na koszt obsługi długu publicznego, lecz także na popyt i odbudowę gospodarki po pandemii – ludzie widząc, jak topnieje wartość ich oszczędności w bankach, powinni z założenia zwiększać konsumpcję, jednak wartość pieniądza maleje, a przecież jej ochrona jest celem NBP.

Chce pan powiedzieć, że potrzebna jest nagła i istotna podwyżka stóp? To mogłoby obalić rząd.

Broń Boże! Czasy Balcerowicza się skończyły. Nie możemy ostro walczyć z inflacją, podnosząc gwałtownie stopy, bo jesteśmy w delikatnym okresie wychodzenia z pandemii. Z drugiej strony, jeśli w ogóle nie zareagujemy, to dopiero będzie problem.

Obawiam się bowiem scenariusza, w którym konsumenci i firmy zaczną utwierdzać się w przekonaniu, że nie ma takiego splotu okoliczności, przy którym Rada Polityki Pieniężnej może podjąć decyzję o wzroście stopy procentowej. Taka decyzja nie zapadła na początku ubiegłego roku, gdy mieliśmy wysoką inflację i oczekiwania inflacyjne. Teraz znów mamy wysoką inflację, wyjątkowo niskie bezrobocie i bardzo wysoką dynamikę wynagrodzeń. To jest środowisko, które naturalnie sprzyja wzrostowi inflacji. Jakaś reakcja po stronie polityki pieniężnej jest więc konieczna.

Dodatkowo na wysokiej inflacji zawsze najwięcej tracą najbardziej biedni – większość swoich dochodów konsumują, nie kupują mieszkań na wynajem i obligacji. Szacuję, że dla najbardziej ubogich gospodarstw domowych inflacja może być nawet o 0,6 punktu procentowego wyższa niż dla lepiej zarabiających, czyli jeśli w kwietniu GUS podał wysokość inflacji na poziomie 4,3 proc., to najbardziej ubogim już w kwietniu stykali się z inflacją wynoszącą ok. 5 proc.

Zamożniejsi Polacy też sporo tracą na obecnej polityce pieniężnej. Polacy nigdy nie należeli do najbardziej oszczędnych narodów w Europie. Nie obawia się pan, że utrzymywanie przez bank centralny ujemnych realnych stóp procentowych

W najbliższym czasie Rada Polityki Pieniężnej powinna rozważyć symboliczną podwyżkę stopy procentowej, np. o 15 punktów bazowych

sprawi, iż przeciętny Kowalski słusznie uzna, że w naszym kraju nie ma sensu oszczędzanie na przyszłość, bo potem i tak prędzej czy później wartość majątku zjada zbyt wysoka inflacja?

Ludzie, którzy mają gotówkę na lokatach, nie przeznaczą nagle wszystkich oszczędności na konsumpcję. Ponieważ widzą, co się dzieje, kupują np. kolejne mieszkanie na wynajem. Zmienia się więc struktura oszczędności, co niesie ze sobą ryzyko nadmiernego wzrostu cen aktywów. Warto pamiętać, że 60 proc. wartości wszystkich kredytów hipotecznych w Polsce skoncentrowane jest w 20 proc. najbogatszych gospodarstw domowych. Ci najbardziej nie mają zdolności kredytowej. Jeśli zaś ceny mieszkań szybko rosną, to nawet jeśli w końcu dana rodzina uzyska jakąś zdolność kredytową, to będzie musiała wziąć wyższy kredyt lub kupić mniejsze mieszkanie.

Obawiam się, że obecna polityka pieniężna będzie prowadziła do obniżenia oszczędności jako takich w gospodarce. W głębi duszy jestem konserwatystą. Mocno obawiam się długookresowego wpływu obecnej polityki pieniężnej na nasze konserwatywne wartości. Świat, w którym realna stopa procentowa w długim okresie jest ujemna, niesie ze sobą prosty komunikat: dobrze już było. W ten sposób mówimy ludziom: nie oszczędzaj, tylko konsumuj, np. zaciągając kolejny kredyt.

Dzisiaj wiele mówi się o frankowiczach, którzy zaciągając kredyty hipoteczne, wierzyli, że złoty będzie się umacniał wobec franka przez dwie, trzy dekady. Z kolei złotówkowicze są w o tyle uprzywilejowanej sytuacji, że rekordowo niskie stopy procentowe przekładają się na bardzo niskie raty. Jak ocenia pan ryzyko, że złotówkowicze, którzy dziś zadłużają się po rekordowo niskich stawkach, za kilka, kilkanaście lat boleśnie odczują fakt, iż zadłużali się w czasach najniższych w historii stóp procentowych, ponieważ ignorowanie teraz inflacji zmusi w przyszłości bank centralny do bardzo stanowczych działań?

Nic na świecie nie jest wieczne, tak więc niskie stopy procentowe też nie

są wieczne. Zaciągając kredyt złotowy, zawsze warto więc założyć, że oprocentowanie, a za nim rata, może kiedyś wzrosnąć. Podobnie jak zaciągając przed laty kredyt walutowy, warto było zakładać, że kurs franka może się zmienić.

Pandemia koronawirusa pokazała też wyraźnie, że biorąc kredyt, nie należy być też nadmiernie optymistycznym co do przyszłej ścieżki zarobków. Może więc zamiast kupować od razu mieszkanie trzypokojowe, warto najpierw kupić dwupokojowe i wziąć mniejszy kredyt. Doradzałbym ostrożność w tego typu decyzjach.

To co teraz Rada powinna zrobić?

W najbliższym czasie Rada Polityki Pieniężnej powinna rozważyć symboliczną podwyżkę stopy procentowej, np. o 15 punktów bazowych, nastawioną na ograniczenie wzrostu oczekiwań inflacyjnych.

Taka podwyżka stóp byłaby też dowodem na wiarę banku centralnego w optymistyczny scenariusz rozwoju polskiej gospodarki. Historia świata zna mnóstwo przykładów, gdy zbyt łagodna polityka pieniężna prowadziła do naprawdę poważnych perturbacji nie tylko w gospodarce, lecz także w systemach politycznych. Jeśli więc teraz nie zareagujemy delikatnie, to może być tak, że za rok symboliczna podwyżka już nie wystarczy.

A nie martwi pana wręcz ogólnostanowiowa nadmierna skłonność do etatyzmu?

Nieco martwi. Zwolennicy tego podejścia przekonują, że pandemia pokazała, iż państwo musi mieć większe znaczenie. Oczywiście od jakości państwa zależy m.in. stan ochrony zdrowia i tam sprawnego państwa musi być więcej. Nadmierna wiara w sprawczość państwa i jednocześnie zbyt duża utrata wiary w rynek jest jednak niebezpieczna. Obserwujemy bowiem silny nurt, którego zwolennicy chcieliby zalać pieniądzem problemy strukturalne gospodarki. Problemów tych, takich jak choćby niska innowacyjność, nie da się jednak w ten sposób rozwiązać, choć oczywiście dostępność środków finansowych radzenie sobie z nimi ułatwia, podobnie jak odpowiednia polityka państwa. Polityka gospodarcza, a więc sztuka ekonomii, polega na tym, aby znaleźć odpowiedni balans pomiędzy państwem a rynkiem.

Stawy? Połączona formuła LR

artykuł sponsorowany

Rewelacyjnie skuteczna! Tysiące Polaków zaufało formule znanej już od 2 tys. lat! Podejmij walkę aby osiągnąć pozytywne rezultaty.

STOSUJĘ NAPRZEMIENNIE I W KOŃCU CZUJĘ SIĘ SPRAWNA!

Mam na imię Elżbieta i jestem emerytowaną nauczycielką. Mieszkam pod Warszawą. Od około 3 lat dokuczają mi stawy, bardzo mnie boli lewe kolano i łokieć. Teraz na dodatek doszła mi cięśń nadgarstka. To jest straszny ból, po kilka razy w ciągu nocy. Miałam więc przepisany zabieg. Jednak wcześniej poszłam po radę do sklepu zielarskiego mojej przyjaciółki Kasi. Się niedaleko koło pobliskiego sklepu, więc dałam radę tam wolno sobie pospacerować. Moja Kasia zna mnie dobrze, nawet nie muszę jej mówić, ona widzi co mi dolega. Od razu podzieliła się ze mną po prostu swoim nowym odkryciem na stawy.

Ona także miała ostatnio bóle reumatyczne. Jej czasopismo specjalistyczne pisało o tym, że mają coś bardzo dobrego na stawy: kompleksowa, połączona kuracja LR, czyli jak mi wytłumaczyła laurowo-rozmarynowa. Mówiła, że stosowano ją już w starożytności ok 2000 lat temu. Zaciekało mnie to, a teraz mówią o tym naukowcy i badania naukowe. Jest tam podobno wszystko, co skuteczne i dobre na stawy. Zaopatrzyłam się w te nowości inne do smarowania i inne do picia. Szybko nasmarowałam całe kolano, łokieć, nadgarstek, uda, pachwiny, biodro i mniejsze stawy. Kropelki laurów i kropelki rozmarynowe zmieszałam i wypilałam wg receptury, czyli 3 razy dziennie. Smarowanie robiłam na przemian, raz laur, raz rozmaryn. Słyszałam, że to wszystko razem najlepiej zadziała. A teraz po miesiącu dziękuję Kasi. Ustąpiły moje przewlekłe bóle i nocne wzmaganie ze stawami. Nareszcie mogę spać całą noc. Nawet moja cięśń nadgarstka ustąpiła. Teraz do Kasi prawie biegam, ale nie po radę, tylko na herbatkę. Polecam gorąco!

- Elżbieta Róztoczyńska, I. 60

UŁŻYŁO MI! TO WSPANIAŁE...



Olejek laurów i rozmarynowy do wewnątrz polecił mi znajomy. Kuracja nimi okazała się bardzo skuteczna, dlatego zastosowałam dodatkowo kurację laurowo-rozmarynową do smarowania. Teraz rano stosuję laur i zauważam poprawę w obrębie stawów kolanowych, gdzie ból był najsilniejszy, a wieczorem rozmaryn, który rozluźnia moje nogi i czuję ulgę oraz odprężenie po całym dniu. W nocy nie sprawia mi już problemu schodzenie z łóżka, aby chodzić do toalety. Stosuję połączoną kurację laurowo-rozmarynową LR wewnątrz i zewnątrz około miesiąca i zauważam dużą poprawę. Na dzień dzisiejszy jestem zadowolony, ból stopniowo ustępuje. Zdaje sobie sprawę, że stosowanie lauru i rozmarynu powinno trwać dłużej ponieważ składniki naturalne muszą się przyswoić.

- Robert Rysicki, I. 58

NAUKOWCY POTWIERDZAJĄ!

Czujesz, że twoje kolana i biodra nie są już tak sprawne jak kiedyś? Podobnie jak twoje palce i nadgarstki? Codzienne czynności stają się udręką? To kryształki toksycznych kwasów, które usadowiły się w stawach.

Polecana kuracja LR (laurowo-rozmarynowa) do wewnątrz krople a na zewnątrz do smarowania przyniosła realną nadzieję na poprawę. Teraz kompletna i innowacyjna kuracja penetrująca LR stanowi kolejny krok na drodze do pełnej poprawy dyskomfortu.

INNOWACYJNE POŁĄCZENIE

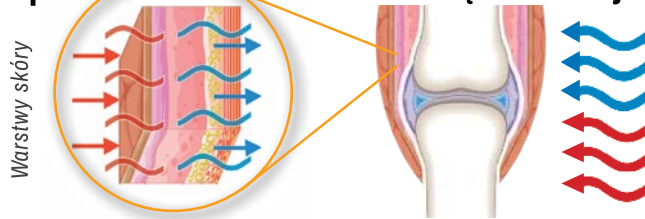


KURACJA LR LAUROWO-ROZMARYNOWA

do wewnątrz pij krople



na zewnątrz smaruj



SZYBKE I SKUTECZNE DZIAŁANIE! ZWIĘKSZONE PRZENIKANIE DO GŁĘBOKICH WARSTW SKÓRY



Zwykle działanie jest powierzchniowe, ponieważ rogowa warstwa naskórka ogranicza skuteczność działania. Natomiast połączenie laurowo-rozmarynowe stosowane naprzemiennie, wnika natychmiastowo w głębokie warstwy skóry, dzięki temu uzupełniająca się kuracja jest dużo bardziej wydajna i skuteczna a rezultaty działania potrafią być jednocześnie natychmiastowe oraz długofalowe.

LAUR działa powierzchniowo i na środkowe warstwy skóry. Ma doskonałą wchłanianie i przenikanie.

ROZMARYN działa na głębiej położone tkanki, posiada również doskonałą wchłanianie i przenikanie. Działa skutecznie blisko połączonych nerwowych co daje natychmiastowy efekt.

TO DZIAŁA!

Moja przygoda z kuracją laurów zaczęła się już dawno. Na początku stosowałam olejek z liści laurów do wewnątrz i efekt był zadowalający. Kilkanaście dni temu natknąłem się na artykuł, że można go również stosować w innej postaci na skórę. Przeczytałem też, że stosując kompleksową kurację laurowo-rozmarynową efekt będzie najlepszy. Postanowiłem zastosować to połączenie na kolana i nadgarstki i już po kilku dniach poczułem ogromną poprawę. Teraz stosuję krople laurów i rozmarynowe do wewnątrz, mieszając, piję 4 razy dziennie oraz smaruję stawy naprzemiennie. Moja 30 letnia córka Monika widząc moją lepszą sprawność i mniejsze narzekanie, obiecała, że będzie

mnie pilnować, żebym się codziennie smarował i pił te kropelki. Jak powiedziała tak zrobiła bo moja córka jest bardzo konkretna. Jestem z niej taki dumny. Paczkę otrzymałem po dwóch dniach. Zaczęłam stosować na moje zbolale stawy. Ach jak to korzennie wszystko pachnie gdy używam. A moje stawy chodzą teraz jak szwajcarski zegarek. Biodra, kolana, stawy, łokcie, nadgarstki, wszystko to teraz mam zadbane. Czuję się doskonale. Dziękuję swojej kochanej córce za opiekę i kurację laurowo-rozmarynową za skuteczne działanie.

- Tadeusz Niemczyk, I. 70

CAŁA RODZINA CZUJE SIĘ LEPIJ

Jednocześnie stosuję kompleksową kurację laurowo-rozmarynową, wewnątrz krople rozmarynowe i laurów razem (3 razy dziennie) i zewnątrz na przemian raz laur raz rozmaryn do smarowania. Moja siostra cierpi na bóle biodra i odczuwa ogromną ulgę. Ale i ja czuję rewelacyjną poprawę. To wręcz niesamowite jaka jest siła natury! Czuję jakby moje stawy się odblokowały i naoliwiły. U nas problemy ze stawami są rodzinne, genetyczne. Często wymieniamy się nieprzyjemnymi odczuciami. Teraz nasze rozmowy zmieniły się i aktualnie rozmawiamy o fantastycznej wręcz poprawie naszego zdrowia. A wszystko to dzięki kompleksowemu działaniu kropelek laurów i rozmarynowych oraz naprzemiennemu smarowaniu stawów raz laurem a raz rozmarynem.

- Barbara Lasoń, I. 54

Prezydent USA Franklin Delano Roosevelt

FOT. LIBRARY OF CONGRESS

Jak Nowy Ład przedłużył kryzys



Tomasz Cukiernik

Amerykański New Deal prezydenta Franklina Delano Roosevelta nie jest dobrym wzorem do naśladowania

Jedni komentatorzy sceny politycznej przyrównują unijny Fundusz Odbudowy do amerykańskiego planu Marshalla realizowanego po drugiej wojnie światowej, a inni – do przedwojennego Nowego Ładu prezydenta Roosevelta. Oba hasła – plan Marshalla i New Deal – wymieniane są często przez lewicę zamiennie jako metoda uzdrowienia gospodarki. Sam PiS pro-

muje swój nowy społeczno-gospodarczy program jako Polski Ład, którego realizacja ma zostać wsparta przez pieniądze z unijnego Funduszu Odbudowy. Do tego hasła odwołuje się również premier Mateusz Morawiecki. Szef rządu mówi o Nowym Polskim Ładzie, który spowoduje, że za jakiś czas Polska będzie najlepszym miejscem do życia w Europie.

PODNIĘŚĆ PŁACE I CENY

Wokół programu Roosevelta narosło wiele mitów i półprawd. Powszechnie uważa się, że poprzez głęboką ingerencję państwa w gospodarkę wyciągnął on USA z wielkiego kryzysu, który wybuchł na przełomie lat 20. i 30. XX w. Czy tak rzeczywiście było? Czym tak naprawdę był amerykański Nowy Ład i jakie były jego skutki?

Rooseveltofski New Deal to zbiór ustaw, które w ciągu kilku lat zostały wprowadzone, a następnie zrealizowane (najważniejsze z nich amerykański Sąd Najwyższy uznał później za niekonstytucyjne). Za pomocą tych ustaw rząd mocno ingerował w rynkowe mechanizmy w przemyśle, rolnictwie, w stosunkach pracy, a także ustanawiał regulacje socjalne i realizował wielkie inwestycje publiczne. Z tym wiązało się radykalne zwiększenie wydatków rządowych na rosnącą biurokrację, programy robót publicznych i subsydia. Zadłużano państwo i podnoszono podatki (w latach 1933–1940 dochody federalne wzrosły z 1,6 mld do 5,3 mld dol.).

Ustawa o przystosowaniu rolnictwa z 1933 r., która utworzyła urząd o nazwie Amerykańska Rada Rolnictwa, miała na celu wsparcie farmerów poprzez sztucz-

ne podniesienie cen produktów rolnych. To jednocześnie miało spowodować, że mający większe dochody rolnicy kupowaliby więcej towarów, co pomogłoby także przemysłowi. W związku z tym zdecydowano o wypłacaniu farmerom subsydiów za ograniczanie lub nawet zaprzestanie produkcji rolnej. Chodziło o to, by spadek podaży wywołał wzrost cen. Doszło do gigantycznego marnotrawstwa. Zaorano 4 mln ha gotowych do zebrania plonów, zniszczono ziarno i zaszlachtowano miliony zwierząt hodowlanych, w tym 6 mln prosiąt, zanim urosły do rozmiaru dorosłych świń. Na dodatek nałożono nowy podatek na przetwórców (młynarzy, rzeźników). Rzeczywiście – ceny produktów rolnych wzrosły, ale skutek był taki, że mniej ludzi było na nie stać. W rezultacie działania te – jak pisze historyk Jan Jakub Tyszkiewicz w książce pt. „W cieniu błękitnego orła” – wstrzymały „proces dostosowywania się rynku do sytuacji kryzysowej, tym samym przedłużając jej trwanie”.

Podobne założenie miała ustawa o narodowym odrodzeniu przemysłu z 1933 r., która ustanowiła Krajową Radę Odbudowy: spekulowano, że kiedy wzrosnie siła nabywcza pracowników, gospodarka odżyje. Profesor Lee Ohanian, ekonomista z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, tłumaczył w nagraniu dla Prager University, że prezydent Roosevelt uważał, iż może sztucznie podwyższyć zarówno ceny, jak i płace. Wyższe ceny miały zwiększyć zyski przedsiębiorców, a wyższe płace miały zwiększyć dochody pracowników. Kalkulował, że dzięki wyższym zyskom przedsiębiorców będą oni mieli więcej pieniędzy na zatrudnienie nowych pracowników. To z kolei spowoduje, że pracownicy kupią więcej produkowanych dóbr konsumpcyjnych. W ten sposób miało dojść do nakręcenia koniunktury gospodarczej. Zgodnie z tą

logiką zamiast likwidować monopole, zmuszono przedsiębiorców do wstępowania do posiadających pełnomocnictwo rządowe karteli (było ich ok. 700) oraz w ich ramach do wypłacania wyższych płac i zwiększenia zatrudnienia. Konkurencja rynkowa została stłumiona.

ROZROST PAŃSTWA

Lawrence W. Reed z Fundacji Edukacji Ekonomicznej w książce pt. „Wielkie mity wielkiego kryzysu” podaje, że Krajowa Rada Odbudowy „była finansowana z nowych podatków, nałożonych właśnie na te dziedziny przemysłu, które kontrolowała” i niektórzy ekonomiści szacują, że „podniosła koszt prowadzenia działalności gospodarczej przeciętnie o 40 proc.”. Efekt był odwrotny od oczekiwanego, bo – jak zauważa prof. Ohanian – w tym wszystkim umknęła bardzo ważna rzecz: sztuczne podniesienie płac zwiększa również koszty pracy, co oznacza, że przedsiębiorcy zatrudniają mniej, a nie więcej pracowników. Co więcej, sztuczne podniesienie cen zmniejsza popyt, ponieważ ludziom nie wystarcza pieniędzy.

Rosnące koszty produkcji prowadziły do wzrostu cen produktów, do zwalniania pracowników, zmniejszania produkcji lub do bankructw firm. Według Reeda „w ciągu sześciu miesięcy od wejścia ustawy w życie produkcja przemysłowa spadła o 25 proc.”. Co więcej, lokalni przedsiębiorcy zaczęli odcinać się od gospodarki krajowej i podziału pracy, umocniły się czarny rynek i przestępczość. Regulacje wpływały na przedsiębiorców i farmerów w pajęczynę lobbingu i korupcji w kontaktach z państwem. Jak zauważa w „Niepoprawnej politycznie historii Stanów Zjednoczonych” historyk i autor książek dr Thomas E. Woods, przy rozdzielaniu środków publicznych dużą rolę odgrywały kwestie polityczne,

a na pracowników agencji rządowych wywierano presję, aby głosowali na kandydatów Partii Demokratycznej i wspierali kampanię prezydencką Roosevelta.

Kolejna ustawa wprowadzała państwowe ubezpieczenia na wypadek bezrobocia oraz emerytury dla osób starszych. Powołano rządową agencję ubezpieczenia społecznego, a świadczenia były finansowane z nowego, sześcioprocentowego podatku od wynagrodzeń.

Następna regulacja, tzw. ustawa Wagnera z 1935 r., tworzyła Krajową Radę ds. Stosunków Pracy, która egzekwowała przestrzeganie umów zbiorowych i nadała nowe uprawnienia związkom zawodowym. To zwiększyło uzwiązkowienie w gospodarce, powodowało dodatkowe podnoszenie płac oraz przyniosło wzrost liczby strajków (w latach 1936–1937 ich liczba się podwoiła), co z kolei uderzyło w produktywność i spowodowało wzrost bezrobocia. Jak podaje prof. Ohanian, w efekcie zarówno płace, jak i ceny wzrosły o ok. 20 proc., co zahamowało spontaniczny proces szybkiego wychodzenia z kryzysu w tempie rosnącej produktywności, poprzez z jednej strony obniżkę cen, a z drugiej podwyżkę płac pracowników.

W ramach Nowego Ładu wprowadzono także podatek dochodowy od osób prawnych oraz podniesiono najwyższą stawkę podatku dochodowego do 79 proc.

Jedną z ostatnich ustaw była ustawa o uczciwych standardach pracy z 1938 r., która ustalała płacę minimalną na poziomie 25 centów za godzinę i tydzień pracy na maksymalnie 44 godziny, co szczególnie uderzyło w biedniejszą część społeczeństwa, czyli Afroamerykanów – pracę straciło wtedy ok. 0,5 mln czarnoskórych pracowników.

REKLAMA

LAUROSEPT + STAWOSAN + ROZMARINE + STAVOX
SUPLEMENT DIETY

STAWY?

Teraz poczwórnie, skuteczne działanie!

WYKORZYSTAJ EFEKT WSPÓŁDZIAŁANIA: do **WEWNĄTRZ** krople + na **ZEWNĄTRZ** kremy

krople i krem laurowy

krople i krem rozmarynowy

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!
Z DOSTAWĄ DO DOMU!
33 817 34 24
33 817 34 25
602 883 921
OD 8:00 DO 20:00
ORAZ
w aptekach
i sklepach zielarskich
www.asepta.pro
ASEPTA
Rok założenia 1998

Do tego doszły wielkie programy robót publicznych, które miały zwalczać bezrobocie i zwiększyć siłę nabywczą społeczeństwa w celu ożywienia gospodarczego. Państwo zatrudniło 8,5 mln bezrobotnych, którzy zbudowali 116 tys. budynków publicznych, 77 tys. mostów i prawie 300 lotnisk. W tym celu najpierw utworzono Urząd Prac Cywilnych, a następnie Urząd Rozwoju Pracy, które same pożerały spore fundusze na własną biurokrację. Jak podaje Reed, nowe urzędy zatrudniały ludzi także do tak „potrzebnych” prac, jak odstraszenie szpaków od budynków publicznych czy zbieranie chwastów rozsiewanych przez wiatr.

Co gorsze, Jan Jakub Tyszkiewicz pisze, że przemysł zbudowany za pieniądze podatników stał się nieuczciwą konkurencją wobec istniejących firm prywatnych. Na przykład nowe państwowe hydroelektrownie budowano w miejscach, gdzie nie brakowało prądu (Urząd Doliny Tennessee). W ten sposób tańszą, bo dotowaną przez podatników energią rugowały one z rynku niedotowane elektrownie prywatne. A kapitał państwowy – jak zauważa Woods – przy tej okazji był marnotrawiony, ponieważ „projekty rządowe nie są poddawane sprawdzianowi zysków i strat, który kieruje przedsiębiorcami przy podejmowaniu decyzji co do inwestycji”.

Te wszystkie reformy wiązały się z budową olbrzymiej biurokracji. W ciągu tzw. stu dni Roosevelt bardziej zadłużył USA niż Herbert Hoover w ciągu dwóch lat. Reed wylicza, że „pomiędzy rokiem 1933 a 1936 wydatki rządowe zwiększyły się o ponad 83 proc. Federalny dług gwałtownie wzrósł o 73 proc.”. Zasiłki i roboty publiczne odciągały ludzi od pracy w sektorze prywatnym. Woods dodaje, że pojawiło się też zjawisko „niepewności systemu politycznego”, które polegało na tym, że przedsiębiorcy, w obawie przed nowymi szkodliwymi pomysłami rządu, przestali inwestować. Prywatny kapitał potrzebny do rozpędzenia gospodarki został utracony lub uciekł do podziemia.

TO NIE DZIAŁA

Także oficjalne dane amerykańskiego urzędu statystycznego pokazują, że New Deal nie uzdrowił amerykańskiej gospodarki. W 1939 r., po siedmiu latach rooseveltowskiej reformy, PKB na osobę był nadal niższy niż dekadę wcześniej, podobnie jak wydatki konsumpcyjne i wartość prywatnych inwestycji.

Największą szkodą, którą wyrządził New Deal, jest funkcjonujący do dziś mit o wspaniałym programie interwencji rządowych

W 1939 r. poziom bezrobocia w USA wynosił 17,2 proc., czyli był wyższy niż w roku 1931 (16,3 proc.), podczas gdy przed kryzysem sięgał zaledwie 3 proc. Jak ustalili ekonomiści Richard Vedder i Lowell Gallaway, do 1940 r. stopa bezrobocia była o 8 punktów procentowych wyższa, niż byłaby bez wzrostu praw związkowych i kosztów zatrudnienia narzucanych przez władze.

W 1939 r. Henry Morgenthau, zaufany sekretarz skarbu prezydenta Roosevelta, zapisał w swoim notatniku: „Zakosztowaliśmy wydawania pieniędzy. Wydajemy więcej niż kiedykolwiek przedtem, i to nie działa. [...] Po ośmiu latach funkcjonowania tej administracji stwierdzam, że mamy dokładnie takie samo bezrobocie, jakie było, kiedyśmy zaczęli [...], i w dodatku ogromny dług!”. Tyszkiewicz tłumaczy, że zgodnie z austriacką teorią cyklu koniunkturalnego kryzys trwa „tak długo, aż sytuacja na rynku się nie ustabilizuje, nagromadzone błędne inwestycje zbankrutują, a kapitał przestanie się w nich marnować”. Natomiast „w przypadku niedopuszczenia do rynkowej samoregulacji [...] kryzys siłą rzeczy się przedłuży i mocniej uderzy w całą gospodarkę. Udzielanie pożyczek upadającym firmom, kontynuowanie inflacji, zawyżanie płac i cen, stymulowanie konsumpcji i zniechęcanie do oszczędzania, dotowanie bezrobocia, finansowanie robót publicznych z pieniędzy podatników, podwyższanie podatków w celu zbilansowania rozdętego budżetu – to działania podejmowane przez państwo, które przedłużą kryzys”.

Tyszkiewicz podsumowuje, że regulacje Nowego Ładu miały negatywny wpływ na gospodarkę, ponieważ z ich powodu funkcjonowała ona poniżej swoich możliwości. Szacuje, że gdyby nie interwencjonizm Roosevelta, to wielki kryzys trwałby około dwóch lat. – Polityka, która miała przywrócić dobrą koniunkturę, w rzeczywistości przedłużyła kryzys – mówi prof. Ohanian. Jego zdaniem Nowy Ład wydłu-

żył wielki kryzys o siedem lat! W rzeczywistości USA wyszły z niego i przeżyły odrodzenie dopiero po drugiej wojnie światowej, kiedy uwolniono je zarówno od New Dealu, jak i regulacji z czasów wojny. Zaczęto też obniżać podatki, znosić bariery handlowe, a dzięki zakończeniu zmagani wojennych w 1948 r. budżet federalny w porównaniu z rokiem 1945 został zmniejszony do jednej trzeciej. Wydatki państwowe nie napędzają koniunktury, a jedynie wypierają prywatne inwestycje, które jako jedyne pozwalają wyjść z kryzysu.

Największą szkodą, którą wyrządził Nowy Ład, wydaje się funkcjonujący do dziś mit o wspaniałym programie rządowym, który poprzez masowe interwencje na rynku i radykalne zwiększenie kontroli państwa nad gospodarką wyciągnął rzekomo USA z wielkiego kryzysu. Kryzysu, który nie był wynikiem działań mechanizmów rynkowych – jak twierdzą niektórzy ekonomiści i politycy – a efektem prowadzonej przez Rezerwę Federalną polityki łatwego pieniądza. W latach 1921–1929 podaż pieniądza w USA zwiększyła się o niemal połowę.

Nowy Polski Ład nie jest dokładnie tym samym co amerykański New Deal, choć zapowiadanych jest wiele zbieżnych punktów, takich jak podnoszenie podatków oraz wzrost wydatków publicznych na państwowe inwestycje, dotacje, nową biurokrację i pomoc socjalną, co jeszcze bardziej zwiększy zadłużenie publiczne. Możemy się też spodziewać kontynuowania szkodliwej polityki niskich stóp procentowych.

Wiele regulacji, które wprowadzał New Deal, w polskim prawie obowiązuje od dawna: płaca minimalna, uprzywilejowanie związków zawodowych, ustawodawstwo pracy czy zasiłki i ubezpieczenia społeczne. Teraz możemy tylko czekać na negatywne skutki takiej polityki. Już mamy kryzys finansów publicznych (katastrofalny wzrost zadłużenia publicznego w krótkim czasie), ale mimo koronawirusowego lockdownu nie ma w Polsce kryzysu gospodarczego (przyswoity wzrost zapowiadany na ten rok, bezrobocie na niskim poziomie), który wymagałby jakichkolwiek działań ze strony państwa. Te działania wymusza unijny Fundusz Odbudowy, który wraz z regulacjami i nowymi podatkami z Brukseli uderzy ze zdwojoną siłą w polskich przedsiębiorców.

PIĄTKOWE PASMO W TV REPUBLIKA
ODDECH DLA UMYŚŁU

SPECJALIŚCI
OD
wszystkiego

21:00

RE
PUBLIKA
PYTA

22:00

21:30

KULISY
MANIPULACJI



Jakub Wozinski

Grupa TVN po trzech latach znów zmienia właściciela. Tym razem wraz z całą Grupą Discovery ma wejść w skład medialnego kolosa pragnącego rzucić wyzwanie Netflixowi

Swiat mediów ulega w ostatnich miesiącach błyskawicznym przeobrażeniom, a zmiany właścicielskie stacji z ul. Wiertniczej stanowią tego najlepszą ilustrację. Jeszcze kilka lat temu Grupa TVN wydawała się mieć naprawdę stabilną pozycję, osiągając rekordową na polskim rynku oglądalność. Od kiedy jednak kilka lat temu nad Wisłą pojawiły się pierwsze telewizyjne platformy streamingowe, sytuacja zaczęła się mocno zmieniać. Polacy wciąż chętnie oglądają tradycyjną telewizję i raczej nieprędko zmieniają nawyki, ale w poprzednim roku popularność streamingu wideo wzrosła aż dwukrotnie i wszystko wskazuje na to, że ta tendencja się utrzyma, a nawet wzmocni.

UCIEKAJĄCE WPŁYWY Z REKLAM

Wraz ze zmieniającymi się upodobaniami widzów przeobrażeniom ulega także rynek reklamowy. Stacje telewizyjne zgarniały kiedyś lwią część profitów z reklam, natomiast dziś muszą dzielić się zyskami nie tylko z serwisami VOD, lecz także z gigantami technologicznymi (Big Tech podkrada wpływy z reklam już od wielu lat, a w szczególności Google i Facebook). Telewizja systematycznie traci na znaczeniu, a proces ten jest stonkowo najbardziej dotkliwy dla takich stacji jak TVN, której odbiorcy zaliczają się do grona najchętniej sięgających po nowe formy medialnego przekazu.

Kłopoty w Grupie TVN nasiliła dodatkowo pandemia, która jeszcze bardziej przyspieszyła proces przenoszenia się świata mediów do Internetu. Spadły przychody z reklam, a także oglądalność, co wymusiło dokonanie jesienią 2020 r. poważnych cięć. Właściciel Grupy TVN informował wówczas o konieczności redukcji zespołu zarządzającego, działu reklamy oraz pracowników technicznych.



Z pracą pożegnało się także kilkunastu dziennikarzy oraz zlikwidowano placówki korespondentów w Moskwie i Paryżu.

Problemy Grupy TVN nie wynikały zresztą jedynie z pandemii, lecz także ze wzmożonej konkurencji ze strony Polsatu oraz TVP. Stacje te rzuciły wyzwanie TVN m.in. w segmencie porannego pisma oraz uruchamiając własne kanały informacyjne. Gdy w 2012 r. stacja TVN24 otworzyła swoje nowoczesne prezentujące się studio, cała konkurencja przedstawiała się bardzo siernie. Od tego czasu dużo się zmieniło i dziś efektowne studio przestało być tak bardzo istotnym atutem. Dodatkowo silne zaangażowanie polityczne wyraźnie zniechęciło do niej znaczną część odbiorców. W efekcie, jak pokazały ostatnie badania, stacja TVN w 2020 r. straciła na popularności i zajmuje dziś stosunkowo odległe, bo dopiero czwarte miejsce w kraju.

NA WOJNIE Z NETFLIXEM

Nowym właścicielem Grupy Discovery, a przez to także całej Grupy TVN,

ma wkrótce zostać American Telephone & Telegraph. Nazwę zawdzięcza samemu Alexandrowi Grahamowi Bellowi, który powołał ją do życia jeszcze w 1877 r. AT&T to jeden z gigantów amerykańskiego biznesu, który nie został nigdy rozczłonkowany w oparciu o ustawodawstwo monopolowe, jak choćby Standard Oil, jedynie dlatego, że w czasie pierwszej wojny światowej spółkę czasowo znacjonalizowano. Do czasu pojawienia się telefonii komórkowej AT&T miało status i zasięg nieosiągalny dla całej konkurencji.

Oficjalnie szykowana transakcja określana jest mianem fuzji: należący do AT&T Warner Media połączy się z Grupą Discovery. Warunki transakcji przewidują jednak, że po połączeniu ponad 71 proc. akcji trafi w ręce dotychczasowych udziałowców AT&T. Obecnie trwają wciąż zaawansowane rozmowy, a sama transakcja ma zostać sfinalizowana w połowie 2022 r.

Grupa TVN w szykowanych zmianach odegra rolę zdecydowanie drugoplanową, by nie powiedzieć – epizodyczną,

CNN?



FOT. JOHNE STOK

nadal będzie to niewiele w porównaniu z Netflixem, ale dystans do nadrobienia będzie już zdecydowanie mniejszy. Tym bardziej że coraz większy udział w rynku zdobywają w ostatnim czasie m.in. Disney+, a także platforma streamingowa Amazona.

STREAMING PONAD WSZYSTKO

Podstawy do tego, aby gonić lidera, będą silne. Według wstępnych wyliczeń już w 2023 r. nowa spółka ma osiągać roczny przychód w wysokości 52 mld dol., z czego aż 15 mld ma pochodzić ze streamingu. Szacunki te mogą być trochę zbyt optymistyczne, lecz właśnie streaming stanowi podstawową przyczynę dokonywanej fuzji. Zarząd AT&T nie chce dopuścić do tego, aby Netflix stał się Facebookiem całej branży, i chce zaznaczyć w niej swoją obecność w momencie, gdy istnieje jeszcze możliwość realnej konkurencji. Już dziś Warner Media i Discovery wydają na produkcje dostępne w serwisach streamingowych łącznie aż 20 mld dol. rocznie, czyli więcej niż Netflix.

Skupienie całej uwagi na rozwoju telewizji streamingowej może nie być zbyt pozytywną informacją dla TVN, gdyż w ramach nowego układu właścicielskiego konieczne będzie znalezienie w całej grupie kolejnych oszczędności. AT&T kupiła Warner Media (wcześniej Time Warner) zaledwie trzy lata temu i ma w związku z tym wciąż spore zobowiązania finansowe. Z komunikatów prasowych wynika, że powstała w wyniku fuzji nowa spółka będzie miała aż 58 mld dol. długu, co w połączeniu z planowanymi wydatkami 20 mld dol. rocznie na rozwój streamingu może istotnie wpłynąć na kondycję wszystkich tradycyjnych stacji wchodzących w skład grupy. Każda fuzja daje oczywiście okazję do wielu oszczędności, lecz w wielkiej grze o stale rosnący rynek nadawca działający w Polsce raczej nie będzie postrzegany priorytetowo.

Z RĄK DO RĄK

Jeżeli fuzja Warner Media z Discovery dojdzie do skutku, to będzie to już trzecia zmiana właściciela Grupy TVN w ciągu ostatnich sześciu lat. Poprzednio w 2015 r. została ona sprzedana przez Grupę ITI amerykańskiemu Scripps Networks Interactive, który za pakiet kontrolny akcji zapłacił 854 mln euro. Kolejna zmiana właściciela nastąpiła

zaledwie dwa lata później, gdy amerykański koncern medialny Discovery Communications przejął właściciela TVN za 14,6 mld dol. Planowane obecnie przejęcie ma osiągnąć wartość 43 mld dol. Jak łatwo zauważyć, Grupa TVN przechodzi na własność koncernów o coraz większych rozmiarach, co raczej nie wzmacnia jej pozycji. W polskich warunkach TVN to wciąż silna marka, lecz w ramach nowego podmiotu jego znaczenie będzie niewielkie.

Kwestią otwartą pozostaje jeszcze oczywiście to, czy amerykańscy regulatorzy zgodzą się na fuzję. Tak znaczne operacje bywają niekiedy przedmiotem bardzo przewlekłych postępowań – przekonał się o tym zresztą sam koncern AT&T, który wiele miesięcy walczył o zielone światło na przejęcie Time Warner. Z punktu widzenia amerykańskiego państwa rozwój branży medialnej i podnoszenie konkurencji jest jednak jak najbardziej na rękę. Stany Zjednoczone to niekwestionowany światowy lider, a z jego serwisami jakkolwiek konkurują jedynie podmioty chińskie i japońskie. Amerykański sektor Big Media nie jest z pewnością tak dokapitalizowany jak Big Tech, lecz jego wpływy są równie ogromne.

Zapowiadana fuzja Warner Media z Discovery oznacza, że w Grupie TVN już wkrótce zostaną zapewne zaprowadzone zupełnie nowe porządki. Firma może wprawdzie zyskać na tym, że dzięki współpracy z potężnymi stacjami wchodzącymi w skład Warner Media otworzą się przed nią zupełnie nowe możliwości rozwoju, lecz tak częste zmiany właściciela rzadko kiedy przynoszą pozytywne efekty. Pewne nadzieje TVN może wiązać ze słowami Davida Zaslava, który dotychczas pełnił funkcję prezesa Discovery i ma również zarządzać nowym podmiotem po dokonanej fuzji. W jednym z wywiadów wyraził przekonanie, że po połączeniu jego firma będzie stawiała mocniej na stacje informacyjne. Zasugerował, że należące do grupy stacje z Europy mogą nawet zostać połączone z CNN w celu utworzenia najsilniejszej na świecie marki. Słowa te wskazują jednoznacznie, że TVN24 może już wkrótce bardzo ujednolicić przekaz z amerykańskim nadawcą. Biorąc pod uwagę dotychczasowe zaangażowanie polityczne stacji, nie wymagałoby to zbyt wielkich wyrzeczeń.

gdyż w całej transakcji powszechna uwaga skupia się na dużo bardziej dochodowych i rozpoznawalnych markach. Do Warner Media należą m.in. serie filmów o Harrym Potterze i Batmanie, stacja informacyjna CNN, HBO, TNT czy też Cartoon Network. Z kolei Grupa Discovery do swoich największych atutów zalicza m.in. wiele wiodących kanałów tematycznych (m.in. naukowych, przyrodniczych) oraz kanał kierowany przez niezwykle popularną w Stanach Oprah Winfrey.

Idea stojąca za fuzją Warner Media z Grupą Discovery sprowadza się do tego, aby utworzyć wielki medialny koncern zdolny konkurować z niekwestionowanym liderem telewizyjnego streamingu, czyli Netflixem. Obecnie kalifornijski gigant ma już ponad 208 mln subskrybentów na całym świecie, wyprzedzając tym samym w sposób znaczący goniącą go stawkę. Teraz ma się to zmienić, gdyż należący do Warner Media serwis HBO posiada 64 mln subskrypcji, a serwis Discovery – 15 mln. Po połączeniu



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Od rolników też 9 proc. do NFZ?

Z pustego i Salomon nie naleje. Muszą być dodatkowe środki. Każdy, kto korzysta ze służby zdrowia, musi mieć świadomość, że środki muszą być włożone proporcjonalnie do tego, jak kto zarabia. Błąd w konstrukcji systemu podatkowego naprawiamy właśnie po to m.in., żeby pojawiły się dziesiątki miliardów złotych więcej na naprawę służby zdrowia, bo ze służby zdrowia korzystają wszyscy i ona jest potrzebna wszystkim Polakom – mówił w Rykach premier Morawiecki także pod adresem polskich rolników, nie kryjąc, kto musi się liczyć – w ramach rządowego Polskiego Ładu – z płaceniem na służbę zdrowia, do NFZ, 9 proc. od swoich dochodów z pracy, i to bez prawa do odliczenia ich od podatku.

A nie, przepraszam... Premier Morawiecki w żadnym razie nie miał na myśli żadnego z półtora miliona polskich rolników, do których należy zaledwie ponad połowa z ponad 31 mln ha ziemi składających się na terytorium Polski i którzy przecież łożą na polską służbę zdrowia tak ciężkie pieniądze, że wprost nie da się ich udźwignąć. Ich składka zdrowotna – w przypadku rolników prowadzących zwykłe gospodarstwo rolne – wynosi przecież aż cały 1 zł od każdego pełnego hektara przeliczeniowego miesięcznie (czyli od 10 ha – 10 zł, a od 50 ha – 50 zł), a w przypadku prowadzących bardziej dochodowe działy specjalne produkcji rolnej – wręcz aż 252 zł miesięcznie!

Ba, premier Morawiecki także w żadnym razie nie miał – bo nie mógł mieć – na myśli rolników, ogłaszając, że „przecież ci wszyscy bogaci ludzie gdzieś mieszkają – i nie mieszkają na wyspach Bahama czy w Luksemburgu, tylko w Polsce. Korzystają z naszych dróg, chodników, szkół, służby zdrowia, czyli z infrastruktury budowanej przez całe społeczeństwo, i często jest tak, że nie łożą na to odpowiednio do swoich zarobków. To nieuczciwe”. Nie miał na myśli rolników, bo przecież rolnicy nie mogą łożyć na infrastrukturę „odpowiednio do swoich zarobków”, albowiem oni podatku dochodowego PIT – czyli podatku od swych dochodów – w ogóle nie płacą, więc stawianie im takiego zarzutu nie ma sensu i całkowicie rozmija się z elementarnymi zasadami logiki.

Podobnie jak, gdy już rząd zabierze się (w ramach Polskiego Ładu 2.0) do wyrównywania także składek do ZUS – tak by wszyscy płacili je w takiej samej proporcji do osiągniętych dochodów, to przecież w żadnym razie – i to nigdy, przenigdy! – nie będzie to dotyczyło rolników, którzy już teraz i w tej materii są obciążeni ponad ludzką miarę. I tak na przykład rolnik mający gospodarstwo o powierzchni do 50 ha musi płacić do KRUS aż 429 zł i to raz na kwartał, a jeśli nadto prowadzi pozarolniczą działalność gospodarczą, to aż 732 zł aż raz na kwartał.

PS Gdyby jednak rząd kiedyś wpadł na taki pomysł, to naprawdę nietrudno sobie wyobrazić, co w odpowiedzi zrobbiliby rolnicy, nieprawdaż? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Sanitaryzm się nie poddał

Przedsiebiorcy z najbardziej pognębionych branż wreszcie choć trochę odżyli. Restauratorzy mogą zarabiać, na razie na ogródkach, ale już niedługo szczęśliwie także wpuszczając klientów do środka. Najbardziej złośliwie potraktowano właścicieli stoków i wyciągów, którym pozwolono ruszyć dopiero na początku czerwca.

Tymczasem w miarę, jak robi się cieplej, jak znoszone są kolejne ograniczenia, łatwo zacząć zapominać o tym, co nas spotkało w ciągu trochę ponad roku. O skandalicznych

Zdrowia straszy powrotem do lockdownu w lipcu (powodzenia). Minister Dworczyk na Twitterze lamentuje, że szczepienia słabo idą, i prosi internautów o radę, co począć, a Polska ochoczo włącza się w program zielonego certyfikatu cyfrowego, czyli paszportu covidowego. Wariactwo się nie zakończyło, jedynie przycichło.

W tym czasie w Sejmie powstał Parlamentarny Zespół ds. Sanitaryzmu. Co ciekawe, zrzesza wyłącznie posłów klubu PiS: Annę Marię Siarkowską, Agnieszkę Górską, Małgorzatę Janowską, Mariusza Kałużnego, Sławomira Zawisłaka i Janusza Kowalskiego. Ciekawe, czy postanowią dołączyć posłowie z którejś z innych formacji. Chociaż gdyby ktoś miał być zainteresowany, to zapewne głównie ci z Konfederacji.

Zespół opiera się na dysydentach w Zjednoczonej Prawicy. Siarkowska, Janowska, Kałużny, Zawisłak i Kowalski głosowali przeciwko ratyfikacji Funduszu Odbudowy. To pokazuje, że w klubie jest niewielka, ale jednak wyraźna mniejszość idąca pod prąd. Także w samym PiS: Siarkowska, Janowska i Zawisłak nie należą do Solidarnej Polski.

Powołanie zespołu pokazuje, że pojęcie sanitaryzmu – groźnej ideologii, stawiającej zdrowie ponad wszystkimi innymi wartościami – staje się obecne nie tylko w publicystyce, lecz także w polityce. I dobrze. Bo żeby z jakimś zjawiskiem walczyć, trzeba je najpierw zidentyfikować i rozpoznać. ©©

Pojęcie sanitaryzmu – groźnej ideologii, stawiającej zdrowie ponad wszystkimi innymi wartościami – staje się obecne nie tylko w publicystyce, lecz także w polityce

nalotach policji na przedsiębiorców, o przegrywanych masowo przez sanepid procesach, o jawnie absurdalnych regulacjach, o ludziach, którzy stracili swoje budowane przez lata interesy. Zapominać zaś o tym nie wolno, zwłaszcza że nowe postaci starego zagrożenia wciąż się pojawiają. Nadal Naczelna Rada Lekarska dręczy lekarzy, którzy ośmielili się mieć odrębne zdanie o epidemii i środkach walki z nią. Ministerstwo

Pięć filarów rozwoju gospodarki



Piotr Hofman

Poznaliśmy założenia Polskiego Ładu. W dalszym ciągu jednak przed nami wiele znaków zapytania.

Kluczowe jest bowiem to, co znajdzie się w aktach prawnych, które te założenia będą wdrażać. Trzeba zatem poczekać na projekty ustaw, w których polityczne hasła przekute zostaną na przepisy

Na razie w moim przekonaniu Polski Ład jest ofertą niekompletną. W tej chwili przede wszystkim potrzebujemy programu rozwojowego, czyli takiego, który zdiagnozuje konkretne problemy ekonomiczne stojące przed naszym państwem, a następnie przedstawi konkretne mechanizmy ich rozwiązania. Taką treść miała Strategia na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, która szczegółowo opisywała najważniejsze przeszkody rozwojowe (w SOR nazwano je pułapkami) oraz dawała określone recepty, jak je ominąć. Tego w Polskim Ładzie na razie nie ma. Na razie, ponieważ z kręgów rządowych można usłyszeć, że nad tymi propozycjami można dyskutować, a władza otwarta jest na modyfikacje. To obiecująca zapowiedź i liczę na to, że rzeczywiście poważna dyskusja nad tym dokumentem się odbędzie.

Warto oczywiście docenić, że planowana jest realna i znaczna podwyżka kwoty wolnej od podat-

ku, z 3 tys. do 30 tys. zł. To dobrze, że podniesiona zostanie kwota, po której przekroczeniu wchodzi się w drugi próg podatkowy. Do tej pory było to 85 tys. zł., po zmianie zaś ma to być 120 tys. zł. Godne pochwały jest także rozwiązanie wspierające dostęp do mieszkań poprzez mechanizm gwarantowanego wkładu własnego na poziomie 100 tys. zł. Niepokój budzą zaś pomysły faktycznego podnoszenia podatków dla ludzi trochę lepiej uposażonych, trudno bowiem traktować jako bogacza kogoś, kto na rękę zarabia ok. 8 tys. zł. Liniowa składka w ubezpieczeniu zdrowotnym bez możliwości odliczenia od podatku to wyraźny wzrost obciążeń publicznoprawnych dla tysięcy drobnych przedsiębiorców. Nie sądzę, aby w momencie wychodzenia z kryzysu spowodowanego pandemią konieczny był taki ruch. Efekt może być podobny do opodatkowania spółek komandytowych CIT. To spowodowało kolejny realny problem dla wielu przedsiębiorców działających w takim modelu prawnym, ponadto dołożyło kolejne obciążenia podatkowe, głównie dla sektora MŚP. Innymi słowy, zamiast spodziewanych wpływów podatkowych czy składowych, może dojść do ograniczenia działalności ze względu na rosnącą wysokość danin.

Jeśli zaś chodzi o kwestie rozwojowe, to kilka spraw wydaje mi się niezwykle istotnych. Jeśli chcemy mieć państwo z prawdziwego zdarzenia, to konieczne jest oparcie go na następujących pięciu filarach: sprawnym wymiarze sprawiedliwości, efektywnej i pomocnej administracji, wysokiej jakości edukacji, dostępnej służbie zdrowia i nowoczesnej infrastrukturze komunikacyjnej. Niestety w tych aspektach w dalszym ciągu wiele pozostaje do zrobienia. Weźmy taką choćby administrację, która z założenia powinna pomagać obywatelowi w załatwianiu różnych spraw. Czy tak jest w istocie?

Czy może mamy do czynienia z potężną machiną, która zamiast wspierać i tłumaczyć, rzuca kolejne kłody pod nogi przedsiębiorcom i zwykłym obywatelom. Wymiar sprawiedliwości także nie działa w takim tempie, jakiego mamy prawo oczekiwać. Sprawy ciągną się latami, a to wpływa negatywnie na efektywną alokację zasobów w gospodarce.

Pewne nadzieje należy wiązać z zapowiedzią zwiększenia nakładów na służbę zdrowia. Tu działania muszą być szybkie i zdecydowane. Polskie szpitale są coraz nowocześniejsze, ale za parę lat może być tak, że nie będzie w nich personelu medycznego. Pielęgniarstwo to już niemal wymarły zawód, młodzi lekarze często wyjeżdżają na Zachód, bo w Polsce mają problemy ze zrobieniem specjalizacji i rozwojem swojej kariery zawodowej. A przecież mamy starzejące się społeczeństwo, które będzie wymagać opieki ze strony fachowego personelu medycznego.

Obiecując natomiast sprawy się mają, jeśli chodzi o rozbudowę infrastruktury. Tu jednak trzeba wymagać, aby planowane drogi i mosty budowały polskie firmy budowlane, z wiodącym udziałem polskiego kapitału.

Ze strategicznymi dokumentami dotyczącymi gospodarki jest trochę jak z projektowaniem domu. Trzeba zachować właściwą kolejność. Nie da się postawić dachu bez wcześniejszego wylania fundamentów. W Polskim Ładzie za dużo jednak mówi się już o postawieniu dachu (wzrost dobrobytu), a za mało o tym, na czym ma być oparta cała konstrukcja (przedsiębiorczość, inwestycje, innowacje, sprawna administracja i wymiar sprawiedliwości etc.). Tymczasem dom musi mieć silne podstawy. Być może to niedopatrzenie zostanie naprawione. Jeśli nie, to cała propozycja zasługuje na pięciostopniowej skali na ocenę nie wyższą niż trójka.

TEST „DO RZECZY”: ELEKTRONICZNY JUDASZ EZVIZ DP1C

Dobra jakość wideo, szybkie wykrywanie ruchu, błyskawiczne powiadomienia o niespodziewanych gościach oraz możliwość nagrywania filmów z monitoringu bezpośrednio na kartę microSD – to największe zalety elektronicznego wizjera drzwiowego firmy Ezviz.

Testowane urządzenie składa się z dwóch elementów. Pierwszy to cienka konstrukcja wykonana ze stopu cynku, którą montuje się na zewnątrz drzwi zamiast tradycyjnego wizjera. Stosunkowo dyskretny gadżet (jego rozmiary to 71 x 71 x 48 mm) wygląda elegancko i nie rzuca się za bardzo w oczy. Połączona z dzwonkiem kamera ma kąt widzenia wynoszący 104 stopnie oraz automatyczny tryb noktowizyjny, który uruchamia diody IR przy słabym oświetleniu. Dzięki niewielkim rozmiarom ta część nie rzuca się za bardzo w oczy. Uniemożliwia także potencjalnym przestępcom spojrzenie przez „wizjer” do wnętrza domu czy mieszkania.

Drugi element zestawu – kolorowy ekran o przekątnej 4,3 cala – umieszcza się już po wewnętrznej stronie drzwi. Po naciśnięciu dzwonka przez osobę stojącą przy drzwiach wyświetlacz automatycznie się włącza, by można było z daleka zobaczyć, kto czeka po drugiej stronie.

Obraz w rozdzielczości 720 pikseli jest ostry i wyraźny.



Otoczenie drzwi w czasie rzeczywistym można też oglądać na smartfonie lub tablecie. Po wiadomościach o tym, że ktoś stoi przed drzwiami, można otrzymywać również wówczas, gdy nikt nie naciśnie dzwonka. Urządzenie nieustannie monitoruje bowiem otoczenie i korzystając z algorytmów sztucznej inteligencji, potrafi trafnie zidentyfikować ludzi. Po wykryciu osób może wykonać zdjęcie i wysłać powiadomienie do użytkownika. W bezpłatnej aplikacji bez trudu można też pobrać klip wideo.

Gadżet pozwala również na dwukierunkową komunikację, czyli np. na zdalne prowadzenie rozmów z kurierem, kiedy akurat nikogo nie ma w domu. Po naciśnięciu dzwonka domofon łączy

się po prostu z podanym wcześniej numerem komórkowym. Będąc na egzotycznych wakacjach, łatwo można więc wyjaśnić kurierowi, gdzie zostawić paczkę.

Elektroniczny wizjer jest wyposażony we wbudowany akumulator o pojemności 4600 mAh, który na jednym ładowaniu powinien wytrzymać kilka tygodni.

Wady? Urządzenie jest stosunkowo drogie. Szkoda też, że w tej cenie producent nie dodaje karty microSD chociażby o pojemności 16 GB. Można oczywiście

korzystać z chmury producenta, ale w takim wypadku po bezpłatnym okresie próbnym trzeba już płacić abonament (przeglądanie nagrań z karty microSD jest darmowe). Po drugie, rozmiary elementu, który zastępuje tradycyjny wizjer, mogą okazać się zbyt duże. Przed zakupem warto to sprawdzić, by uniknąć konieczności wiercenia w drzwiach wejściowych. Po trzecie wreszcie, w przeciwieństwie do inteligentnych kamerek do monitoringu elektroniczny wizjer nie pozwala na ograniczenie w aplikacji strzeżonego pola widzenia. Dla osób mieszkających w bloku ten minus może wiązać się z wieloma fałszywymi alarmami, gdy do sąsiada naprzeciwko przyjdą goście.

Cena: 699 zł. © ©

Jacek Przybylski

DWA W JEDNYM: E-CZYTNIK I NOTATNIK

Kobo Elipsa to najnowszy czytnik książek z e-tuszuowym ekranem, który wreszcie umożliwia łatwe robienie notatek na marginesach, podkreślanie wybranych słów i całych akapitów, a nawet robienie rysunków. W zestawie użytkownik otrzymuje Kobo Stylus, czyli elektroniczny rysik do pisania po ekranie zasilany jedną baterijką AAAA. Sam wyświetlacz to duży 10,3-calowy ekran E-Ink Carta 1200 z podświetleniem ComfortLight o rozdzielczości 1404 x 1872 pikseli. W przeciwieństwie do papierowych książek Kobo Elipsa pozwala na szybkie przeszukiwanie wprowadzonych ręcznie komentarzy.

Można też łatwo wymazać wybrane lub wszystkie komentarze. Nowy model odczytuje 15 różnych formatów plików, w tym epub, mobi, PDF oraz wiele innych.

Kobo Elipsę można też wykorzystywać jako cyfrowy notatnik.

Premiera urządzenia przewidziana jest na 24 czerwca. Cena: ok. 1,5 tys. zł.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

LASER Z DŹWIĘKIEM

88LSV Sonic Screen Laser TV to hybryda klasycznego telewizora z projektorem krótkiego rzutu, która ma zamienić nasze salony w prawdziwą salę projekcyjną. Chińska firma Hisense chwali się, że to pierwszy na rynku telewizor laserowy z ekranem dźwiękowym. Nowy model ma wejść do sprzedaży w Polsce w lipcu. Urządzenie wyświetla obraz o przekątnej 88 cali w rozdzielczości 4K UHD z obsługą HDR. W ekranie wbudowanych jest 100 tys. jednostek audio, z których wydobywa się dźwięk. Urządzenie wyposażone jest też w niewielkie głośniki wbudowane w ramkę. I według producenta może emitować dźwięk wysokiej jakości z mocnym, donośnym basem. Żywotność urządzenia szacowana jest na 25 tys. godzin. Cena nie jest jeszcze znana, ale raczej będzie to kilkanaście niż kilka tysięcy złotych. © ©



Jacek Przybylski



Beata Bobkiewicz



Emilia Chrastina

Chociaż pogoda z początkiem maja nie rozpieszczała nas promieniami słońca, to jednak doczekaliśmy się wreszcie prawdziwej wiosny, a momentami już nawet lata. Kwitną drzewa i kwiaty, wieczory stają się coraz dłuższe i cieplejsze, znoszone są kolejne obostrzenia związane z COVID-19, a my zaczynamy coraz częściej myśleć o wakacjach. Część z nas ma z pewnością zarezerwowane miejsce na wypoczynek z rodziną czy też przyjaciółmi i w myślach stąpa już po piaszczystej plaży. Oczywiście jak zawsze pojawia się dylemat: wybrać się nad morze, w góry, a może jednak nad warmińskie jeziora. W obecnej sytuacji problem jednak staje się nie to, w którym kierunku się udamy, lecz to, czy będą dla nas miejsca w naszym ukochanym hotelu czy też pensjonacie – w najgorętszym sezonie dla hotelarzy.

GORĄCY SEZON

Od dłuższego czasu spotykamy się z sytuacją, w której najbardziej pożądane miejsca musimy rezerwować już zimą, by mieć pewność ich dostępności, a nie zawsze jest to możliwe, chociażby ze względu na nasze obowiązki zawodowe i brak możliwości planowania z tak dużym wyprzedzeniem. Ostatnio rezerwując pobyt na długi weekend w Dębkach, spotkałyśmy się z odpowiedzią właściciela, że od zeszłego roku ma pełne obłożenie w tym terminie. A gdyby tak jednak nie musieć

się o to martwić? I mieć pewność, że nasze ukochane miejsce, z którym mamy najmilsze wspomnienia, jest zawsze dostępne?

Z gotowym rozwiązaniem przychodzą do nas deweloperzy, którzy prezentują wachlarze możliwości zakupu pięknych apartamentów nie tylko wakacyjnych, lecz także całorocznych. Województwo pomorskie od lat cieszy się największym powodzeniem wśród Polaków, nie tylko ze względu na piękne plaże i odświeżającą morską bryzę, lecz także dlatego, że z wielu zakątków Polski mamy świetny dojazd autostradą. Jednym z popularniejszych celów – szczególnie dla osób szukających spokoju i spędzenia wakacji bez całej masy nadmorskich straganów i tłumu plażowiczów – są Dębki w powiecie puckim. Jest to raczej mała miejscowość z przepiękną długą i szeroką plażą, szczególnie uwielbianą przez rodziny z dziećmi. Co takiego ma w sobie to miasteczko? Przede wszystkim znajdziemy tu jedną z najpiękniejszych plaż w Polsce. Jest to też najszerza plaża w Polsce, a piasek łączy tu złocisty kolor z idealną niemalże konsystencją. Z każdego miejsca w Dębkach do plaży dojdziemy w mniej więcej 15 minut. Plaża w Dębkach rozciąga się pomiędzy 18 a 26 wejściem. Każde z wejść jest inne, ma swój unikalny charakter i klimat. Mimo rosnącej popularności miasteczka, wciąż w sezonie jest tu spokojniej niż w okolicznych nadmorskich kurortach – w Karwi, Jastrzębiej Górze czy Władysławowie.

SŁONECZNE DĘBKİ

W Dębkach coraz częściej spotykamy się z ofertą deweloperów, którzy sprzedają apartamenty lub całe domki – najczęściej z własnymi ogródkami, gdyż to właśnie ta własna przestrzeń jest obecnie najbardziej pożądana. Przykładem takiej inwestycji jest osiedle Słoneczne Dębki warszawskiej firmy Grupa Inwest, usytuowane w cichej i spokojnej części Dębek, w bliskiej odległości od morza. Osiedle składa się z 16 mieszkań położonych w ośmiu budynkach o optymalnych metrażach od 54 do 61 mkw. Układy mieszkań zaplanowane zostały tak, by zadbać o wygodę i komfort mieszkańców, dając im poczucie prywatności, a jednocześnie dbając o ich bezpieczeństwo. Co bardzo ważne, każde mieszkanie ma niezależne wejście, ogródek oraz miejsce postojowe. Kupując mieszkanie nawet na własne potrzeby, można również skorzystać z możliwości opieki nad obiektem podczas nieobecności właściciela oraz zawarcia umowy z operatorem najmu, z uwzględnieniem harmonogramu przyjazdów właściciela nieruchomości. Inwestor oferuje mieszkania w stanie deweloperskim oraz wykończone pod klucz, co wydaje się być świetnym rozwiązaniem, gdyż klienci będą mogli praktycznie od razu korzystać z mieszkań, oszczędzając czas na wykańczanie wnętrz. Oddanie inwestycji zaplanowano na lipiec 2021, co sprawia, że zdążymy wykorzystać w pełni sezon letni. Deweloper w dniach 3–6 czerwca organizuje dzień otwarty, w ramach którego można obejrzeć inwestycję oraz porozmawiać z przedstawicielem, jeśli zatem wybierają się Państwo na majówkę nad polskie wybrzeże, to warto rozważyć odwiedzenie Dębek.

Pandemia COVID-19 sprawiła, że coraz częściej wybieramy na wakacyjny wyjazd naszą rodzimą Polskę. Szukając miejsca na wypoczynek, możemy mieć spory problem, gdyż miejsca gwarantujące intymność i bezpieczeństwo wyprzedają się w pierwszej kolejności. Warto zatem rozważyć zakup własnego lokum, które może stać się naszym nadmorskim azylem, z którego możemy korzystać przez cały rok, ale które może być także świetną lokatą kapitału.

Artykuł powstał przy współpracy



PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Gdański dwór króla Artura



JACEK KOMUDA

O Dworze Artusa przeczytamy w każdym przewodniku; mało kto wie jednak, jakie były prawdziwa nazwa i przeznaczenie tej budowli. Niewielu odwiedzających Gdańsk ma świadomość, że takie obiekty wzniesiono w wielu innych miastach Prus Królewskich, Prus Książęcych i Kujaw. Dwór Artusa jest w Toruniu, podobne były w Elblągu, Braniewie i Królewcu; jest sprawą dyskusyjną, czy istniał w Chełmnie. Gdański wzniesiony został w XIV w., spalił się przed 1477 r. i został odbudowany w 1481 r. Później kilkakrotnie go przebudowywano – najpierw w połowie XVI stulecia, potem w latach 1616–1617, pod kierownictwem Abrahama van den Blocke’a, który zmienił szczyt na piękniejszy i ozdobiony balustradą. Na samej górze znalazła się bogini szczęścia – Fortuna. We wnękach ustawiono personifikacje Sprawiedliwości i Siły. Jak powiadano złośliwie w Gdańsku: „Druga rządzi miastem, pierwszej w nim nie masz”.

Do czego służył dwór? Ogólnie do załatwiania interesów; było to centrum handlu gdańskiego, połączenie karczmy, giełdy, bractwa i sali bankietowej. Dodatkowo sprzedawano tutaj książki i obrazy, a tuż obok pijacy grali w karty i kości. Nazwa wywodziła się od mitycznego króla Brytanii, dlatego w polskim tłumaczeniu budynek powinien nazywać się po prostu dworem Artura. Artus – to Artur po niemiecku, być może zresztą przekreślona nazwa wzięła się ze średniowiecza, kiedy określano to miejsce mianem „curia regis Artusi”, a jak wiadomo, nasi przodkowie nie byli wielkimi znawcami opowieści o rycerzach okrągłego stołu. W każdym razie podobne domy ucztły powstawały razem z falą arturomanii w Europie i nawiązywały do idei równości panującej wśród rycerzy króla Artura.



FOT. DOMINA PUBLICZNA

Wstęp był tylko dla miejskiego patrycjatu i szlachty. Za pojedynczą wizytę płacono się 3 szylingi, można było też wnieść dukata opłaty wieczystej – wówczas służba zapisywała gościa do księgi. Podawano tu świetne piwo, prosto z piwniczki, i zakąski. W 1593 r. we dworze znajdował się kielich (a raczej kufel) z napisem: „Kto wychyli mnie tuzin razy, ten otrzyma odpust od św. Rajnolda”.

Dzięki obrazowi Izaaka van den Blocke’a „Apoteoza Gdańska” wiemy, co znajdowało się w środku. Inaczej niż dzisiaj stały tam drewniane kościelne ławy – stele, na których spotykały się gdańskie bractwa arturowe. Ława św. Rajnolda skupiała najbogatszych kupców z Ferberami włącznie, poza tym były jeszcze ława: św. Jerzego, która kiedyś zarządzała dworem, Malborska, Trzech Króli, Ławników i Holenderska. Oprócz tego wisiały tutaj modele statków, wnętrza zdobiły dzieła sztuki, takie jak rzeźba „Święty Jerzy zabijający smoka” Hansa Brandta czy obraz „Sąd ostateczny” Antoniego Möllera, był też renesansowy ogromny piec kaflowy – Georga Stelznera z połowy XVI stulecia. W sali znajdowały się także herby Gdańska i Rzeczypospolitej, wizerunki polskich królów, egzotyczne ptaki w klatkach. Tutaj odbywały się występy muzykantów, trefnisiów i akrobatów. Rozmowy o interesach były

zakazane, gdyż należało omawiać je przed dworem, jednak nikt się tym nie przejmował.

Często ucztły przeciągały się aż do nocy; im dalej zaś zagłębiali się w wiek XVII, tym bardziej stawały się podobne sarmackim biesiadom prowadzącym do utraty przytomności, pamięci, kawałka ucha i palca. Liczni goście wpisywali do ksiąg mądrości zrodzone nad kuflami piwa:

Wielkiemu panu i pięknej dziewczynie

Nie ufaj nigdy – ale służ jedynie.

Pijaństwo w dzień, pijaństwo o północy

Roztrwoni wszelkie sumy bez niczyjej pomocy.

O dziełach sztuki, które ocalały tylko częściowo, a w znacznej części zostały odtworzone, można przeczytać nawet w Internecie, dlatego przytoczmy anegdoty, których nie znają niektórzy przewodnicy. Jedną z nich, nie wiadomo, czy prawdziwą, dotyczy „Sądu ostatecznego” Möllera. Otóż jego odsłonięcie skończyło się skandalem, ponieważ trzy gdańskie patrycjuszki rozpoznały siebie w grupie ładacznic przedstawiających Pychę – jedną artysta namalował z lusterkiem i wachlarzem. Z kolei w postaci Niewiary został sportretowany pewien rajca miejski. Kolejnych rozpoznawano wśród potępieńców płynących łodzią do piekielnej otchłani. Ponoć ostatecznie artysta domalował ratującego ich anioła...

Przez cały wiek XVII Dwór Artusa był kilkakrotnie zamykany; zwłaszcza wtedy, gdy Gdańsk znajdował się w niebezpieczeństwie, trwała wojna albo panowała zaraza. 22 października 1626 r., po najeździe Szwedów na Prusy Królewskie, zamknięto Dwór Artusa na pięć lat – do 1 czerwca 1631 r. Działalność zakończył ostatecznie w 1742 r., kiedy rada miasta zamieniła go w budynek giełdy. ©

CASETTI SPAGHETTI AL POMODORO

Z racji tego, że nie jestem kucharzem, ale jak każdy Włoch lubię gotować, moja kuchnia opiera się na prostocie. A ponieważ Casetti rymuje się ze spaghetti, a spaghetti to Włochy – niektórzy mówią o Chinach, ale to nieprawda – to proponuję dziś państwu spaghetti al pomodoro. Casetti spaghetti al pomodoro!

Polecam wykorzystać włoskie składniki. Chapeau bas! dla polskich firm, które produkują coraz lepszy makaron spaghetti, coraz bardziej podobny do włoskiego, niemniej polecam włoski makaron, który bez problemu dostaniemy w Polsce. To samo z pomidorami. Pomidor włoski jest inny niż pomidor polski. Polski pomidor mi smakuje, ale różni się smakiem od włoskiego. To tak, jakby porównywać wino włoskie i chilijskie. Jedno i drugie lubię, ale czuję między nimi wyraźną różnicę. Możemy użyć pomidorów pelati, czyli całych pomidorów bez skóry zamkniętych w słoiczkach lub puszkach, albo passaty z włoskich pomidorów.

Składniki (na 3 porcje):

- 1 puszka pomadori pelati
- 300 g makaronu spaghetti
- 3 ząbki czosnku
- suszony rozmaryn
- suszone oregano
- 100 ml oliwy z pierwszego tłoczenia
- kilka listków świeżej bazylii
- sól, pieprz
- parmezan

Przygotowanie:

Przygotowanie wymaga poświęcenia raptem 20–30 minut i użycia dwóch palników. Na pierwszy

stawiamy garnek z posoloną wodą na makaron, na drugi patelnię, na którą wlewamy oliwę i podsmażamy na niej krojony drobno czosnek. Kiedy czosnek zacznie brązowieć, dodajemy albo ok. jednej puszkę zgniecionych wcześniej pomidorów pelati, albo passatę. Przyprawiamy solą i pieprzem, szczyptą suszonego oregano i szczyptą suszonego rozmarynu. Trzymamy na małym ogniu ok. 15 minut, mieszając co jakiś czas.

Gdy woda w garnku zacznie się gotować, wrzucamy do niej makaron. Musi wyjść al dente, inaczej spodziewajcie się wizyty carabinieri. Trzymajmy się zatem instrukcji na opakowaniu, i próbujemy go, gdy sugerowany czas gotowania dobiega końca. Odczujemy makaron, dodajemy go do sosu na patelnię, mieszamy i wykładamy na talerze. Posypujemy tartym parmezanem i ozdabiamy listkami świeżej bazylii. Podajemy z czerwonym wytrawnym winem. ©©

oprac. raw
Witold
Casetti jest
dziennikarzem,
prezenterem
telewizyjnym.



FOT. ARCHIWUM WITOLDA CASETTIEGO



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ludzie listów nie piszą

Po powrocie do domu zastałem 44 listy” – napisał w roku 1961 Jarosław Iwaszkiewicz do Jerzego Lisowskiego w długim liście, jednym z tych, które niedawno ukazały się w dwutomowej publikacji wydawnictwa Sedno.

A ile państwo zastali listów po powrocie do domu z wakacji? Podejrzewam, że niewiele. Nie mam na myśli wyciągów z banku, zawiadomień z ZUS i ponagleń w sprawie niezapłaconych rachunków. Chodzi mi o prawdziwe listy: człowiek pisze do człowieka o swoich sprawach. Pisze długi list o sobie, o swoich myślach, o swoim życiu. Niektórzy toczą dialogi intelektualne. Takie są listy Czapskiego do Ludwika Heringa.

Takie listy lubię czytać, ale sama żadnego od dawna nie napisałam. I nie dostałam. A bardzo chciałabym dostać. Piszę e-maile, ale rzadko w nich opisuję zdarzenia z życia, tak jak robili to kiedyś Krasiński, Chopin, Słowacki, Giedroyc, Czapski, Herling-Grudziński, Iwaszkiewicz, Stempowski i tysiące innych, mniej wybitnych postaci. Co byśmy wiedzieli o Rosji początków XIX w., gdyby nie listy markiza de Custine’a? Piszę e-mail, żeby załatwić sprawę, wydarzenia z życia omawiamy w rozmowie telefonicznej, jeśli w ogóle omawiamy.

Bardzo żałuję listów, które otrzymywałam przez dużą część życia. Bo jego pierwsza

część przypadła na epokę przedcyfrową. Tę korespondencję oczywiście wyrzuciłam, bo należało do tej połowy ludzkości, która ma lekką rękę do wyrzucania i chętnie pozbywa się wszystkiego, co zakłóca horyzont. Byłabym również ciekawa tych, które sama napisałam, ale szansa na to, że ktokolwiek je przechował, jest zerowa.

Nawet głupie kartki pocztowe, które kiedyś wysyłało się z wakacji, mogą powiedzieć ciekawe rzeczy. Opisy pogody nad morzem, podłego żarcia w stołówce czasów FWP, prośby do rodziców o pieńki, wysłane z obozu harcerskiego, głupkowate rysunki i niewyraźne dopiski znajomych (ściskam ciocię Ola) – wszystko na tym małym skrawku papieru z niewyraźnym zdjęciem kutra na plaży. W technice ORWO, z napisem: „Pozdrowienia od morza”. Białogóra, połowy lat 80... Ciągłe leje...

Kiedy byłam pierwszy raz w Paryżu w roku 1968, bardzo czekałam na listy z Polski. A najbardziej na listy pewnego kolegi, który obiecał pisać. Poczta w Paryżu przychodziła dwa razy – rano i po południu. Wracając wieczorem do mieszkania paryskiej ciotki, już w windzie czekałam na moment, kiedy dotknę tej brzydkiej koperty i otworzę list pisany na kartkach z zeszytu w trzy linie. Chyba do rosyjskiego... ©©





IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Requiem dla kapownika

Zaczynałem pracę dziennikarską w czasach, kiedy teksty pisało się na maszynach. Maszynach do pisania. Nie znosiłem tego. Marnie tłukłem w klawisze, a każda pomyłka oznaczała kreślenie albo żmudną pisaninę od nowa. No cóż, nie jestem szczególnie sentymentalny, więc nie wyznaję zasady, że to, co było kiedyś, zawsze jest lepsze od tego, co teraz.

Zatem maszyn do pisania nie żałuję, ale z pewnym rozrzewnieniem obserwuję zagładę notesów, w których zapisywało się numery telefonów. Dzisiaj oczywiście nikt normalny nie zapisuje numerów w zeszytiku czy kalendarzu. Scena z całkiem przeciętnego filmu „Amelia”, gdy starszy pan z głośnym westchnieniem wykreśla z notesu numer przyjaciela, który właśnie umarł, nie łapie za serce, bo trudno ją zrozumieć.

Sercem wszystkich redakcji, w których pracowałem, był kapownik. Czyli gruby zeszyt, zazwyczaj już zużyty i wręcz rozlatujący się, w którym kolejne generacje dziennikarzy gromadziły prawdziwe skarby, czyli namiary na wszelkie osoby, które mogły się w jakikolwiek sposób przydać do tworzenia tekstów. Kapownik był swego rodzaju zakwasem, na którym pieczono wszelkie dziennikarskie wytwory. Utracenie kapownika – czego oczywiście nigdy nie doświadczyłem – byłoby prawdziwą tragedią, na wiele dni paraliżującą wszelkie prace.

Kapowniki były niemiłosiernie pokreślane, czasem

trudno było się w nich połączyć. Działo się tak dlatego, że w czasach bezkomórkowych ludzie – zwłaszcza politycy – często zmieniali numery telefonów, w zależności od tego, w jakiej partii akurat byli albo jakie stanowisko akurat zajmowali. Ciągłe było trzeba te namiary aktualizować: wprowadzać nowe, zamazywać stare. W dodatku dochodziło do zabawnych qui pro quo, jakieś stanowisko zajmował nowy nominant, a pod jego numer dzwoniono do jego poprzednika.

Najciekawsza tego rodzaju historia przydarzyła się, gdy do naszego działu politycznego przyszedł reporter z kultury i poprosił o domowy telefon do Kaczora. Szlachetnie obdarowaliśmy go numerem, ale chłopina przyszedł kilka minut później błdy i wstrząśnięty, ponieważ jego telefon odebrała jakaś pani, a gdy poprosił o pana Kaczora, skrzyczała go, że robi sobie jakieś głupie żarty. Bo w dziale politycznym Kaczorem był Jarosław Kaczyński, a w kulturze Kazimierz Kaczor.

Dzisiaj dziennikarze niby mają łatwiej. Nie muszą przepisywać kapowników. Nie muszą wydzwaniać po domach i biurach, polując na krążących po mieście ludzi. Ci ludzie sami im podtykają pod nosy swoje tweety i wpisy na Facebooku. Oznacza to jednak ślęczenie w tych wpisach, lustrację tweetów i nasłuchiwanie, czy w socjalach nie zbiera się na jakąś – jak to się ładnie mówi – „gównoburzę”. To przynajmniej równie ciężkie jak pisanie na maszynie. ©©



MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Lekcja z Perpignan

Małgośka, mówią mi, ty w mediach pro-PiS-owskich pracujesz? „Nie – odpowiadam – w zacytnym tygodniku opinii, i nie powtarzaj bzdur z mediów pro-EPL-owskich”. „Jakich mediów?” – dziwi się rozmówca. „Tych, które rezonują z linią partii EPL: czyli Sikorskim, Tuskiem, Thun” – wyjaśniam, a kolega traci rezon, bo odbił piłeczkę na czołku poczuł.

Plemienność prześladowa nas w codziennych rozmowach. Ale tego, jak bardzo nas czyni bezbronniymi w obliczu zagrożeń, dopiero możemy doświadczyć. Tak, jak odkryła to również skłócona Hiszpania, która jednej nocy stała się celem inwazji w Ceucie. To zupełnie tak, jakby naraz weszły do Polski 4 mln Ukraińców. Rozmiary perwersji tego najazdu uświadamia fakt, że służby marokańskie werbowały dzieci, mamiąc je wizją meczu z udziałem Cristiano Ronaldo. Reżim marokański chciał, aby świat zobaczył „dramat humanitarny” małych uchodźców. Nikt nie jest przygotowany na nowoczesne wojny hybrydowe i destabilizację ze strony sąsiedniego reżimowego państwa, a już tym bardziej nasza rozkołysana konfliktami i pandemią Polska. Zresztą wrogów grających na naszą zglisnę hodujemy najwięcej u siebie.

Nie zapomnę lekcji z Francji, gdy ćwierćfinalowy mecz Polska-Portugalia podczas Euro 2016 przyszło mi oglądać

na campingu pod Perpignan. Przyszły dziesiątki wczasowiczów, a niemal wszyscy – jak się okazało ku niemej rozpaczy moich synów – kibicowali Portugalii. To było 90 min grozy, niewykorzystanych okazji, no i słuchania głosów obok, aby „skończyć z Polakami”, co kosztowało rodzinę Wołczyków niemało nerwów. Gdy już miały się zaczynać rozstrzygające rzuty karne, na środek placu z telebimem wkroczył pijany gość z krzesłem i zasłonił swoim cielskiem pół ekranu. Podniosła się wrzawa, ale facet umościł się w epicentrum i ani myślał zejść. Wtedy do naszych uszu doszły głosy, że to pijany Polak – cieć pilnujący nocą obiektów sportowych. Mój mąż ruszył więc do niego, szepnął mu parę słów do ucha, tamten potulnie się zabrał i zniknął. Mogliśmy więc dalej patrzeć, jak przegrywamy w rzutach karnych ku radości zgromadzonej publiki.

Oglądanie z bliska takiej dawki niechęci wobec własnego kraju, potwierdzonej w dodatku fatalną grą Polaków i chamskim zachowaniem pijanego rodaka, znokautowało naszych synów i trzeba ich było niemal cucić ze stanu dziecięcego załamania. Jedyne, co mogłam wtedy wykrzesać z siebie, to zdanie: „Synu, narody są zawsze samotne, nawet jeśli wiążą się traktatami i sojuszami”. Dzisiaj musiałabym dodać: „Ale gdy część narodu jest pijana z nienawiści do własnego kraju, to już początek końca”. ©©



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Chrzest i pogańska reakcja

966 r. – chrzest Polski, 1031 r. – początek „reakcji pogańskiej” i „buntu ludowego”. Dlaczego przypominam te daty? Bo coś ważnego nam mówią o wspólnocie polityczno-kulturowej, do której należymy – i przeciw której możemy się zbuntować. Mówią o tym, skąd się ona wzięła. Ale też o tym, co jej może grozić. Możemy tę wspólnotę dziejową z wdzięcznością kontynuować albo z nienawiścią do niej powtórzyć gest buntu – wykonywany tym razem z nadzieją na sukces, na ostateczne zrównanie z ziemią chrześcijańskiego i kulturowego dziedzictwa, które nas 1055 lat temu połączyło z Europą.

Prymas Wyszyński, głęboko świadomy odpowiedzialności, jaką się z tym wyborem wiąże, zapoczątkował wielki wysiłek duchowy, który miał nas do tysiąclecia chrześcijaństwa w Polsce przygotować i wprowadzić w nowe. To był grudzień 1954 r., trwała komunistyczna walka o wydiedziczenie Polski z chrześcijańskiej substancji. Na to właśnie odpowiedzią był program ślubów jasnogórskich, a za nimi 10-letniej pracy, którą Kościół miał – przez jubileusz tysiąclecia chrztu

– prowadzić Polaków do wyzwolenia. Uwięziony prymas podyktował słowa, odczytane 26 sierpnia 1956 r. z Jasnej Góry, a skierowane do Maryi Królowej Polski: „Oto my, dzieci Narodu polskiego i Twoje dzieci, krew z krwi przodków naszych, stajemy znów przed Tobą, pełni tych samych uczuć miłości i nadziei, jakie ożywiały ongiś Ojców naszych. [...] Wzywamy pokornie pomocy i miłosierdzia w walce o dochowanie wierności Bogu, Krzyżowi i Ewangelii, Kościołowi świętemu i jego Pasterzom, Ojczyźnie naszej świętej, chrześcijańskiej przedniej straży, poświęconej Twojemu Sercu Niepokalanemu i Sercu Syna Twego”. Tak zaczęła się milenijna nowenna, niezakończona w istocie w roku 1966, ale prowadząca w stronę Sierpnia '80, w stronę wyzwolenia – do Polski, a nie od niej.

Zastanawiam się, ilu jest dzisiaj biskupów, którzy by odważyli się użyć takich słów jak prymas Wyszyński. I stworzyć taki program duchowego przygotowania do walki o to, by Polska była nadal „chrześcijańską przednią strażą”. Ale nie miejmy pretensji do biskupów. Zapytajmy raczej: Gdzie my jesteśmy w tej walce? Bo ona się toczy. O tym właśnie powinna przypomnieć data roku 1031. Do tego millennium powinniśmy się przygotować. Nie oddać go przeciwnikowi.

„I był bunt w ziemi lackiej. Ludzie powstawszy, pozabijali biskupów i popów i bojarów swoich” – tak wydarzenia owego buntu, który przewalił się przez państwo pierwszych Piastów, opisał sąsiad, ruski kronikarz. Do tych wydarzeń wewnętrznych, połączonych z rebelią tzw. panów poronionych, czyli możnych niezadowolonych z odsunięcia od rządów przez piastowską władzę, doszła jeszcze interwencja sąsiednich państw – i do 1038 r. to, co już wtedy nazywano Polską, niemal przestało istnieć.

Dzisiaj podnosi się sławiąca tamtą rebelię fala publikacji o „ludowej historii Polski”, o „bękartach pańszczyzny”, książek wartościujących „chamstwo” przeciw uciskającej je „pańskiej Polsce”. Dowartościowuje się także, już otwarcie, chamstwo przeciwko kulturze jako znakowi uprzywilejowania. Czytanie i domowa biblioteka to „pańska” przeszłość, którą trzeba odrzucić – wołają prorocy i prorokinie z „Wyborczej” czy Onetu. Tak jak głoszą nową modę: apostazji z Kościoła. Falanga „osób z maciacami” wzywa do niszczenia Kościoła pod sztandarem Strajku Kobiet. Od lat słyszymy wciąż, że trzeba wreszcie odciąć się od polskości – bo to tylko tradycja zabijania sąsiadów i zapóźnienia wobec „owoczesności”.

Nie byłoby sensu poświęcać tym zjawiskom uwagi, gdyby nie wsparcie dla tych inicjatyw ze strony najsilniejszych mediów, najbogatszych fundacji, a przede wszystkim gdyby nie fakt, że ta fala rośnie na oceanie większym niż Polska. To nowa fala rewolucji kulturalnej, nie tylko przeciwko religii, ale przeciw całemu dziedzictwu kulturowemu naszej cywilizacji. Ten bunt idzie przez amerykańskie uniwersytety, GAFA (Google, Amazon, Facebook, Apple), tradycyjne media i podporządkowane im rządy: przeciw obiektywizmowi prawdy, przeciw „fallogocentryzmowi” (czyli słowu i książce jako narzędziom dominacji białego samca), przeciw dziedzictwu Homera i Platona, nie mniej niż przeciw dziedzictwu Chrystusa i św. Pawła. Przez cały tzw. zachodni świat niesie się wezwanie do obalania pomników kultury i przeszłości, do niszczenia kościołów, do samobójstwa nazywanego eutanazją.

Czy się przed samobójstwem obronimy? Oto pytanie na nowe millennium. Pytanie i zadanie na nowennę przed rokiem 2031. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



GAZYFIKACJA



FOT. W. CIEPORSKI/UTD/ARND BRONKHORST

*Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA*

Jeden z serii głupich pomysłów, które się wszystkim podobają: gazyfikacja wsi. Podoba się wszystkim, przy czym słowo „wszyscy” należy traktować statystycznie, bo istnieją w populacji osoby, którym głupie pomysły się NIE podobają.

Gazyfikacja wsi to część większego i szkodliwego pomysłu o nazwie Nowy Polski Ład (w sieci jako Nowy Polski Wał.) A czemu mi się gazyfikacja wsi nie podoba? Ano temu, że nas jeszcze bardziej uzależni od dostaw zagranicznego gazu i pewnie będzie to gaz rusk. Mamy własne paliwa – węgiel – i na tym powinniśmy się skupić. Kurka z węglem nikt nam nie zakręci. Ponadto przemysł węglowy plus elektrownie to dobre zatrudnienie dla kilku milionów fachowców.

Gdy się ludziom na wsi zaproponuje, że władza dociągnie gaz, to się wszyscy ucieszą i przestawią na piece gazowe (nowe i w dodatku z refundacją). Do tej pory ludzie palili drewnem, węglem, czasami jakimś peletem robionym z polskiej słomy i innych odpadów rolniczych. No ale to trochę niewygodne, bo do starego pieca

trzeba sypać, nawet jeżeli ma podajnik. Paliwo trzeba gdzieś zgromadzić, zamówić i wyspać do piwnicy, a gaz... bardzo wygodna rurka i samo płynie. A ludzie leniwi są i wolą, gdy im płynie samo, bez łażenia do kotłowni z łopatą lub siekierą. Więc ludzie się najpierw ucieszą, potem skorzystają z gazyfikacji, a dopiero po latach stwierdzą, że ten pomysł był głupi. Bo gaz drogi, bo gazu brakuje (przerwy w ruskich dostawach), bo... nie mam komu sprzedać słomy na pelet, bo... mam własny las i miałem własne drewno do pieca, a teraz nadal mam, tylko co z nim robić, skoro piec gazowy? Gałęzie i suszki z lasu wyciągać trzeba, przecinkę robić i to wszystko zawsze szło do pieca i było „za darmo”, a teraz muszę płacić za gaz i dodatkowo za wywozy niepotrzebnego drewna.

Wbrew gadaniu aktywistów eko węgiel jest paliwem odnawialnym. Podobnie ropa, drewno i gaz. Każde z tych paliw powstaje na ziemi stale, także w tej chwili. Dwutlenek węgla z procesów spalania węgla, ropy, gazu czy drewna był w ziemskiej atmosferze, a zatem nie jest żadną trucizną wyprodukowaną przez człowieka. Wszystkie składowe były w naturze i zostały związane w drewnie,

ropie, gazie i węglu. Spalanie przywraca do natury coś, co tam już wcześniej było.

Mamy doskonały czysty węgiel i mamy go dużo. Brudnego węgla też mamy dużo. W Bełchatowie jest największa elektrownia węglowa w Europie i powinniśmy mieć takich elektrowni więcej – na węgiel brunatny i na kamieniny. Mamy własne paliwo, to je palmy!

Więcej kopalń, więcej węgla, więcej pieców!

A ze smogiem co?

Zamiast pchać się w piece gazowe, należy promować dobre piece węglowe, nowe. A do tych starych na razie sypać węgiel najczystszy i najbardziej kaloryczny.

Jedyne, co władza powinna robić w sprawie smogu, to podział węgla na czysty i brudny. Brudny powinien iść do elektrowni. TAK. Ten najgorszy, zasiarczony, okropny i zakazany w UE, ten, którego nie chcą inni, my powinniśmy spalać w elektrowniach. Bo elektrownie mają pieniądze na nowoczesne technologie oczyszczania, elektrownie mają filtry, mają inżynierów, stać je na wynalazki i innowacje. Te wszystkie miliardy przeznaczane na eko mogłyby zasilić takie innowacje i technologie, że nasze elektrownie wyprzedziłyby świat w spalaniu NA CZYSTO tego, czego inni palić nie chcą (nie chcą z powodów politycznych, a nie naukowych).

Gdy świat mówi węglowi NIE, bo węgiel kopci, my powinniśmy postawić na węgiel spalany takimi sposobami, że nie kopci.

A w starych piecach domowych palmy węglem najczystszym i jednocześnie zacznijmy promować piece na wszystko.

Domowe piece na wszystko produkuje się w Polsce już

teraz, ale nie są modne. Po raz pierwszy widziałem takie 40 lat temu, gdy pracowałem w stadninie w Szwecji. Szwecja, czyste powietrze, dbają o środowisko, świry eko. Stadnina daleko od szosy, daleko od wszystkiego, więc ludzie tam mieli w domach piece z dwiema komorami spalania – tak, jakby Państwo postawili drugi mniejszy piec na tym pierwszym. Na dole paliło się WSZYSTKO: drewno, brudny węgiel, kalosze, plastik, opony, farbę – wszystkie domowe śmieci. Kopci? Tak – kopci potwornie, ale w tej drugiej komorze spalania jest tak gorąco, że spaliny z dolnej komory zapalają się ponownie i dopalają, a z komina leci czysty dwutlenek węgla. Palisz wszystkim, co dodatkowo redukuje problem śmieci domowych. A wymiennik ciepła do grzania domu i wody był zamontowany na tej górnej gorącej komorze. Jakież to było tanie grzanie! (Zaschnięta puszka farby olejnej nie kosztuje nic i buch do pieca).

Raz na tydzień wybierałem jedną filiżankę popiołu. Jedną! Pakowałem do słoika i oddawałem do utylizacji, bo tam była trucizna. Ale w kominie nie szło nic.

Turów. W odpowiedzi na zagraniczne ataki na tę polską kopalnię ja bym wypuścił na międzynarodowe giełdy nowe akcje i rozbudował kopalnię do potęgi. Im większy interes, tym szybciej zagranica chciałaby się przyłączyć i zarabiać. Pierwszy pakiet akcji zaproponowałbym Czechom. Trump zrobił ruchy tego typu (nieklasyczne) i w trzy lata Ameryka po raz pierwszy w swojej historii przestała kupować paliwa z zagranicy. Wykonalne również w Polsce. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~659~~ zł

**W PREZENCJE
KSIĄŻKA**

T. KOWALIK, P. SŁOWIŃSKI
„CO POLSKA I POLACY DALI ŚWIATU”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

337,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 322 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl e6733d6255

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



100 STRON!
NUMER
JUBILEUSZOWY

Kamil Anduła – **Komunistyczny młot o Lenino**
Tomasz Stańczyk – **Renegat Zygmunt Berling**
Sol Messinger – **Byłem na pokładzie „St. Louis”**
Arkadiusz Karbowski – **Francuscy kolaboranci**
Mikołaj Iwanow – **Krwawy prokurator Wyszyński**
Craig Symonds – **Powietrzny rajd na Tokio**
Maciej Rosalak – **Seks Bolesława Chrobrego**
Jacek Bartosiak – **Polacy nie są gorsi!**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Demokracja w działaniu**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**